



"KRWAWA,
NIEPRZEWIDYWALNA..."

Między prawami
Polowanie na Wilka

VERA EIKON

VERA EIKON
Między prawami
CZEŚĆ PIERWSZA
Polowanie na Wilka

Historia dedykowana tym,
którzy zawrócili z drogi cienia,
by podążać ścieżką światła.

Nawet jeśli człowiek zapomni o Bogu,

Ten nigdy nie zapomni o człowieku.

PROLOG

Nigdy nie było mu łatwo. Zdecydowanie należał do tych, których życie nie rozpieszcza, przez co rzeźbi charaktery niekonwencjonalne i nieugięte. Miał zaledwie piętnaście lat, gdy zmarł jego ojciec — Andrzej Berg — Czech, który zakochał się w Polce, jednak nie wystarczająco dogłębnie, by zrezygnować dla niej ze swojej drugiej miłości — alkoholu. W konsekwencji słabość ta zaprowadziła go do grobu. Pozostawił rodzinę z mieszanymi uczuciami żalu i ulgi. Starszy syn — Alan, o którym jest ta opowieść, tylko w pewnym sensie odczuwał brak ojca, który za życia i tak rzadko bywał w domu, a nawet gdy bywał, przysparzał najbliższym przede wszystkim nerwów. Trzy lata po śmierci Andrzeja przyzwyczał się do pełnienia roli głowy rodziny. Czuł się odpowiedzialny za wiele spraw. Chociaż jego najbliżsi nie byli wolni od trosk i często z trudem wiąźali koniec z końcem, w jakiś sposób wiedli życie w miarę uporządkowane i przewidywalne.

Studiował resocjalizację lecz przychodziło mu to z trudem. Nie dlatego, że był głupi, albo że nie lubił tego kierunku, wręcz przeciwnie — miał dobre oceny i uważał to wykształcenie za społecznie bardzo wartościowe. Po prostu jego sytuacja nie sprzyjała nauce. Żył w małym, niespełna pięćdziesięciometrowym mieszkaniu, ulokowanym na szczycie starej kamienicy, w sercu warszawskiej Pragi. Dzielił je z bratem i mamą, która pracowała jako pielęgniarka w szpitalu. Często brała na siebie dwie zmiany pod rząd, korzystając na przykład z niedyspozycji koleżanki i zastępując ją. Alan nieraz prosił ją by nie zapominała o odpoczynku, denerwował się, gdy widział jak półprzytomna wraca do domu, by zaznać zaledwie kilka godzin snu. Ona z kolei czuła, że musi pracować do oporu — miała na utrzymaniu dwóch, prawie dorosłych synów.

Drugi z nich, szesnastoletni Maksym, przechodził ostatnimi miesiącami przez piekło. Matka nie miała pojęcia, skąd ani dlaczego zaczął brać narkotyki. Co gorsza — nie wiedziała jak mu pomóc, bo w tamtych czasach, przynajmniej w Polsce, nie był to problem powszechny. Dopiero wtedy, w 1994 roku, zaczęto oszacowywać skalę narkomanii w kraju. Alan zasięgnął porady u jednego z wykładowców, który wyznając zasadę, że akademik musi uczyć się przez całe życie, był nieco rozeznany w temacie narkomanii i walki z nią. Poleciał chłopakowi przytrzymać brata przez kilka dni pod kluczem. „Musisz odciąć go od źródła. Uniemożliwić dostęp do narkotyków!” — powiedział. Tak też Alan zrobił, serwując całej rodzinie istny szeol. Maksym był wniebogłosy, jakby rozrywano go na kawałki. Błagał, żeby go wypuścili, błagał o dawkę. Joanna Berg zatykała sobie

uszy palcami. Słuchanie agonii własnego dziecka sprawiało, że czuła w sercu fizyczny ból. Po kilku godzinach wrzasków sama zaczęła prosić Alana, żeby wypuścił brata. Ten odmówił, nie chcąc, by dotychczasowy trud poszedł na marne. Przetrwali ten trudny okres i Maksym już od kilku tygodni był czysty. Mógł teraz swobodnie poruszać się po pokojach, jednak, kiedy mama szła do pracy, a brat na uczelnię, zamykano go w mieszkaniu na klucz.

Nadszedł pewien październikowy, deszczowy dzień, który wiele zmienił w życiu Alana. Dzień przynoszący misję, zmuszający, by nastolatek został mężczyzną.

Zazwyczaj starał się przychodzić prosto do domu, najkrótszą możliwą drogą. Odmawiał sobie integracji z rówieśnikami i wszelkich, dodatkowych wykładów, które nie były obowiązkowe. Tamtego dnia, nieco później niż zwykle, osiemnastolatek wracał z uczelni do domu; po drodze wstąpił na chwilę do sklepu. Wiedział, że mama wróci bardzo późno i nie zdąży zrobić zakupów. Wziął więc kilka podstawowych produktów i warzyw na zupę, żeby mogła zjeść coś ciepłego po pracy.

Drzwi kamienicy, w której mieszkał, otworzyły się raptownie, pchnięte przez mieszkającego na drugim piętrze komendanta policji.

— Dzień dobry, panie komisarzu... — przywitał go chłopak, lecz komisarz był zbyt pijany, żeby odpowiedzieć. Wychodził do roboty, w pełnym umundurowaniu. Przyjrzał się Alanowi od stóp po czubek głowy, jakby starając się przypomnieć sobie, skąd go zna. W końcu skinął głową na powitanie i w milczeniu, zataczając się z lekka, ruszył przed siebie. Chłopak odprowadził go wzrokiem pełnym rozczarowania — nie miał dla niego zbyt wiele współczucia, bo sam przechodził przez piekło, mając ojca alkoholika.

Cała klatka schodowa śmierdziała teraz alkoholem, więc na jego twarzy wystąpił mimowolny grymas obrzydzenia. Wszedł na pierwsze piętro i gdy mijał drzwi innego sąsiada, ten wychodził właśnie z psem na spacer. Zwierzę zaszczekało tak głośno, że chłopakowi aż w uszach zadzwoniło. Właściciel pociągnął psa mocno do siebie, uniemożliwiając mu atak. Alan odskoczył na barierkę schodów i zwrócił się do sąsiada:

— Może kupi Pan w końcu ten kaganiec...

— To jest owczarek niemiecki. Czysta krew! Jemu kaganiec założyć, to jakby ptaszka wsadzić do klatki!

— Kiedyś ten ptaszek komuś nogę odgryzie.

— Ee! Jakby chciał krzywdę zrobić, to od razu poszedłby do szyi.

Alan uśmiechnął się nieznacznie. Raczej po to, żeby zamaskować strach i zawstydenie swoją odruchową reakcją. Odczekał moment po oddaleniu się sąsiada, po czym ruszył na górę. Z mieszkania na trzecim piętrze znów dochodziły krzyki i trzaski. Kolejna awantura... Gdy zbliżał się do najwyższego w budynku

czwartego piętra, na którym mieszkał, wyciągnął klucze z kieszeni przetartych na kolanach dżinsów. Zwolnił swój żwawy krok, dostrzegając kogoś przed drzwiami mieszkania. Z początku zauważył jedynie buty, wyłaniające się nieśmiało zza balustrady. Wchodząc na piętro, widział już całą postać. Rozpoznał ją doskonale. Był to jego rówieśnik, Rodion Vlacic – chłopak z sąsiedztwa, który z rodziną i z trzecią falą imigrantów po dziewięćdziesiątym roku osiedlił się w Polsce. Zdaje się, w poszukiwaniu lepszego życia.

Nie był zwyczajnym nastolatkiem. Szczególnie w oczach Maksyma — jawił mu się jako swoisty autorytet. Nieco starszy, mądrzejszy, zabawny, wyjątkowy, bo przybywający z innego świata. Alan z kolei dostrzegał w nim niebywałą charyzmę. Niepokoilo go, że ma duży wpływ na brata, był nawet o to zazdrosny. Wściekał się, bo widział, że Rodion wykorzystuje naiwnego szesnastolatka, i był przekonany, choć nie miał dowodów, że to właśnie on dostarczał bratu narkotyki.

— Rodia? — zapytał, nie ukrywając zdziwienia w głosie. — Co tu robisz?

Chłopak uśmiechnął się lekko. Jego kruczoczarne włosy połyskiwały od żelu, a oczy błyszczały przenikliwie i złowieszczo. Spojrzenie, które teraz rzucił Rodion, nieco pyszne i aroganckie, często wprawiało ludzi w poczucie dyskomfortu, powodowało wycofanie i niemoc. Dla Alana był to wzrok rzucający mu wyzwanie. Nie znosił go. Nie potrafił strawić.

Rodion zrobił krok ku niemu i przywitał się swobodnie, swoim lekko wschodnim akcentem.

— Serwus... Chciałem zobaczyć, jak się miewa mój przyjaciel, ale nawet mnie nie wpuścił. Zamknęliście go, czy co? No nic, to może wpadnę innym razem... — Wyminął Alana i chowając ręce do kieszeni, ruszył na dół wolnym krokiem.

Chłopak momentalnie wcisnął klucz do zamka. Wszedł do środka i dostrzegłszy brata w przedpokoju, poczuł ulgę. Posłał mu przesycone pretensjami spojrzenie.

— No, co? — zapytał Maksym.

Alan milczał. Spotkanie z Rodionem przywołało wspomnienie całego ostatniego miesiąca, tych wszystkich łez i strachu. Brat dostrzegł w nim ten moment zawieszenia. Chcąc rozładować atmosferę, rzucił bezmyślnie: — Chciał się tylko przywitać... — Lecz to zadziało wręcz odwrotnie. „Głupi, naiwny chłopak!” — pomyślał o swoim bracie Alan. Zdjął plecak, odłożył go na ziemię i oparłszy się ręką o ścianę, wziął głęboki oddech. Po czym ruszył za Rodionem.

— Alan, nie! — krzyknął za nim brat, lecz ten był już na korytarzu. Szybko przeskakiwał po kilka stopni, aż w końcu dogonił znajomego na pierwszym piętrze.

— Rodia! Na słówko...

— Jakiś problem?

— Tak. Nie chcę, żebyś tu więcej przychodził. Trzymaj się z daleka od

Maksa...

— On sam nie może za siebie decydować?

— Nie. Jest młody i głupi. Nie masz pojęcia, przez co ostatnio przeszliśmy!

— Mogę się jedynie domyślać. Ja go nie chcę skrzywdzić, tylko umocnić.

Do niczego go nie zmuszam, nie okłamuję, nie wykorzystuję. Przyjaźnimy się.

— I co? To nie ty przynosiłeś mu ten syf?

— Tak jak powiedziałem, nic na siłę. — Odwrócił się, lecz Alan złapał go za kurtkę i docisnął do ściany, mówiąc:

— Przysięgam, że jeśli jeszcze raz cię tu zobaczę, to zatłukę!

— Nie masz innych argumentów oprócz siłowych? — wydukał Rodia, bezskutecznie próbując uwolnić się z uścisku. Chłopak puścił go, po czym, grożąc palcem, powtórzył:

— Ostrzegam cię! Trzymaj się z daleka...

— Jak chcesz... Chociaż czuję, że jeszcze się zobaczymy. — To powiedziawszy, zszedł na parter.

Alan wrócił do mieszkania i już od progu zawołał brata. Nim również zamierzał potrząsnąć, żeby wybić mu z głowy wszelkie głupie pomysły. Maks nie odpowiadał. W łazience paliło się światło, więc chłopak stanął pod drzwiami i zapukał.

— Maksym, jesteś tam? Wyłaź, musimy pogadać. Maks? — Odpowiadała mu cisza. Złapał za klamkę, ale zamek przekręcony był od środka. — Wiesz, że nie wolno ci się zamykać! Otwieraj! — Zaczął wołać coraz głośniejsze i walić pięścią w skrzydło. — Kurwa, otwieraj, bo drzwi wypierdolę!

Cofnął się o dwa kroki i uderzył barkiem z rozpędu. Ponowił atak i drzwi ustąpiły. Maks leżał na podłodze nieprzytomny. Jego głowa opierała się o ścianę wanny, a ręce rozłożone miał bezwiednie po obu stronach ciała. Był błydy jak trup. Z lewego ramienia zwisał opleciony wokół bicepsa pasek od spodni. Obok niego leżała opróżniona strzykawka.

— Chryste! Coś ty zrobił?! — zawołał Alan, podbiegając do brata. Przez jego głowę przebiegało milion myśli. „Jakim cudem? Skąd wziął odpał? Rodia, ty bydlaku! Pod drzwiami! Musiał mu to przecisnąć pod drzwiami!”. Poklepał Maksa po twarzy, próbując go ocucić. Złapał za nadgarstek w poszukiwaniu pulsu. Serce stanęło mu z przerażenia. Rzucił się biegiem do przedpokoju, w którym stał telefon. Poślizgnął się przy tym na łazienkowych kafelkach. Wykręcił numer pogotowia.

— Halo? Mój brat wziął narkotyki. Jest nieprzytomny. Nie oddycha. Nie czuję pulsu... — Podał dyżurnemu adres, próbując brzmieć wyraźnie, lecz panika ścisnęła mu gardło. Siedzący po drugiej stronie słuchawki mężczyzna zapewnił, że karetka zaraz przyjedzie i zapytał, czy Alan wie, jak przeprowadzić resuscytację. Wiedział. Rozłączył się i pędem wrócił do łazienki. Położył brata równo na

podłódze, odchylił mu głowę do tyłu i zaczął uciskać klatkę piersiową. Trzydzieści uciśnień i dwa wdechy. Trzydzieści uciśnień i dwa wdechy.

— Dalej Maks! Walcz... — Z czasem zaczęło docierać do niego, że to już koniec i w jego oczach pojawiły się łzy. Odrzucał od siebie tę fatalną myśl i dalej, uparcie kontynuował ratunek, aż eter wypełniły dźwięki syren. Zmachany, oddalił dłonie od torsu brata. Nachylił się nad nim i tuląc czule jego głowę płakał aż zabrakło mu łez.

Dwadzieścia lat później...

Ciemność wylała się z zakamarków, bram i kamienic, spowijając całe miasto. W tej jego części, jak co noc, tętniło życie. Małe kebaby, chińskie na wynos i monopolowy otwarty całą dobę, rozświetlały nieco ulicę, odwalając robotę nieobecnego tego dnia księżyca. Niebieski neon z napisem „Panama” pomrukiwał nieznacznie, zachęcając nabuzowanych już przechodniów do wejścia. Poza zasięgiem ich wzroku, w bramie skrywającej tyły klubu, zaparkował bordowy golf. Kierowca wyjął z bagażnika plastikowe pudło wypełnione jakimiś rzeczami i z nieskrywanym niezadowolaniem przywitał się z barczystym mężczyzną stojącym u tylnych drzwi lokalu.

— Czekają na ciebie w stołowym — burknął ochroniarz. Przybyły wszedł do środka i podążył zwinnym krokiem do swojego celu. Znał już dobrze te pokoje i korytarze. Bywał tu nieraz, jednak nigdy nie miał okazji zwyczajnie się zabawić. Przyjeżdżał, by odwalić najbrudniejszą robotę.

Pokój stołowy był „stołowym” jedynie z nazwy. Ochrzczono go tak tylko ze względu na duży, umieszczony w rogu stół, przy którym rzadko kto jadał. Pośrodku przestrzennego pomieszczenia stało dwóch mężczyzn — Kafel i Pała. Trzymając ręce w kieszeniach, pochylali się nad czarnym kocem skrywającym pod sobą ludzkie zwłoki.

— I po chuj mu to było? — zapytał Pała.

— Pewnie myślał, że to nie wyjdzie.

— Przed Starym wszystko wyjdzie.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł niski mężczyzna trzymający plastikowe pudło.

— Co tym razem? — zapytał, odstawił narecze i podszedł do dwóch.

— Sie masz, Mario! Szef się wkurwił na Matygę — wyjaśnił Kafel.

— Za co? Buchnął kasę, czy gadał z psami?

— Wyruchał jego ulubioną dupę — dodał Pała.

— Niefortunnie... A z nią co? Też do kasacji?

— E tam. Pewnie odeśle ją do Ruslandii. Dla dup zawsze jest wyrozumiały. Banicja zamiast audiencji u św. Piotra.

Mario wcisnął na dłonie przymałe lateksowe rękawiczki, wyjął z pudła połacie czarnej plastikowej folii i rozłożył je na ziemi. Jednym pewnym ruchem uniósł z ciała koc i wpakował go do torby na śmieci, również wydobytej z pudła. Spojrzał na nagie, pokryte krwią zwłoki Matygi. Obejrzał go pobieżnie.

— A gdzie reszta?

— Szef mu obciął. Chyba leży w śmieciach w łazience.

— To, kurwa, przynieście te śmieci. Wiecie, że muszę mieć wszystko razem. Później pójdziecie do pierdła za kutasa i będzie, że to moja wina.

Kafel wyszedł do łazienki. Wszystkim udzielały się nerwy. Sprzątnię po egzekucji w wykonaniu szefa było ostatnim na co mieli ochotę w sobotni wieczór.

— Na żywca go ciął? — zapytał Mario fachowym tonem. Patrzył na zwłoki, jak na pospolity kawałek mięsa, bez specjalnego obrzydzenia, a już napewno bez cienia empatii.

— Niby na żywca, ale Matyga był tak naćpany, że nie skumał, co się dzieje, aż było po wszystkim — wyjaśnił Pała, starając się nie patrzeć na ciało. Robiło mu się niedobrze.

— Jak już zaczął go ćwiartować, to mógł dokończyć. Miałbym mniej roboty.

Na dźwięk tych słów Pale zebrało się na wymioty. Powstrzymał się, oddychając głęboko.

— Żartowałem, kurwa — wyjaśnił Mario i uśmiechnął się po raz pierwszy tej nocy. — Nie jestem rzeźnikiem, bardziej grabarzem...

— Trochę będziesz tam miał sprzątanina — wydukał Kafel, wracając z niewielkim koszem na śmieci w dłoni.

— Jak zawsze. I po chuj mi cały kosz niesiesz? — zapytał Mario, po czym wydobył z kosza członek Matygi. Rzucił go na środek rozłożonej folii, a całą zawartość kosza przesypał do torby z zakrwawionym kocem.

— Dobra, weźcie mi go chociaż przenieście na folię, a ja się wezmę za tę łazienkę — zarządził. Pała i Kafel podeszli do ciała. — W rękawiczkach, kurwa, i w ochraniaczach! — warknął na nich Mario, wskazując plastikowe pudło. Sam wyjął z niego biały, ochronny kombinezon, który założył sprawnie niczym strażak, wielką torbę na śmieci, szmaty oraz trzylitrową butlę krochmalu i udał się do łazienki. Godzinę później robota była skończona. Na kafelkach nie pozostała ani kropla krwi. Ciało, w całości, zostało szczelnie opakowane folią i obwiązane taśmą. Pała i Kafel zanieśli je do bordowego golfa. Mario umył dokładnie dłonie. Nie mógł doczekać się porządnego prysznica. Wiedział, że na to będzie musiał jeszcze nieco poczekać. Tymczasem czuł, że zasłużył chociaż na szluga. Włożył sobie jednego do ust, a kolejnym poczęstował ochroniarza przy tylnych drzwiach.

— Ciężka noc — ocenił ochroniarz, zaciągając się. Mario kiwnął głową na

przechadzających się ulicą imprezowiczów.

— A ci nawet nie zdają sobie sprawy...

— To się może zaraz zmienić. Stary mówi, że niedługo może zrobić się o nas głośno.

— Wątpię... Chociaż Proca depcze mu po piętach. Wilk się boi i tyle! Myślę, że jest wystarczająco ostrożny, żeby wszystko pozostało tak, jak jest.

— Jebany Proca.

— Nie spinaj się tak. Każdy ma swoje zadania. Zobacz — ty tylko pilnujesz drzwi, bo jesteś wielki jak słoń, ja tylko sprzątam, bo jestem dokładny i w dupie miałem edukację, a Proca, zwyczajnie, zamyka takich jak my, bo jest upartym skurwysynem.

+

ROZDZIAŁ PIERWSZY

POŚCIG

Słońce nieśmiało wyglądało znad horyzontu. Gdyby wybudzone właśnie ze snu ptaki posiadały zdolność zachwyty nad otaczającym je światem, z pewnością zapatrzyłyby się z zadumą na dostojne niebo, jakby smagnięte przez malarza czerwoną farbą. Tymczasem, zwyczajnie po swojemu, skakały z gałęzi na gałąź, podśpiewując poranne psalmy. Lekkie, nieco wilgotne powietrze wiło się między liśćmi, pozostawiając na nich kropliste pocałunki. Skądś nieopodal roznosił się przyjemny zapach świeżo pieczonego chleba, a w niejednym domu atmosferę rozbudzał aromat pierwszej kawy. Doświadczając poranka jak ten, spodziewałbyś się miłego, spokojnego dnia. Lecz to nie wszystko, co wydarzyło się zaraz po

wschodzie słońca. W powietrzu rozległ się dziwny odgłos. Jakby wybuch, ale nie do końca. Ziemia bowiem pozostała niewzruszona. Potem nastąpił drugi dźwięk i zaraz trzeci. Strzały. Stary Edmund Kaczmarek, mimo że wiódł życie na emeryturze, miał w zwyczaju wstawać bardzo wcześnie. Odstawił swój kubek czarnej „przedłużonej” kawy. Okolica, w której mieszkał, należała do bardzo spokojnych, więc nie miał powodu, żeby się bać czy wahać. Zaciekawiony, śmiało wyjrzał przez okno.

Białe bmw 5 ruszyło z piskiem opon. Chmura dymu wybuchnęła spod kół. Tak rozpoczął się spokojny do tej pory poranek mieszkańców przy ulicy Dębowej. Dla oficera policji, Alana Berga, poranek ten rozpoczął się już o trzeciej w nocy i wcale nie był spokojny. Berg wybiegł z na pozór opuszczonej rudery, chowając do kabury pistolet, w którym pozostało jeszcze piętnaście naboí. Złapał się za prawe, purpurowe od krwi ramię. Wskoczył do swojego czarnego taurusa, z hukiem zatrzaskał drzwi i ruszył za bmw. Był już tak blisko złapania przestępcy! Wiedział, że nie odpuści. Nie tym razem! Złapie go. Musi, za wszelką cenę.

— Berg, co się dzieje?! Zgłoś się! Wystaliśmy już oddział na Grochowską!
— odezwał się męski głos z policyjnego radia.

— Niech się spinają! Podejrzany jedzie w kierunku A2 białą beemką, Wanda Ania 2484 Sławek. Jestem tuż za nim. — Ramie paliło go, jakby otoczone ogniem. Syknał z bólu przy zmienianiu biegu.

— Berg, co się dzieje? Dostałeś?

— Tak. Nic poważnego.

— Nie zgub go! Chłopaki już jadą. Zablokują drogę. Złapiemy go jeszcze przed autostradą.

— Tak jest!

Była siódma. Ruch na drogach zaczynał się zagęszczać. Po chwili Berg musiał zacząć jazdę slalomem. Omijał wozy osobowe, autobusy, trąbił na przechodzących przez ulicę pieszych. Serce waliło mu jak oszalałe, ale umysł pozostawał jasny. Jadący przed nim samochód zdawał się być prowadzony przez furianta — desperacko wjeżdżał pod prąd, przejeżdżał przez chodnik i trawniki. Policjant wiedział, że jeśli wjadą na autostradę, ten pościg może trwać godzinami i zakończyć się wypadkiem, albo ucieczką podejrzanego. Utrzymał niezmienną wobec niego odległość. Ostry skręt w prawo. Komisarz zaciągnął ręczny i taurus podryfował po asfalcie. Rozpęd. Niebezpieczny skręt w lewo. Troje pieszych ledwo uniknęło zderzenia z rozpędzoną beemką. Skrzyżowanie. Podejrzany przemknął w ostatniej sekundzie pomarańczowego światła. Czerwone. Samochody wjechały na środek z obu stron. Rozległ się hałas klaksonów, kiedy Berg przejechał między nimi i z sercem na ramieniu dodał gazu. Bmw było wciąż w zasięgu wzroku. Ostro skręciło w prawo. Jednokierunkowa. Pod prąd. Jechali bokiem drogi. Prawe koła na ulicy. Lewe na chodniku. Piesi rzucili się na ściany

budynków, szukając bezpiecznej przestrzeni. Z naprzeciwka nadjeżdżała ciężarówka. Jej kierowca uderzył w klakson, gdy tylko zauważył zbliżający się ku niemu pościg. Droga była zbyt wąska. Bmw odbiło w pierwszą w lewo. Tuż przed ciężarówką. Taurus był zmuszony zjechać całkiem na chodnik i bokiem zaczepił o ścianę budynku. Posypały się iskry. Zatrzymał się gwałtownie, minawszy zjazd. Przełożył dźwignię na wsteczny i wycofał. Dociskając pedał gazu do oporu, skręcił w lewo. Spod kół wydobyła się chmura dymu.

Autostrada była tuż przed nimi, a droga pozostawała czysta. Policjant rozglądał się nerwowo: gdzie jest to wsparcie? Gdzie ta blokada? Radiowozy dopiero nadjeżdżały z podporządkowanej. Spóźnili się, a on minął znak rozpoczynając autostradę.

— Berg! Chłopaki już tam są! — odezwało się radio.

— Za późno! Jesteśmy na autostradzie.

— Kurwa mać!

— Złapię skurwysyna.

— Nie, wiemy dokąd jedzie. Zablokujemy autostradę przed Mińskiem. Właśnie do nich dzwoniemy.

— Nie będę ryzykował! Do tego czasu albo zjedzie przed miastem, albo kogoś zabije.

— Berg, odmawiam! Nie zatrzymuj go! To rozkaz!

Komisarz wyłączył radio. Rozejrzał się po autostradzie, wypatrując rzadkiego ruchu. Droga była prosta. Samochody rozkładały się po pasach regularnie i rzadko. Bmw wyprzedzało wszystkich. Taurus nie ustępował mu tempa. Licznik dobił do stu osiemdziesięciu. Wielki znak zapowiedział zbliżający się pierwszy zjazd z autostrady. Pozostały do niego dwa kilometry. Kilometr. Beemka zaczęła zmieniać pasy. Zjechała na prawy. Policjant nie mógł dłużej czekać. Musiał go zatrzymać teraz. Docisnął gaz, zbliżył się do uciekiniera i wyrównał z nim tempo. Udo lewej nogi docisnął do kierownicy, by utrzymać ją w stabilnej pozycji. Wyjął pistolet z kabury i wymierzył w prawą oponę beemki. Pewnie oddał strzał. Kula przeszła przez przednią szybę, rozległ się nagły huk i pisk kół. Pęknięta opona zarzuciła beemkę w prawo. Samochód uderzył w barierkę, obrócił się i przekoziółkował po asfalcie. Ruch za nimi ustał gwałtownie. Zatrzymał się również Berg. Wysiadł i podbiegł do wraku z pistoletem wycelowanym w kierowcę. Ten był nieprzytomny. Policjant schował więc broń i wyciągnął uciekiniera z wnętrza samochodu. Próbując ignorować ból ramienia, przeciągnął go za własny samochód. Włączył ponownie radio:

— Tu Proca. Melduję, że zatrzymałem padalca.

Pół minuty później autostradę wypełniły radiowozy i karetki. Komisarz, jakby niechętnie, przekazał zatrzymanego w ręce kolegów i ratowników. Zawsze prześladowała go myśl, że tylko on może dopilnować najważniejszych spraw,

a powierzenie ich komuś innemu z pewnością zakończy się klęską wymiaru sprawiedliwości. Jednak w tym wypadku sam został ranny, więc, chcąc nie chcąc, musiał podzielić się obowiązkami, a samemu oddać się pod opiekę lekarzy. Nienawidził tych sytuacji, kiedy go badano, pytano, czy się dobrze czuje, czy boli. Czuł się zawstydzony, że zabiera lekarzom czas, i niekompetentny, bo sam marnował swój.

Godzinę po wypadku do Centralnego Szpitala Klinicznego przy Wołoskiej wszedł inspektor wydziału narkotykowego, Filip Tyszka. Nawet nie podejmując z nim rozmowy, z samej postawy i miny oficera można było poznać, że jest zdenerwowany. To, że czasami tolerował niesubordynację podwładnego, wcale nie oznacza, że się do niej przyzwyczał.

— Berg! Gdzie on jest? — krzyczał, zmierzając do wskazanej przez pielęgniarkę sali szpitalnej. — Czyś ty, kurwa, oszalał człowieku?

Berg milczał, patrząc na Tyszkę łagodnym wzrokiem. Pielęgniarka sprawdzająca opatrunek zostawiła ich samych, co komisarz przyjął z ulgą. Wolał, by na niego krzyczano, niż użalano się nad jego ranami.

— Dziesięć uszkodzonych samochodów, dwa całkiem skasowane, narażone bezpieczeństwo publiczne i postrzelony policjant! — krzyczał Tyszka, wskazując ręką na Berga.

— Jacyś ranni cywile?

— Na szczęście nie.

— Zatrzymany?

— Jeszcze dycha.

— Narkotyki?

— Miałeś rację — rudera była nimi wypchana.

— Nie ma za co, inspektorze... — zakończył rozmowę Berg. Tyszka otworzył usta w celu wypowiedzenia kolejnego zarzutu, kiedy do sali weszła szczupła brunetka. Jej oczy płonęły z przerażenia.

— Alan! — Przytuliła mocno rannego.

— Nic mi nie jest, kochanie — zapewnił z uśmiechem. Złapała w dłonie jego twarz i spojrzała mu prosto w oczy, po czym odwróciła się gwałtownie do inspektora.

— Obiecałeś, że będziesz go trzymał z dala od kłopotów!

— Próbowiałem, Ewa! Wiesz, jaki on jest! Zawsze na przekór! — bronił się Tyszka. Alan patrzył na nich pytająco.

— Co to znaczy, że „obiecałeś trzymać z dala od kłopotów”?

— Zostawię was samych — odpowiedział wymijająco inspektor i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Wiedział, że żona komisarza również nie będzie szczydziła mężowi zarzutów, a może zrobi to znacznie dobitniej niż sam przełożony. Usiadła na łóżku obok Alana.

Patrzył na nią badawczo. Znał dobrze to jej spojrzenie i gesty. Przekroczył pewną granicę i ona teraz czuje się fatalnie, ma mu do powiedzenia wiele niewygodnych rzeczy. Wszystkie będą szczere i istotne. Lepiej, żeby słuchał uważnie i wziął sobie głęboko do serca wszystko, co usłyszy. Podobne rozmowy miewali nieczęsto, ale zawsze były na tyle intensywne (nie w tonie, lecz w temacie, bo nie mieli w zwyczaju okładać się krzykami), żeby zrozumiał ich ważność.

— Ile już jesteśmy małżeństwem? — zapytała.

— Czternaście lat — odparł po chwili namysłu.

— Od czternastu lat, codziennie żyję w strachu o to, czy wrócisz do domu...

— Ewo, proszę...

— Daj mi skończyć. Jesteś zdeterminowany, uparty jak osioł, a praca jest twoją pasją, wiedziałam to od początku. I wiedziałam, na co się piszę, kiedy za ciebie wyszłam. Nie pamiętam, ile już razy byłam w tym szpitalu, Alan... Ale kocham cię i dlatego jestem z tobą przez tyle lat. Mimo tego strachu... Ale to się musi zmienić.

Patrzył na żonę uważnie. Z jednej strony rozumiał jej obawy, z drugiej zastanawiał się, dlaczego ta rozmowa nieco różni się od poprzednich. Ewa spojrzała na niego z lekkim uśmiechem i powiedziała:

— Będziemy mieli dziecko...

Poczuł, jakby postrzelono go ponownie — tym razem w głowę. Jego serce zalała fala gorąca. Fala szczęścia i podekscytowania. Tak długo na to czekał! A jednak... Będzie ojcem. To dzieje się naprawdę. Teraz. Czy da radę? Jak to będzie? Wiele się zmieni... A może nie zmieni się nic. Mimo wszystko, wciąż pozostaną Ewą i Alanem. Czy w ogóle dobrze ją zrozumiał? Czy to się dzieje naprawdę?

— Mówisz, że...

— Jestem w ciąży... — przytaknęła, a on wziął głęboki oddech, uśmiechnął się szeroko i przytulił ją mocnym uściskiem. — Cieszysz się?

— Przecież wiesz, że tak! Myślałem, że nie chcesz. Że nigdy...

— Alan, kocham cię. Wiesz, że to była dla mnie trudna decyzja. Przez twoją pracę. Dziecko nie może żyć w takiej niepewności jak ja... Teraz, kiedy jest już w drodze, musisz mi przysiąc, musisz NAM przysiąc, że będziesz na siebie uważał. Koniec z akcjami na własną rękę, wypadkami samochodowymi i szaleńczym bohaterstwem. Masz ludzi od takich akcji!

— Przysięgam. Tobie i temu maleństwu. Przysięgam — powtarzał, trzymając dłoń na jej brzuchu.

— Pan płacze komisarzu?

— Bardzo cię kocham!

Serce łomotało Ewie w piersi. Dla Alana historia ojcostwa zaczęła się przed chwilą. Ona z kolei nosiła w sobie ów sekret od dwóch tygodni. Zaczęło się tak, jak

zazwyczaj się to zaczyna; od dziwnego samopoczucia i spóźnionego okresu. Kupiła test ciążowy. Ekspedientka patrzyła na nią, jak na każdego innego klienta, lecz Ewa poczuła się nagą; winną i ocenianą. Niemal każdy przechodzień rzucał jej jakby w twarz oskarżenie: jakie to nierozsądne zachowanie, co ty sobie myślałaś? W waszym życiu nie ma miejsca na dziecko! A przecież Ewa jest już dojrzałą kobietą. Jeśli nie zostanie matką teraz, to kiedy? Jeśli nie z Alanem, to z kim? Są małżeństwem, mają pieniądze, dom, kochają się i szanują, to najwyższa pora na dziecko.

Gdy zobaczyła na teście mały, zmieniający życie plus, od razu chciała powiedzieć o tym mężowi. Chciała lub raczej wiedziała, że powinna. Ale kiedy wracał z pracy, wydał się jej wykończony. Później był zestresowany, później mówili o czymś ważnym, później nie miał czasu, później ona go nie miała... I tak to trwało aż do teraz. Liczyła, że podzielenie się nowiną przyniesie jej ulgę. Czuła jednak jeszcze większy stres. Będą mieli dziecko. Nie ma już odwrotu.

+

ROZDZIAŁ DRUGI

POWRÓT

Trzy tygodnie później...

Lato osiągnęło szczyt. Upał lał się z błękitnego nieba. Budynki i asfalt wydawały się parować. Duże miasto to najgorsze miejsce na ziemi podczas takiej pogody. Kurz i spaliny kłębiły się w powietrzu. Przy ulicy Puławskiej, przed budynkiem CBSP, w którym mieścił się Wydział do Zwalczania Zorganizowanej Przystępczości Narkotkowej, dozorca przechadzał się ze szlauchem w dłoni i polewał chodnik wodą. Tuż przed wejściem zaparkował świeżo wyklepany, z nową przednią szybą, czarny ford taurus. Jedyne fachowe oko zauważyłoby, że to roczne auto dość niedawno przeszło naprawę i odmalowanie całego lewego boku. Berg wysiadł z samochodu. Gdy jego wzrok spoczął na fasadzie wydziału, uśmiechnął się mimowolnie. Praca była dla niego uzależnieniem. Trzy tygodnie przymusowego detoksu ciągnęły się niemiłosiernie. Teraz dopiero poczuł, że wrócił do zdrowia. Jego twarz owiała przyjemna, letnia bryza, unosząca się z mokrego chodnika.

— Dzień dobry, panie komisarzu! — przywitał go dozorca.

— Dzień dobry, panie Władku.

— Jak dobrze widzieć, że jest pan cały i zdrowy! Bez pana inspektor Tyszka chyba by oszalał z tymi waszymi chłopakami.

— Dobrze jest wrócić.

— Jest pan chyba jedynym moim znajomym, który z chęcią wraca do pracy. Całe szczęście, że robi pan w takim zawodzie.

— No... Proszę sobie wyobrazić, co by było, gdybym z taką chęcią przychodził do pracy w skarbowce! — zażartował, zbliżając się do drzwi. Dozorca Władek zaśmiał się szczerze i machnął w powietrzu obiema rękami, zachęcając komisarza do wejścia.

Budynek wypełniony był ludźmi. Policjanci, śledczy, oskarżeni, świadkowie... Wszystkich łączyło jedno — narkotyki. Jedni chcieli je sprzedać, inni brać, jeszcze inni zgarnąć je z ulic. Wszyscy znali podstawową prawdę — to biznes żerujący na ludzkiej słabości. Berg ominął windę i schodami wszedł na drugie piętro. Tam zaczęły się uśmiechy, gratulacje oraz spojrzenia zawiści tu i ówdzie. Otoczony zewsząd kolegami i koleżankami, odpowiadał jednym bądź dwoma słowami na padające zewsząd pytania.

— Jak się czujesz?

— Dobrze.

— Dlaczego pojechałeś tam sam?

— Nie było czasu.

— Jak to się stało, że cię postrzelił?

— Zaskoczył mnie.

— Skąd wiedziałeś o tej lokalizacji?

— Czy nadal będziesz zajmował się tą sprawą?

— Berg! — usłyszał swoje nazwisko za plecami. Inspektor Filip Tyszka nadszedł w samą porę. Wybawił go spod ostrzału nachalnych pytań, toteż Alan przywitał go z uśmiechem.

— Inspektorze...

— Miło widzieć cię z powrotem.

Udali się do gabinetu inspektora. Tyszka usiadł za biurkiem, a Berg oparł się o blat.

Po wielu wspólnych sprawach, przeprowadzonych akcjach, sukcesach i porażkach, sprawach sądowych, wyjazdach integracyjnych, prywatnych spotkaniach, licznych radościach, wyżaleniach i zalanych robakach, czuli się swobodnie w swoim towarzystwie. Oprócz relacji służbowych łączyła ich przyjaźń, wzniesiona na ogromnym zaufaniu. Wszystko, przez co razem przeszli, doprowadziło do tego, że Berg uważał go za przewrażliwionego ojca, któremu winien jest szacunek i zrozumienie. Tyszka z kolei traktował komisarza jak niesforne gościa, odradzał więc szaleństwa, pozostawiając mu jednak swobodę w dokonywaniu wyborów. Z dumą przyjmował jego sukcesy i często przymykał oko na wybryki.

Berg wodził wzrokiem po aktach rozłożonych przed inspektorem. Wziął do ręki jedno z nich, opatrzone tytułem: „Skonfiskowane narkotyki. Raport 2015”.

— Co u was? Jak się czuje Ewa?

— Świetnie. Dwa dni temu byliśmy na pierwszym USG. Maleństwo rośnie... To było dziwne doświadczenie zobaczyć go... albo ją w ten sposób. Po raz pierwszy.

— Kiedy Ula była w ciąży, nie mieliśmy jeszcze USG...

Żona inspektora, Urszula, zmarła przy porodzie, zimą 1974 roku. Pozostawiła męża z pięknym, zdrowym synem — Mateuszem. Cała rodzina Tyszki, zarówno z jego, jak i z Uli strony, zaangażowała się w pomoc przy opiece i wychowaniu najmłodszego członka rodziny, za co inspektor będzie im wdzięczny do końca życia. Mateusz, choć wzrastał otoczony miłością, tylko na pozór wyrósł na człowieka sukcesu. Trzymał fason, w przeciwieństwie do ojca nie za ciężko pracował za duże pieniądze, bywał na publicznych przyjęciach, pojawiał się na bankietach charytatywnych... Jednak jego życie prywatne pozostawiało wiele do życzenia. Z tego, co wiedział Berg, Mateusz ciągle był kawalerem mającym wiele „przyjaciółek”. Kiedyś była w jego życiu „ta jedyna”, którą ojciec zaczynał już traktować jak córkę. Kiedy jednak syn, z niewyjaśnionych bliżej powodów, zdecydował się zakończyć ten obiecujący związek, relacje ojca z synem uległy osłabieniu, a kontakt osłabł.

Berg poznał Mateusza kilka lat temu, kiedy ten był jeszcze w związku z potencjalną panią Tyszką. Nie dogadywali się jednak za dobrze i choć obaj starali

się znaleźć jakiś wspólny mianownik, to okazało się, że jedyną łączącą ich rzeczą jest znajomość z inspektorem.

Twarz Filipa zasepiła się, gdy wspomniał o zmarłej żonie. Berg zauważył to i przeniósł środek ciężkości rozmowy z umarłych na żyjących.

— Co słysząc u Mateusza?

— Nic nowego. Ciągłe marnuje energię na puste relacje z dużo młodszymi od siebie kobietami.

Berg, usłyszawszy uszczypliwą odpowiedź, pożałował postawionego pytania. Teraz to Tyszka poczuł się niezręcznie i również zmienił temat.

— Musicie być szczęśliwi.

— O, tak! Wiesz, że długo na to czekałem — przyznał komisarz, kartkując wyjętą wcześniej teczkę. — Tyle towaru zgarnęliśmy... Ile jeszcze tego gówna krąży po mieście...? — Inspektor przytaknął głową, po czym wyraz na jego twarzy zmienił się na bardziej surowy.

— Popraw mnie, jeśli się mylę, ale dostałeś cztery tygodnie urlopu...

— Tak. Cztery.

— To co tu robisz po trzech? — Berg odłożył teczkę i sięgnął po następną. „Kartoteka pracowników wydziału narkotykowego”. Tyszka szybko położył dłoń na pliku i oznajmił:

— To nie jest do twojego wglądu.

— A co? Planujesz zwolnienia? — Komisarz uśmiechnął się ironicznie i w końcu wyjaśnił: — Tak tylko wpadłem. Chcę wiedzieć, czy sprawa posuwa się naprzód. Kozak się wylizał?

— Kozak nazywa się Bartosz Krzysztofiak. Niezłe poturbowałeś go przez ten wypadek, ale wylizał się. Wczoraj przewieźliśmy go do więzienia. Pilnował składu, tyle wiemy. Nie chciał współpracować. Na pewno musimy powtórzyć przesłuchanie... — Tyszka zrobił pauzę i spojrzał na policjantów pracujących za szybami biura. — Ale ty wiesz już to wszystko. Przecież byłeś w kontakcie z chłopakami... Co tu robisz, Alan?

— Słyszałem, że gang spodziewa się dużej dostawy towaru i myślę, że Kozak wie, kiedy i gdzie.

— Skąd...? — zapytał Tyszka. Berg uniósł do góry brwi. — Chyba nie chcę wiedzieć.

— To zaufany kontakt. Jeśli mówi, że szykuje się dostawa, to ja mu wierzę. Filip, ta sprawa ciągnie się od roku. Zaczyna mnie to męczyć. Muszę doprowadzić ją do końca. Towar trzeba zgarnąć, zanim trafi na ulicę, a moment przerzutu będzie okazją do rozbicia gangu i zgarnięcia Starego... Tym bardziej, jeśli mam rację i on jest tym, kim myślę, że jest...

— Kiedy ma być ta dostawa?

— Początek sierpnia. Czekam jeszcze na szczegóły czasu i miejsca.

— Czyli mamy jakiś tydzień...

— Dlatego muszę wrócić już teraz.

Inspektor zamyślił się chwilę, po czym zapytał:

— Czy Ewa wie, że przyszedłeś z tym do mnie?

— Filip... Jestem dorosłym, samodzielny mężczyzną! Oczywiście, że wie...

— Dobra. Zacziesz w poniedziałek.

— Jutro.

— W piątek...? — Tyszka westchnął bezradnie. — Zgoda. Jak chcesz.

Komisarz przytaknął i udał się do wyjścia. Gdy otworzył drzwi, wpadł na młodego mężczyznę, który właśnie zamierzał zapukać do biura inspektora. Był wyższy od Berga niemalże o głowę. Nie robiło to jednak z niego olbrzyma, bo sam Berg mierzył sto siedemdziesiąt siedem centymetrów. Nieznajomy nosił bejsbolówkę i lekką, przewiewną koszulę. Był pewny w ruchach i głosie, co zauważył komisarz, gdy nigdy dotąd nie widziany przez niego człowiek przeprosił za zderzenie i od progu przywitał Tyszkę entuzjastycznie. Ten zaprosił go do środka i poprosił o zamknięcie drzwi.

Berg zbliżał się właśnie do schodów, kiedy obok niego otworzyła się winda, która przywiozła na drugie piętro podkomisarza Karola Niemczyka.

— Alan, ty kurewski szczęściarzu! — przywitał go radośnie Niemczyk.

— Karol...

— Dobrze cię widzieć. Jak się czujesz?

— Jak nowo narodzony.

— Mogłeś poczekać na nas chociaż pięć minut. Byliśmy z chłopakami w drodze...

— Jakbym na was poczekał, mielibyśmy towar, ale nie Kozaka.

— Prawda.

— Słyszałem, że zająłeś się „Szakalem” podczas mojego urlopu. Dzięki.

„Szakal” był grupą operacyjną, prowadzoną przez komisarza Berga. W jej skład wchodziło trzech funkcjonariuszy: spec od technologii (Mazur), mistrz obserwacji i improwizacji (Impuls) oraz Chaber — „ekspert od ludzi” (jak go określał komisarz). Wszyscy trzej byli mu w stu procentach lojalni i zawsze wykazywali pełne zaangażowanie w prowadzonych śledztwach. Mimo tego komisarz trzymał ich na dystans, nie dzielił z nimi pokoju, bardzo rzadko rozmawiał o prywatnych sprawach, nie wychodził z nimi na piwo i nie podłapywał żarcików. Nie zawsze tak to wyglądało. Kiedy zawiązał „Szakala”, wydawał się najlepszym liderem na świecie — pracowitym i wyluzowanym, empatycznym i dowcipnym zarazem. Wszystko zmieniło się rok temu, gdy na horyzoncie pojawiła się nowa sprawa gangu na Mokotowie, która w pełni zawiązała uwagę i nerwami komisarza. Aspiranci nie wiedzieli, dlaczego była dla niego tak

wyjatkowa, dlaczego podchodził do niej z większą drażliwością niż do poprzednich. Wiedzieli jednak, że lepiej teraz schodzić mu z drogi i grzecznie wykonywać polecenia.

Komisarz Niemczyk uśmiechnął się, zapewniając, że współpraca z „Szakalem” była dla niego przyjemnością, po czym dodał:

— Niestety, nie posunęliśmy nic do przodu. W sumie jedyne, co zrobiłem, to przewiezienie towaru do składu, zabezpieczenie nory i odwalenie za ciebie tony papierkowej roboty. Pestka. Kiedyś mi się odwdzięczysz.

— Na pewno.

— Wracasz do roboty?

— Mam nadzieję. Tyszka kazał mi przyjechać jutro.

— No, to powodzenia. Dobrze znów cię mieć na miejscu.

— Jeszcze raz dzięki. Do jutra!

Komisarz wracał do domu podniesiony na duchu. Ostatnie trzy tygodnie spędził z dala od pracy. „Z dala” w fizycznym sensie. Ewa wiedziała, że kilka razy dziennie dzwonił do kolegów z wydziału z pytaniami typu: „Co nowego?”. Nie potrafił się oderwać, co dosyć ją martwiło. Widziała jednak, że kiedy rozmawiają o dziecku, rozjaśniają mu się oczy. Pomagał jej w codziennych obowiązkach, trochę gotował, nawet raz zrobił pranie (raz, bo wydało mu się dziwnie podejrzanym, że włożył do pralki rozmaite kolory, a wszystko, co z niej potem wyciągnął, było w jednakim odcieniu). Wyglądał nawet na zainteresowanego wyborem koloru farby do pokoju dziecka, kiedy żona oderwała go od lektury „Lobotomii 3.0”. Zasugerował miodowy, bo pił akurat miętę z odrobiną miodu. Zdarzało się, niestety, że mimo szczerych chęci, Alan nie był w stanie odciążać żony od wszystkich trudnych zajęć. Zauważył, że Ewa przymierza się do zawieszenia w holu obrazu Klimta, który już od pół roku stał na podłodze, nieporadnie oparty o ścianę. Zaproponował więc, że to on zajmie się wierceniem dziury na uchwyt. Wyjął ze schowka pod schodami wiertarkę i przystąpił do pracy. Gdy parcie na ścianę i wibrowanie wiertarki przypomniały Alanowi o postrzelonym ramieniu, Ewa musiała wywiercić dziurę sama, a zawstydzony porażką Alan zawiesił tylko obraz na kołku.

Jego zaangażowanie uspokajało Ewę. Dlatego, kiedy oznajmił, że myśli o nieco szybszym powrocie do pracy — nie protestowała. Wszedł do domu uśmiechnięty od ucha do ucha.

— Widzę, że Filip się zgodził — powiedziała, przytulając męża na przywitaniu.

— Tak, ale nie dlatego się uśmiecham. Mam dla ciebie prezent. — Zza pleców wyciągnął mały pakunek owinięty w papier prezentowy. Ewa chwyciła paczuszkę i rozpakowała ją. Z pudełka wyjęła parę kolorowych, haftowanych, niemowlęcych bucików.

— Są piękne! Ale czy to nie za wcześnie? — zapytała.

— Co ty mówisz?! Przecież musimy się szykować na tego gościa. Nie ma na co czekać. On na pewno nie będzie czekał, aż będziemy gotowi.

— On? Skąd wiesz, że to „on”? — Berg bez słowa uśmiechnął się i przytulił żonę.

Wieczór spędzili w salonie. Zapalili lampy i świece, tworząc odprężającą, wyciszoną atmosferę. Ewa czuła się bezpieczna i szczęśliwa, opierając się o ramię męża. Oboje czytali książki. Od kiedy zaszła w ciążę, jej umysł wydawał się całkiem pochłonięty myślami o dziecku. Ulubione dotąd pozycje historyczne i socjologiczne kurzyły się teraz na półce, zastąpione literaturą poświęconą ciąży i rozwojowi dziecka. Zauważyła, że im więcej czytała na te tematy, tym więcej miała pytań i niełatwych do rozwiania wątpliwości. Jeden fizjoterapeuta polecał to, inny tamto... Podobne, nierozstrzygnięte kwestie pozostawiali dietetycy, psychologowie i pediatrzy. Zaczynała się zastanawiać, czy w kwestii opieki nad dzieckiem istnieje jakaś jedna, niepodważalna prawda. Nagle przerwała lekturę.

— Piszą, że dziecko może się urodzić z nadmiernym owłosieniem. Nawet ramion i uszu.

— Dziewczynki też?

— Też...

— Hmm...

— Jesteś pewien, że chcesz jutro wrócić do pracy? Moglibyśmy zacząć urządzać pokój dla dziecka...

— Kochanie... Wiesz, dlaczego wracam wcześniej, mówiłem ci.

— Wiem. Ale mam czasami wrażenie, że walczysz z wiatrakami... Nie zmienisz świata.

— Być może. Ale każdy przechwycony towar, każdy przymknięty diler, to cegielka, którą od siebie dokładam, żeby ten świat był chociaż trochę bezpieczniejszy. Czuję to szczególnie mocno teraz, kiedy mamy zostać rodzicami... Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyśmy nie musieli się codziennie martwić, czy pod szkołą naszego dziecka nie kręcą się narkomani i dilerzy... Rozumiesz?

— Tak... Ale pamiętaj też, że dziecko potrzebuje ojca. Obecnego ojca.

— I będzie go miało. Wiem, jak to jest nie mieć ojca, na którym można polegać. Wiesz, jak u mnie było... Kiedy mój ojciec pił, był nie do zniesienia... A pił prawie ciągle. Wiem, jakiego ojca wtedy potrzebowałem, i właśnie takim zamierzam być.

Wtuliła się mocniej w jego ciało. Czowała, że może upłynąć trochę czasu, zanim ponownie, ze spokojem i odprężeniem, spędzą podobny wieczór. Kilka minut później zasnęła w objęciach męża.

+

ROZDZIAŁ TRZECI

MŁODY

Był piątek, ósma pięćdziesiąt jeden, kiedy Berg zaparkował pod drzwiami wydziału. Dozorca znów spryskiwał chodnik wodą ze szlauchu. Komisarz wyłączył silnik. Dziś wraca do akcji. Czeką go bardzo pracowity i ważny tydzień. Czuł się podekscytowany, nie dlatego, że zajmie się teraz pracą nad pewną sprawą, ale ponieważ zajmie się tym konkretnym dochodzeniem. Już od długiego czasu czekał, aż boss narkotykowego gangu pojawi się w polu widzenia. Miesiące bezowocnej pracy miały zostać teraz odplacone.

Patrzył przez moment na dozorcę i próbował sobie przypomnieć, od kiedy pan Władek tutaj pracuje. „Możliwe, że robi tu dłużej ode mnie” — pomyślał Berg, kiedy tuż obok niego rozległ się hałas. Para nastolatków przebiegła nagle przez ulicę, co zmusiło kierowcę do gwałtownego hamowania i uderzenia w klakson. Dozorca podskoczył wystraszony. Szlauch wyleciał mu z ręki, a bryzgająca z niego woda spoczęła niekontrolowanie na ciele najbliższego przechodnia. Berg widział już tego człowieka. Wczoraj. Przy biurze inspektora. Poznał go po czapce bejsbolowej i charakterystycznych, nieco nonszalanckich ruchach. Zawstydzony do granic możliwości dozorca podbiegł do mokrego od stóp do głów mężczyzny.

— Bardzo, bardzo pana przepraszam! To przez ten klakson!

Mężczyzna stał przez moment oniemiały. Berg spodziewał się u niego

wybuchu złości. Tymczasem nieznajomy rozluźnił wyraźnie mięśnie, uśmiechnął się szeroko i łapiąc pana Władka za ramię, zapewniał, że nic się nie stało. Dozorca wyciągnął z kieszeni paczkę chusteczek jednorazowych i z przejęciem próbował nieco osuszyć swoją ofiarę, kiedy, minawszy ich, Berg przekroczył próg wydziału.

Inspektor Tyszka stał w otwartych drzwiach swojego biura.

— Do końca naiwnie myślałem, że może jednak wykorzystasz ten ostatni tydzień — przyznał.

— Powinieneś się cieszyć. Jak z nimi skończymy, poprawią się statystyki wydziału.

Podali sobie ręce na przywitanie i usiedli po obu stronach biurka. Tyszka zaczął pierwszy:

— Nie myśl sobie, że zapomniałem, ile pieniędzy wydziału i tłumaczenia przed górą kosztowało mnie wyjaśnienie okoliczności aresztowania Kozaka. Obiecałem im, że to się więcej nie powtórzy, i uwierz mi: mam zamiar dotrzymać słowa.

Berg patrzył na przełożonego z uwagą, ale też z lekkim pobłażaniem. Wiedział, że reprimendę musi otrzymać, ale nie spodziewał się większych konsekwencji. Tyszka znał go dobrze — Berg jest niereformowany i nie da się trzymać na krótkiej smyczy.

— Bardzo długo myślałem, co mogę zrobić, żeby nalać ci trochę oleju do łań, i wiesz co?

— Co?

— Wymyśliłem!

— Słucham uważnie — zapewnił z uśmiechem Berg.

— Mamy w wydziale nowego gościa... — Berg już w połowie zdania zaczął przeczuwać, do czego inspektor zmierza.

— Nie... — przerwał przełożonemu. Ten jednak kontynuował.

— Chłopak ma potencjał. Tylko jest trochę niedoświadczony. Przyuczy się przy tobie.

— Filip, nie. Wiesz, że jestem mniej wydajny w duecie. Te bliskie współpracy zawsze źle się kończą!

— Nie interesuje mnie teraz twoje zdanie.

— Słuchaj, jestem w połowie ważnej roboty, a ty mi dzięcioła wciskasz? Kto to, czyjś szwagier, syn, że tak go nagle doklejasz?

— Żadne z tych. I to ty mnie posłuchaj. Myślę, że jedyna rzecz, która sprawi, że dwa razy pomyślisz, zanim coś zrobisz, to dać ci kogoś pod opiekę.

— Nie chcę mieć nikogo pod opieką! To nie jest przedszkole!

— Decyzja została już podjęta, dostajesz partnera. Zresztą twojej grupie przyda się małe odświeżenie.

— „Szakal” jest już kompletny...

— To rozważ nowego jako bonus. — To powiedziawszy, Tyszka wstał i gestem ręki przywołał kogoś do pokoju. Drzwi się otworzyły, a w nich stanął uśmiechnięty mężczyzna w zmoczonej ubrani.

— Oczywiście... — wymamrotał Berg, ciężko podnosząc się z krzesła.

— Wpadłeś do fontanny? — zapytał Tyszka, podchodząc do drzwi.

— Można tak powiedzieć... — odparł nowy i spojrzał na Berga, który stał już naprzeciw niego.

Jakkolwiek komisarz starał się spoglądać na nowicjusza w sposób odstręczający i nieprzychylny, i tak wyglądał łagodnie. Urodził się z tym rodzajem oczu, z których zawsze bije dobro, prostota i współczucie. W pracy oficera tego typu oczy często nie sprawdzały się za dobrze. Przestępcy, z którymi komisarz miał do czynienia, lepiej reagowały na głębokie, agresywne, nie-wiadomo-czego-się-po-nich-spodziewać oczy. Dlatego też Berg już wiele razy zmuszony był udowadniać swoje bezkompromisowe stanowisko czynami, nieraz brutalnymi.

Patrząc na przymusowego partnera swoimi niewinnymi oczami, chwycił wyciągniętą ku niemu dłoń.

— Komisarz Alan Berg, podkomisarz Julian Sikorski — przedstawił sobie nowych partnerów inspektor Tyszka.

— Miło mi pana poznać — zaczął Sikorski.

— Berg — poprawił go Alan.

— Berg... Dużo słyszałem o twoich osiągnięciach.

— Tak? Nie mogę odpowiedzieć ci tym samym.

— Cieszę się, że już się rozumiecie — wtrącił Tyszka i zwracając się do komisarza, dodał: — Wtajemnicz kolegę w sprawę. Wszystkie akta już czekają na twoim biurku. Bawcie się dobrze.

Berg rzucił inspektorowi spojrzenie przesycone pretensjami. Ze schyloną w porażce głową wyszedł z biura i zawołał za siebie:

— No chodź, młody!

— Tak jest!

Od tego momentu „młody” pozostał „Młodym” na czas ich współpracy. Nie protestował, gdy Berg nazwał go tak po raz pierwszy, choć poczuł, że jest to zwrot dokuczliwy i umniejszający jego doświadczenia oraz umiejętności. Nie protestował, bo dopiero co zaczynał pracę — ważną pracę, z ważnym partnerem u boku, który, jak słyszał z krążących plotek, potrafi zachowywać się w sposób pozbawiony wrażliwości i empatii.

Podążył za Bergiem. Weszli do jednego z małych pokoi, odgrodzonego od innych pojedynczą szybą i białymi żaluzjami. Pomieszczenie wydało się Młodemu wyjątkowo szare w porównaniu z chociażby biurem inspektora Tyszki. Wiadomo, że wystrojem biur policyjnych zajmuje się firma, a nie pojedynczy funkcjonariusze,

jednak jasne było, że Berg w ogóle nie zabiegał o żadne standardy czy ulepszenia. W pomieszczeniu znajdował się jeden metalowy, szeroki regał, wypełniony książkami i segregatorami, proste biurko z czterema szufladami, z czego jedna zamykana na klucz. Na blacie stała ramka ze zdjęciem Ewy, telefon, stary pecet i prywatny MacBook, który jako jedyny współczesno-technologiczny element pokoju przypominał o obecnym, dwudziestym pierwszym wieku. Z każdej strony biurka stało krzesło, wszystkie jednakowo niewygodne i jakby wyjęte z poprzedniego ćwierćwiecza. Na wąskim parapecie pod oknem stała przymierająca pragnieniem juka. A nad tym wszystkim dyndała naderwana (w niewyjaśnionych okolicznościach) obudowa jarzeniówki.

— Mogę zapytać, skąd jesteś Berg?

— Z Warszawy.

— Ha! No tak... Ale twoje nazwisko...

— Ojciec był Czechem. Pierwsze dwa lata życia mieszkałem w Pradze. Później... na Pradze. Teraz na Ochocie.

— Rozumiem... — odparł Młody. Chciał nieco rozluźnić atmosferę, która wydała mu się bardzo napięta. Rozejrzał się po niewielkim biurze komisarza. Szukając w nim elementu potwierdzającego poczytalność partnera i dającego pretekst do rozpoczęcia normalnej, ludzkiej rozmowy, spojrzał na stojące na biurku zdjęcie. — To twoja żona?

— Tak.

— Słyszałem, że spodziewacie się dziecka. Gratulacje!

— Widzę, że wieści szybko się rozchodzą... — Berg opierał się o krawędź biurka. Nie spuszczał z Młodego oka. Wyglądało to, jakby próbował zajrzeć w najgłębsze odmęty jego duszy, przeświecić go na wylot. Westchnął ciężko i pokręcił głową, po czym dodał: — Dobra. Powiem otwarcie. Nie znam cię, ty nie znasz mnie. Nie jestem otwartym typem, nie umiem, nie lubię pracować we dwójkę. Jeśli masz do powiedzenia coś związanego ze sprawą, to możemy pogadać, jeśli masz inny temat — gadaj z chłopakami obok, to moja grupa dochodzeniowa.

— Wiem, wiem... Tyszka wspominał, że pracujesz specyficznie.

— Tyszka wspominał, tak? No tak. Sytuacja, w której jesteśmy, wcale nie jest mi na rękę, ale skoro już jest, jak jest, będę się starał, żeby to tu... — wskazywał wymiennie na siebie i Młodego — jakoś pracowało, więc przejdźmy od razu do sprawy.

— Okej — Młody uśmiechnął się, pocierając ręce. — Zamieniam się w słuch.

Berg zawahał się przez moment, po czym rozejrzał się po biurku i chwycił leżącą na nim grubą teczkę z dokumentami. Wręczył ją Młodemu, który nie spodziewając się jej ciężaru, omal nie wypuścił pliku z rąk.

— Tu jest wszystko, co musisz wiedzieć o sprawie. Masz to ogarnąć na wczoraj. Aha, i nie jest to lektura do przeczytania, masz to wszystko przyswoić! Ja muszę gdzieś pojechać... — rzucił pospiesznie i ruszył w stronę drzwi.

— Berg! Nie chcę być nachalny, ale Tyszka mówił, że mam się ciebie trzymać. Szczególnie na początku... żeby się przyuczyć.

Nieskrępowane westchnienie wydobyło się z piersi komisarza. Pierwsza próba ucieczki zakończyła się porażką. Zacisnął usta zastanawiając się przez moment, po czym powiedział zrezygnowany:

— Dobrze, pojedziemy złożyć wizytę pewnemu znajomemu.

— Czy możemy najpierw wstąpić na chwilę do mnie? Chciałbym się przebrać. Tylko na Gotarda na Służewcu.

— A tak, jasne. Swoją drogą, to miło, że nie wkopałeś pana Władka w żadne kłopoty... — powiedział komisarz, zamykając za sobą pokój. Zajrzał przez szybę do pomieszczenia obok, zapukał w szkło i uniósł dłoń w geście powitania. Nie wszedł jednak do środka. Młody zauważył na twarzach przesiadujących tam funkcjonariuszy pewne zmieszanie; zaskoczenie niespodziewanym gestem i brakiem większego kontaktu. Podążył za komisarzem, który szybko przeszedł przez cały wydział, nie zatrzymując się i z nikim nie rozmawiając. Nie zwracał nawet uwagi, czy Młody za nim nadąża. Zatrzymał się dopiero przed budynkiem, gdzie rozejrzał się po samochodach:

— Gdzie zaparkowałeś? — zapytał.

— Nie mam samochodu. Przyjechałem rowerem...

— Kpisz?

— Nie — odpowiedział Młody, wskazując dłonią na samotną, stojącą między samochodami kolarzówkę. Berg patrzył na niego z niedowierzaniem.

— Czyli ja prowadzę... — westchnął, wyłączając alarm w swoim taurusie. Wszedł do środka, a Młody wycisnął w dłoniach brzeg koszuli, do którego zdążyła już ścieknąć woda. Niewielki strumień spłynął na ziemię. Berg zapiął pasy i kazał Młodemu zrobić to samo. Zapytał jeszcze raz dla pewności: — Serio, rowerem? — Młody tylko przytaknął, uśmiechając się pod nosem. Podał adres, przy którym mieszkał. Trzymał na kolanach grubą teczkę z aktami i palcami głaskał brzegi kartek.

— Skoro mamy trochę czasu, może opowiesz mi o sprawie — zaproponował. Komisarz milczał przez chwilę, jakby zastanawiając się od czego zacząć. Tak naprawdę to rozważał, ile powiedzieć nowemu partnerowi, a ile pozostawić jeszcze dla siebie. Postanowił, że zacznie od podstaw.

— Zajmuję się tym od ponad roku. Chodzi o jeden z gangów narkotykowych, który powstał z resztek po „grupie mokotowskiej”. Nie jacyś podrzędni dilerzy, ale ci, którzy trzymają ich na smyczy. Kupują twardy towar zza granicy, głównie koks i herę. Przechwytingają, przechowują i sprzedają mniejszym

szajkom. Te z kolei — ulicznym dilerom. Najważniejsze jest dla mnie złapanie króla.

— Króla?

— Jak w szachach... Masz pionki, które idą na pierwszy odstrzał, później strażę przyboczne, królową, wszystkie one — chronią króla. Powal króla i reszta zostanie jak kurczak bez głowy. Nie wiemy, kim on jest. Nazywają go Wilkiem... Nie zadaje się z dilerami bezpośrednio. Trzyma się w cieniu. Pojawia się tylko przy grubszych sprawach. Na szczęście taka sprawa szykuje się na początku przyszłego miesiąca. Gang przejmuje nowy towar.

— I Wilk tam będzie?

— Jakkolwiek nienawidzę skurwysyna, muszę przyznać, że dba o swoje interesy. Wiemy, że osobiście kontroluje jakość towaru. Jestem więc pewny, że wylezie z nory.

— Kiedy i gdzie odbierają towar?

— Tego, mam nadzieję, dowiemy się dzisiaj.

Jechali jeszcze kilka minut przez unormowany ruch. W końcu Młody wskazał na apartamentowiec po lewej. Berg zaparkował naprzeciwko. Budynek, w którym mieszkał podkomisarz, wyglądał na wybudowany niedawno. Nowoczesny, czysty, otoczony niewielkim ogródkiem z każdej strony. Berg ocenił, że jest to jedno z tych anonimowych osiedli, w których nie zna się swoich sąsiadów, a jedynie marki ich kosztownych samochodów. Przebiegła mu przez głowę myśl, żeby zostawić tu Młodego. Przecież mógł po prostu odpalić silnik, pojechać, sam załatwić sprawy... Nie. Nie mógł tego zrobić. Ewa zapewne już wie o genialnym planie Tyszki. Nie może jej denerwować. Spokojnie poczeka na partnera, będzie cierpliwym i wymagającym nauczycielem... Młody założył suche ubranie i biegiem wrócił do samochodu.

— Mieszkaś w czymś takim, a nie masz samochodu? — zapytał Berg.

— To był wybór, a nie wyrok — odpowiedział Młody z pewnością siebie w głosie, gdy silnik zaczął warczeć. — To gdzie mieszka ten twój znajomy?

— W pace.

— Kozak... Ten, co go zgarnąłeś trzy tygodnie temu! Jedziemy do niego, tak? — zapytał Młody, na co Berg przytaknął. — Przecież był już przesłuchiwany. Myślisz, że tobie powie coś więcej? Że w ogóle wie coś jeszcze?

— Musimy znać miejsce i czas przejęcia towaru. Jeśli ktoś może mieć te informacje, to na pewno on — był cerberem głównego składu. A czy coś powie akurat mnie? Może... w końcu jest mi dłużny litr krwi.

Młody obserwował komisarza, który mówił o utracie krwi, jakby to było codzienne picie herbaty. Wprawdzie nasłuchiwał się już o Bergu tego i owego, o jego osiągnięciach, akcjach i nieprzebieraniu w środkach od czasu do czasu. Teraz, gdy dzieliła ich jedynie skrzynia biegów i czekały miesiące współpracy, uświadomił

sobie, jak bardzo różnią się od siebie. Młody nigdy dotąd nikogo nie postrzelił, nigdy też nie był postrzelony, nigdy też nie prowadził dochodzenia; słuchał przełożonych, postępował ostrożnie, planując wszystko za wczasu i nie wychodząc poza ramy protokołów. Dokonał już kilkunastu aresztowań (dwa razy zmuszony był przy tym wyjąć broń z kabury, lecz jeszcze nigdy z niej nie wystrzelił poza strzelnicą), brał udział w kilku dochodzeniach — wszystkie zakończone sukcesami; wszystkie jakby opisane w podręczniku: jasne, oczywiste, przewidywalne jak działania jego samego. Trzymał się reguł. Wierzył, że to reguły pomagają mu piąć się po szczeblach kariery. Sumiennie spisywał raporty, nocami analizował przestępcze kroki, potrafił poświęcić życie prywatne, które już dawno odsunął na dalszy plan... I był z tego dumny. Tak, był dumny z tego, jakim był policjantem, jakim był człowiekiem.

+

ROZDZIAŁ CZWARTY

OKO ZA OKO

Wizyty w więzieniach wprawiały Berga w niewygodne samopoczucie. Sprawiedliwość uważał za jedną z najważniejszych cnót i każdego dnia pracował

nad pielęgnowaniem oraz egzekwowaniem tej cnoty. Z więzieniami jednak sprawa nie była jednoznaczna. Osadzeni odbywają wyroki zafundowane przez policjantów, prokuratorów, sędziów, prawników... Bywa jednak, że wyrok ufundowały: brak dowodów, nadmiar dowodów, niesumiennosc urzędników, nadgorliwość prokuratorów i wiele innych czynników zewnętrznych, składających się czasami na niesprawiedliwy wyrok. W ostatnich latach nie mógł się oprzeć wrażeniu, że dobrzy, sumienni prokuratorzy zdarzali się coraz rzadziej. Gdy zaczynał pracę w policji, znał kilku wzorowo wykonujących robotę. Później ostał się tylko jeden, który twierdził, że wolałby wypuścić na wolność stu przestępców, niż skazać niesłusznie choć jednego człowieka. Toteż ów prokurator, dopóki nie zebrał wystarczających dowodów świadczących o winie, nigdy nie wychodził naprzód z aktem oskarżenia. Z tego też powodu, ilu spraw się podjął, tyle spraw wygrał. Komisarz wspominał jego pracę z pełnym uznaniem i zarazem ze smutną konstatacją, jak ciężko komukolwiek przychodzi teraz powtórzenie podobnej postawy. Otaczali go prokuratorzy-urzędnicy (traktujący oskarżonego jak numer sądowych akt) i prokuratorzy-tchórze (niewychodzący z aktem oskarżenia, kiedy miałyby on dotyczyć kogoś wyżej postawionego).

Na domiar tego wszystkiego, komisarz uważał, że więzienia nie spełniają dobrze swojej roli. Nie karzą wystarczająco, niemiarodajnie do popełnionych zbrodni, nie resocjalizują, nie naprawiają zła. Jedyne co robią, to tymczasowo izolują zepsute dusze od społeczeństwa, w którym i tak przyjdzie im żyć po odbyciu kary. A życie po odsiadce często bywa jeszcze mroczniejszym niż przed nią.

Kozak, zakuty w kajdanki, siedział samotnie w sali spotkań. Jedyne strażnik, stojący prosto niczym słup soli, pilnował drzwi wejściowych. Policjanci weszli do środka. Berg podał rękę strażnikowi, a ten skinął głową na więźnia, który już ich obserwował.

— Kajdanki nie będą potrzebne — oznajmił komisarz.

— Jesteś pewien? — zapytał strażnik.

— Tak. To będzie krótka rozmowa.

— Proca... — powiedział Kozak, kiedy strażnik zdejmował mu kajdanki. — Miałem cichą nadzieję, że się wykrwawiłeś... Kim jest twój pies?

— Młody. Kozak. Kozak. Młody — przedstawił ich sobie Berg. Więzień lodowatym spojrzeniem patrzył na Młodego, który również pozostawał opanowany.

— Berg, gdybym tylko wycelował lekko w prawo...

— To dostałbyś dożywocie za zabójstwo oficera policji — dokończył komisarz.

— Może byłoby warto. Powiedziałem już twoim sukom wszystko, co wiem. Nie mam niczego do dodania...

— Mhm... Słyszałem, że Wilk wybiera się na małe zakupy na początku sierpnia...

— Nic o tym nie wiem. Wsadziłeś mnie do ciupy trzy tygodnie temu, pamiętasz? Ściany są tu dość grube...

Berg spojrzał na strażnika, stojącego przy drzwiach, i skinął. Strażnik zerknął przelotnie na zegarek, odwrócił się powoli i wyszedł z sali, zamykając za sobą drzwi. Komisarz wstał z krzesła, podszedł do więźnia i nachylił się do niego, kładąc dłoń na jego ramieniu.

— Przecież przerzuty towaru planujecie miesiącami. Wiem, że masz informacje, których potrzebuję. Gdzie i kiedy będzie przerzut?

— Powiedziałem już, że nie wiem.

Komisarz nagłym ruchem położył dłoń na jego głowie i przydzwonił nią w stół. Zaskoczony tym Młody zerwał się z krzesła, odrzucając je do tyłu. Spojrzał na drzwi, przy których nie było strażnika.

— Złamałeś mi nos, kurwa! — krzyknął mężczyzna, łapiąc się za zakrwawioną twarz.

— Nie trać mojego czasu, Kozak! — Chwycił go za ramiona i podniósł z krzesła. Wywijając mu ręce do tyłu, rzucił go na stół i mocno przycisnął do blatu. Kozak zawył z bólu, ale Berg nie rozluźniał uścisku.

— No... Słyszałem, że wypadek wytrącił ci bark z zawiasów. Mogę wytrącić ci go jeszcze raz.

— Nie! Proszę! — syczał Kozak przez zaciśnięte zęby.

— To gadaj...

— Most Żelazny w Tomaszowie.

— Tam będzie przerzut?

— Tak, kurwa!

— Wilk się pojawi? — Kozak milczał, więc Berg uniósł go lekko i ponownie, z pełną siłą, rzucił go na blat.

— Tak! Będzie sprawdzał towar.

— Kiedy?

— Nie wiem. Przysięgam, tego nie wiem! Na początku sierpnia. Szczegóły ustalają tuż przed przerzutem! — Berg powtórzył uderzenie. Młody rozglądał się nerwowo. Nie wiedział, czy przerwać to przesłuchanie, czy lepiej nie przeszkadzać. Kozak ponownie zawył.

— Przysięgam na grób matki, że nie wiem!

— Wierzę ci — przyznał Berg, po czym wykręcił Kozakowi rękę. Bark wyskoczył z zawiasów. Pokój wypełnił się krzykiem. Komisarz rzucił więźnia na ziemię i dodał:

— Teraz jesteśmy kwita. — Podeszli do drzwi. Berg zapukał i do środka wszedł strażnik.

— Przewrócił się. Chyba znowu wyskoczył mu bark... — wyjaśnił komisarz. Strażnik przytaknął i wolno ruszył w kierunku więźnia. Kiedy policjanci opuszczali budynek, Berg masował wyraźnie nadwerężone wysiłkiem ramię, które jeszcze mu czasami dokuczało. Młody patrzył na niego z niedowierzaniem.

— Nie musiałeś tego robić — powiedział w końcu zbierając się na odwagę. Berg rzucił mu łagodne spojrzenie odpalając silnik samochodu i wyjaśnił:

— Pracuję w wydziale od dziesięciu lat. Nauczyło mnie to podstawowej rzeczy: szanuj przeciwnika i zadbaj o jego szacunek. Co za tym idzie? Musisz mówić ich językiem, przestrzegać ich zasad. U nich jest oko za oko, ramię za ramię. Muszą się ciebie bać, żeby cię szanować.

— Nie boisz się, że złoży zawiadomienie?

— Nie. Kozak jest gangusem z honorem. Raczej będzie czekał na okazję, żeby mi za to osobiście wpierdolić.

Młody wysłuchał go z uwagą. Sam nie stosował nigdy podobnych metod, jednak miał się tutaj czegoś nauczyć. Pomyślał, że może faktycznie jest metoda w tym szaleństwie. Był w końcu czas, gdzieś na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, kiedy przestępczość zorganizowana rozpanoszyła się po kraju i z początku czuła się całkiem bezkarnie. Zwykły patrol policyjny nie mógł się równać z ich brutalnością. Kiedyś wystarczyło, że policjant nosił przy sobie broń, groźnie nią pomachał i delikwent odpuszczał. Nadeszła inna rzeczywistość, w której „delikwent” ma większego gnata, zna „Bóg-jeden-wie-kogo” i czuje się nietykalny. Dlatego stworzono służby specjalne — najpierw PZ i Narkotykowy, a później CBS — coby tamta strona wiedziała, że koniec samowolki, że w mieście są też inni twardziele. Gdy komisarz skończył się tłumaczyć ze swojej brutalności, Młody wlepił wzrok w okno samochodu i w milczeniu czekał, aż dojadą do Biura.

Kilka chwil po ich powrocie do pokoju zapukał inspektor Tyszka.

— No, i co? — zapytał z progu.

— Kozak potwierdził przerzut na początku sierpnia. Przy Moście Żelaznym w Tomaszowie. Dzień i godzina nie są jeszcze znane.

— Czyli czekamy...

— Skontaktuję się jeszcze ze swoją wtyczką. Może będzie miał jakieś nowe informacje... — Komisarz zawiesił głos. Czekanie uważał za najtrudniejszą część pracy, bo to działanie trzymało go przy zdrowych zmysłach. Inspektor przytaknął lecz zanim wyszedł, zwrócił się jeszcze do Młodego:

— I jak, Sikorski? Współpraca jakoś idzie?

— Idzie bardzo dobrze. Dziękuję, inspektorze. — Mógł się zawahać, odchrząknąć czy zająknąć, tymczasem odpowiedział pewnie i z pełnym przekonaniem, wywołując tym samym mimowolny uśmiech na twarzy Berga.

Gdy Tyszka wychodził, Berg zauważył przez otwarte drzwi, jak dozorca Władek pieczołowicie pucuje szyby na korytarzu. Gdy ich spojrzenia się spotkały,

przywołał go gestem ręki i odszedł od biurka.

— O, przebrał się pan — powiedział dozorca, spostrzegłszy suche ubranie Młodego. — To dobrze. Nawet w tak ciepłą pogodę można nabawić się kataru. — Podkomisarz odpowiedział mu uśmiechem, a Berg zapytał niemalże szeptem, jakby podejmował jakieś konspiracyjne działanie:

— Panie Władku, zrobi pan coś dla mnie?

— O co pan komisarz prosi, to już jest zrobione.

— Da pan radę skołować nam jakieś biurko? Nowy potrzebuje miejsca do pracy, a nie chcę prosić się zarządu, bo znowu zaczną marudzić, że problemy w budżecie, że przysługa...

— Proszę mi dać czas do jutra i biurko będzie! — odpowiedział z entuzjazmem dozorca i niemalże w podskokach poszedł spełniać powierzoną mu misję. Młody podziękował za gest przyjęcia, na co komisarz mruknął coś pod nosem, dając do zrozumienia, że to naturalna kolej rzeczy.

Praca tego dnia szła im jak po grudzie. Nie mieli o co się zaczepić. Mogli jedynie czekać i myśleć. Myśleć i czekać. Z tym myśleniem było w sumie gorzej, bo ciągle ktoś im przerywał. Berg przyzwyczajony był do pracy w samotności i spokoju, a nagle wszystko się zmieniło. Drzwi do biura otwierały się i zamykały, wprowadzając i odprowadzając ciekawskich współpracowników. Gratulacje za Kozaka, gratulacje za dziecko, powitania Młodego w ekipie. Komisarz znosił te nawiedzenia z cierpliwą uprzejmością. Rozważał zamknięcie drzwi na klucz, ale ograniczył się jedynie do zasłonięcia wszystkich żaluzji, co, przynajmniej wzrokowo, odcięło ich od reszty wydziału. Kiedy drzwi otworzyły się po raz następnym, wszedł w końcu ktoś, kto złapał jego uwagę — podkomisarz Karol Niemczyk.

— Cześć Karol. Poznałeś już Młodego? — Oficer spojrzał na chłopaka i wyciągnął w jego kierunku dłoń.

— Jeszcze nie miałem okazji, ale słyszałem o misternym projekcie Tyszki — przyznał.

— Bardzo misterny, prawda... Karol odwała za mnie najgorszą robotę — wyjaśnił Młodemu Berg. — Zabezpiecza przechwycony towar, pilnuje liczenia, ważenia i tabel w raportach...

— Nie jest to taka najgorsza robota... — odparł Niemczyk. — Przynajmniej nie ryzykuję przy tym utraty życia. Jak się nazywasz, Młody?

— Julian Sikorski.

— Karol Niemczyk. Bądź czujny. Pracować z Procą nie jest łatwo...

— Bez przesady — wtrącił Berg. — Ty jakoś dajesz radę.

— Czasami ledwo, ledwo... Przyniosłem ci prezent. Protokół z ostatniego polowania. Zrobiłeś kawał dobrej roboty z wyczajeniem tej rudery. Sporo kilogramów zeszło dzięki temu z ulicy.

Berg przejął kartki wypełnione cyframi. Przejechał wzrokiem po rubrykach i ocenił:

— Chłopaki nie próżnują... Czego tutaj nie ma... Hera, koks, amfa...

— Było prawie wszystko, co można wymyślić. Najwięcej koki.

— A najmniej? — zapytał Młody. Komisarz ponownie spojrzął na rubryki i wyczytał:

— Heroina... Wygląda na to, że mamy bohaterkę sierpniowego przerzutu...

— Muszą uzupełnić zapasy.

— Ode mnie to tyle, nie będę wam dłużej przeszkadzał — powiedział Niemczyk i wyszedł z pokoju.

Komisarz postukał nerwowo długopisem po blacie i zapytał:

— Poznałeś już chłopaków obok?

— Jeszcze nie.

— To na co czekasz?

Młody wyszedł, aż do końca czując na sobie spojrzenie Berga. W sąsiadującym pokoju urzędowało trzech aspirantów. Podkomisarz zapukał i wszedł do środka.

— Czego tu? — zapytał jeden z nich, który grzebiąc coś w telefonie, siedział na obrotowym krześle z nogami zarzuconymi na biurko. Był łysy i nosił dresowe spodnie. Wyglądał jak chłopak, którego można by skojarzyć z kibolem, z tym, że nie był przypakowany. Inni nawet nie spojrzeli na intruza, który zawahał się przez moment, po czym powiedział śmiało:

— Berg mnie do was odesłał. Jestem nowy w grupie.

Na te słowa drugi z chłopaków, blondyn o delikatnej urodzie, zapatrzony wcześniej w stos papierów, klasnął głośno w dłonie i spojrzawszy z uśmiechem na Młodego, niemalże krzyknął:

— Świeże mięsko! Witamy, witamy... Impuls, kurwa, zwalaj z tymi nogami. To nie jest burdel. Trochę kultury... Weź sobie krzesło, nowy...

— Julian Sikorski.

— Jakoś jeszcze cię nazywają?

— Może Tuwim? — zaśmiał się Impuls.

— Proca już go ochrzcił — wtrącił trzeci chłopak, który siedział przed dwoma komputerami. Gdyby nie nosił bluzy z kapturem, wyglądałby jak pracownik banku, wzbudzający zaufanie, okularnik o inteligentnym wyrazie twarzy. — Młody, tak?

Podkomisarz przytaknął niechętnie. Nie miał zamiaru wyklócać się o uszczypliwą ksywę, która, co musiał przyznać, nie była pozbawiona podstaw. Podkomisarz wyglądał bowiem na znacznie młodszego niż był w rzeczywistości.

— Bartek Mazurski, — przedstawił się okularnik — możesz mi mówić Mazur. Ten wieśniak, to Adam Grabowski — Impuls. I wódz nasz — Kacper

Chaberski vel Chaber.

Impuls odłożył telefon i zapytał z ironicznym uśmiechem:

— Więc jak, skończyłeś wczoraj szkołę policyjną, że Młody jesteś?

— Może i Młody, ale stopniem wyższy od ciebie, aspirancie Grabowski.

— Auć! Widzisz, Impuls, nie zaczynaj — zaśmiał się Chaber i dodał do podkomisarza: — Ciekaw jestem, jaki miałbyś stopień mądralo, gdybyś od początku pracował z Bergiem.

Dostrzegając niezrozumienie na twarzy nowego, Mazur wyjaśnił:

— Większość rzeczy lubi załatwiać sam. My dostajemy samą gównianą robotę.

— Nie gównianą, tylko nudną — poprawił go Chaber. — Proca każe nam robić to, w czym jesteśmy najlepsi — to nic osobistego. A że ciężko o kolejną belkę, jak cały dzień gapi się w monitor, to masz Mazur, jak masz...

Młody pokiwał głową ze zrozumieniem. Spojrzał na siedzącego naprzeciw niego aspiranta, który znów poderwał swój telefon.

— A ciebie dlaczego nazywają Impuls? Taki jesteś nerwowy?

— Dlatego, że ciągle siedzi na telefonie — wyjaśnił Mazur, na co Impuls burknął coś pod nosem.

Niewielu o tym wiedziało, i tak powinno być, że ów oficer potrafił patrzeć sobie na buty i jednocześnie wiedzieć, co dzieje się za jego plecami. Mimo więc, że faktycznie nie odrywał czasami wzroku od telefonu, cała jego uwaga skupiała się na wszystkim wokół. Dlatego był najlepszym obserwatorem, jakiego Berg mógł znaleźć do swojej grupy.

Podkomisarz spędził z chłopakami kilka godzin. Zapoznali go z rytmem pracy, dali stos akt i raportów do przeczytania, dzięki którym zorientował się w strukturze i składzie gangu Wilka, jaki zdołali do tej pory ustalić. A że spędzili nad tym dochodzeniem już rok, ich kartoteki były niemalże kompletne. Rozmawiali o różnych sprawach, głównie żartując i prześcigając się w docinkach. Młody starał się nie tylko poznać bliżej nowych współpracowników, ale też ustanowić swoją pozycję w grupie. Dowiedział się, że każdy z nich bardzo rzadko pracuje z Bergiem bezpośrednio. Spodziewał się więc, że mogą patrzeć na niego co najmniej podejrzliwie, a z pewnością niechętnie. Chłopaki wydawali się mu jednak bardzo profesjonalni i Młody szybko zrozumiał, że komisarz bardzo uważnie dobrał ich do jednej grupy. Byli to ludzie z różnych środowisk, odmienni usposobieniami i metodami pracy. Łączyła ich jedna, najważniejsza dla komisarza rzecz — stawianie realizacji na pierwszym miejscu. Kariera, awanse, premie i tym podobne przyjemności były dodatkami. Tymczasem otaczało ich wielu oficerów przejawiających zgoła inne podejście. Nie brakowało wśród nich karierowiczów, którzy za podniesienie stopnia, za odrobinę większą władzę i minimalnie większą pensję sprzedaliby własną matkę. Paradoksalnie, w tym przypadku, za większą

władzą wcale nie szła większa odpowiedzialność — wręcz przeciwnie. Obejmowanie kierowniczego stanowiska często z niej zwalniało i pozwalało obarczać nią niżej postawionych funkcjonariuszy. Chociaż Impuls, Mazur i Chaber wspomnieli Młodemu o złudnych marzeniach o awansie, w rzeczywistości nie było to dla nich zbyt istotne. Dobrze czuli się w zadaniach operacyjnych — wszyscy trzech byli odpowiednimi ludźmi, na właściwie objętych stanowiskach. Praca biurowa, na przykład, oznaczałaby dla nich śmierć zawodową, nie szczyt kariery. Byli więc dla Berga idealnymi współpracownikami i choć rzadko dawał im to odczuć, był wdzięczny za ich obecność. Młody nie mógł jeszcze ocenić, czy jest we właściwym dla siebie miejscu, ale przecież pewność w tym temacie, to sukces sam w sobie.

W tym samym czasie, gdzieś na Polach Mokotowskich, młody student wydziału ekonomicznego usiadł na ławce pod drzewem dębu i rozglądał się, wypatrując znajomej twarzy. Nie upłynęło nawet pół minuty, gdy przysiadł się do niego wielki facet, przekornie nazywany „Krasnałem”.

— Sie ma, Krasnal.

— No, cześć. Jak leci?

— Zbliża się sesja poprawkowa. Potrzebuję jakiegoś *speeda*.

— Jasne. W tym okresie interes zawsze kwitnie. To, co zawsze, tylko lepsze — powiedział, ukradkiem podając studentowi niewielkie zawiniątko. Ten wsunął mu w dłoń pieniądze i schował pakunek do kieszeni. — A jak twoi kumple? Mówiłeś, że też mogą być zainteresowani. Wiesz, na potrzeby oświaty mogę skołować tego więcej.

— Spoko. Tylko że oni już podobno kogoś mają.

— Jak to? Kogo?

— Nie wiem. Jakiś kolo z Żoliborza.

— Co, kurwa? Dobra, jakbyś się widział z tymi kolegami, to zrób mi przysługę i powiedz im, że ten żoliborski *stuff* to szajs.

— Jasne.

Krasnal oddalił się szybko i zaraz wykonał telefon.

— Elo, szefie. Mamy problem. Trzeba przekazać Wilkowi, że Żoliborz przegiął pałę — wpierdalają się na nasz teren. No! Klientów mi podkradają, jakiś porządek trzeba z tym zrobić.

Wieść o nieuczciwej konkurencji pokonała kilka szczebli gangsterskiej piramidy i sprawnie dotarła do najbardziej zainteresowanego — bossa mokotowskiego. Jakkolwiek Wilk starał się zachować spokój, jego wybuchowy temperament wziął nad nim górę. Cisnął krzesłem o ścianę, rzucił agresywne „kurwa” i zapowiedział porządki na mieście. Dużo się jednak działo w ostatnim czasie (planowanie przerzutu, nieodpuszczający Proca...), nie wydał więc żadnych

specyficznych instrukcji. Postanowił zacząć od dyplomacji i umówić spotkanie z szefem grupy żoliborskiej.

Budynek Centralnego Biura Śledczego Policji już niemal opustoszał. Zbliżała się dziesiąta. Gaszono kolejne światła, jednocząc poszczególne pomieszczenia z ciemnością panującą na zewnątrz. Młody nie wprosił się ponownie do pokoju Berga. Zresztą nie miał tam jeszcze nawet biurka, przy którym mógłby pracować. Przesiedział pół dnia z oficerami obok i gdy zaszło słońce, zaprosił ich do pobliskiego baru na zapoznawczego drinka. Współpracownicy przyjęli propozycję z zachwytem, jako że żaden z nich i tak nie miał lepszych planów na wieczór. Opuścili pokój i zdali sobie sprawę, że są ostatnimi pracownikami w Biurze. Prawie ostatnimi. W pokoju komisarza paliło się słabe światło lampki. Siedział pod nią, nachylony nad stosem papierów, podpierając dłonią czoło. Gdy go dostrzegli, zachęcili Chabra, żeby poszedł i zaproponował mu towarzystwo.

— I tak nie pójdzie — założył aspirant, lecz uległ namowom kolegów i zapukał do pokoju Berga. Ten nawet nie drgnął.

— Szefie! Idziemy do „Baileys”. Nowy stawia. Może...

— Nie — odburknął znad papierów. Choć nie miał zamiaru być niemiły, zabrzmiał jak największy cham na świecie. Taki zazwyczaj mieli z nim problem współpracownicy. Nigdy nie mogli przewidzieć, kiedy zastaną swojego genialnego lidera, a kiedy gburowatego warchoła.

Chaber wycofał się cicho z pokoju, dogonił truchtem oddalających się kolegów i razem opuścili budynek. Berg wstał zza biurka. Poczul, jak zaczyna udzielać mu się stres i adrenalina. Dwa destrukcyjne uczucia, za którymi tęsknił podczas przymusowego urlopu. „Tęsknił”, to za lekko powiedziane — on pożądał tego stanu, był od niego uzależniony. Zobaczył w szybie własne odbicie, które wydawało się przedstawiać człowieka starszego od tego, którym był w rzeczywistości. Uchylił okno, żeby ochłonać. Przyjemna fala ożywczego powietrza owiała jego twarz. Zobaczył, jak jego chłopcy opuszczają budynek i gadając zaciekle, podążają w kierunku bramy. Dobrze, że z nimi nie poszedł. W żadnym stopniu nie podzielał ich gadatliwego nastroju, tylko by się irytował, a ich wprowadzał w zakłopotanie. Byli od niego średnio osiem lat młodszy — wiekiem i doświadczeniem; Berg widział w nich czystą kartę, jeszcze nie zabazgraną raportem o porażce. Czul, że w znacznym stopniu to właśnie od niego zależy, co na tej karcie się znajdzie. Pracował bowiem nie tylko na swoje konto, ale również na konto firmy, wydziału i tych czterech młodzików. Było już późno, a on jeszcze nie zadzwonił do Ewy. Powinien.

Rozpracowywanie Wilka trwało dość długo, co niezmiernie męczyło komisarza. Chciałby mieć już to za sobą, zapuszkować padalca albo jeszcze lepiej

przepuścić kulę przez jego łeb. Nigdy dotąd nie zabił człowieka, ale wiedział, że w tym konkretnym przypadku nie miałby oporów. Wilk wyrządził za dużo zła i był ogromnym, niepoczytalnym zagrożeniem dla świata. Jedna część Berga przypominała mu o protokołach, racjonalności i praworządności, druga z kolei pragnęła ujścia dla szczerzej nienawiści, którą żywił do tego kryminalisty. Prawdopodobnie gdyby chłopaki wiedzieli o Wilku tyle, co on, podzieliliby jego uczucia i intencje, jednak komisarz zachowywał część informacji dla siebie. Większość z powodów osobistych. I te informacje nigdy nie znajdują się na kartach żadnego raportu. Nie spod ręki Berga.

Kiedy tak odprowadzał wzrokiem policjantów, za jego plecami otworzyły się drzwi. Inspektor Tyszka bezwstydnie trzymał w dłoni pół litra wódki i śmiało wprosił się do pokoju.

— Dzisiaj pijemy u ciebie, bo u mnie bajzel okropny — oznajmił zmęczonym głosem, siadając obok biurka. — Choć u ciebie też nieciekawie...

Komisarz zgarnął papiery w jeden niedbały stos. Z szafki pod kluczem wyjął dwie szklanki i postawił je przed inspektorem. Szkło zadźwięczało radośnie i Tyszka napełnił je setką na oko.

— Za Wilka, żeby w końcu trafił tam, gdzie jego miejsce — wzniosł toast, a komisarz zbył go milczeniem. Gdyby wypowiedział to, co pomyślał, czyli „do piachu”, przeniósłby rozmowę na niewygodne tory.

— Mój czas powoli się kończy, Alan. Niedługo spadam na upragnioną emeryturę.

— I co będziesz wtedy robił, stary przyku?

— Podróżował. Samemu, to oczywiście nie to samo, co w duecie, ale lepsze to, niż siedzenie w tym dusznym mieście. A kto wie, może jeszcze los kogoś postawi na mojej drodze.

— Całkiem możliwe.

— Może też w końcu doczekam się wnuków. To byłoby piękne... Słuchaj, a ty byś nie chciał tej roboty? Wprawdzie więcej odpowiedzialności, ale mniej biegania i użerania się z półświatkiem. No i pensja wyższa, a to by się wam przecież przydało. Niedługo będzie was troje.

— Wiesz, że taka robota jak twoja, to ostatnia rzecz na świecie, na jaką mam ochotę?

— Prędzej czy później cię to czeka. Nie będziesz przecież wiecznie młody. Trzeba wiedzieć, kiedy przystopować, bo nagle się okaże, że się przeliczysz i załatwi cię jakiś gówniarz, szybszy i silniejszy. Przemyśl to. Jakbyś się zdecydował, to wiesz, że szepnąłbym słówko, komu trzeba.

— Dzięki, ale już wiesz, że nie.

— Może za rok zmienisz zdanie...

Ich wieczorne popijawki zdarzały się, średnio, co dwa tygodnie i służyły

głównie inspektorowi. Wygadywał się podczas nich ze swoich żalów, nerwów oraz planów na emerytalną przyszłość, i Berg nie mógł mu tego odmówić. Wysłuchiwał cierpliwie, gdy był pytany — służył opinią i równo z nim opróżniał butelkę.

Kiedy wrócił do domu, Ewa udawała, że już śpi. Była na niego zła, bo znów nie zadzwonił powiedzieć, o której wróci i co się z nim w ogóle dzieje. I jeszcze na domiar tego wydychał opary alkoholu. Komisarz położył się obok, ostrożnie, by jej nie obudzić. Zapatrzył się w jej zamknięte powieki i lekki kosmyk włosów opadający na twarz. Poczł niezmierną wdzięczność za jej obecność. Za jej miłość, zrozumienie, poświęcenie. Tylko przy niej mógł przejść przez to wszystko, tylko ona znała wszystkie jego tajemnice i obawy. Tylko ona rozumiała... Z tą pocieszającą myślą zasnął.

Berg miał w zwyczaju przychodzić do pracy punktualnie o dziewiątej. Nie wcześniej. Lubił zaczynać dzień od spokojnie zjedzonego śniadania z Ewą i relaksującego prysznic. Nie spóźniał się prawie nigdy. Dziś był jeden z takich nielicznych dni. Ani śniadanie nie było spokojne, ani prysznic odprężający. Ewa była wyraźnie zła z powodu jego wczorajszej „nieodpowiedzialnej ignorancji”. Mówiła, że mógł chociaż zadzwonić. On na to, że przecież ona też mogła, wie, jak działa telefon. Ona, że nie ma zamiaru się mu narzucać i przeszkadzać w pracy. On, że czasami po prostu zapomina o całym świecie, powinna to zrozumieć. Ona, że czasami ma już dość tego zrozumienia dla niego, że sama też potrzebuje wsparcia. On, że to trudny dla niego okres. Ona, że dla niej też. Gdy już wykrzyczeli sobie wszystkie zarzuty i żale, Berg wyszedł do pracy, trzaskając za sobą drzwiami. Pięć minut później zadzwonił z przeprosinami.

Przed wejściem do biura naszedł się z aspirantem Chaberskim. Przywitał go niemym skinieniem, ale wchodząc do środka odciągnął go od windy w kierunku schodów i zapytał:

- Jak poszło wczoraj wieczorem?
- Na piwach? Dobrze.
- Jak ci się podoba Młody?
- W sensie...?
- Zawodowym!
- Jeszcze trudno powiedzieć. Wydaje się w porządku. Na pewno jest pracowity i otwarty na naukę. Zadaje dużo pytań, szybko przyswaja... Mam go sprawdzić?
- Jeśli znajdziesz czas. Są teraz ważniejsze sprawy, ale miej go na oku.
- Z tego, co wiem, macie większość czasu spędzać razem.
- Postaram się zostawiać go częściej za sobą...
- Dobrze by było znaleźć jakiś jego talent i usadzić go w pokoju? — zapytał uszczypliwie. Komisarz spojrział na niego surowo, choć w pierwszej chwili

powstrzymał mimowolny uśmiech.

— Tylko żartowałem... Po prostu myślę, że może to komisarz wykorzystać. Macie dużo okazji, żeby pogadać, poznać się lepiej. Samo wyjdzie, z czym go jeść i do czego użyć.

Berg nie lubił, kiedy inni go pouczali, musiał jednak przyznać Chabrowi rację. Nie dosłownie — nie podziękował mu za dobrą radę, ale w duchu postanowił dać Młodemu szansę, a przynajmniej otworzyć się na dialog.

Każdego dnia, między pierwszą a drugą po południu, komisarz wychodził z biura do pobliskiej restauracji na obiad (mimo powszechnie szerzącej się mody na lekki *lunch*, pozostawał przy tradycyjnym posiłku). Restauracja nazywała się „Beckett”. Spostrzegłszy ją na rogu ulicy, pomyślałbyś, że po takim miejscu można spodziewać się depresyjnego charakteru, marnej obsługi i przeciętnej kuchni. Nic bardziej mylnego. Kuchnia wydawała jedynie pięć potraw, z czego każda zaspokajała nawet wybredne podniebienia.

Kiedy zapadał zmrok, restauracja zamykała kuchnię i otwierała bar dla spragnionych relaksu przy kropli alkoholu z solonymi orzeszkami na przegryzkę.

Proca najczęściej zamawiał pieczeń z bitymi ziemniakami i grillowanymi buraczkami; siadał w rogu sali, przy stole mocno oświetlonym blaskiem dnia, wpadającym do wnętrza przez duże postindustrialne okna. Zjadał swój obiad w samotności, rozmyślając nad szczegółami i ogółami spraw, które akurat prowadził. Ileż dochodzeń rozgryzł do tej pory przy owym restauracyjnym stole!

Tego dnia, po raz pierwszy od bardzo długiego czasu, przyszedł do „Becketta” w towarzystwie. Dobrze znająca komisarza obsługa spoglądała na Młodego z ciekawością. Myśleli, że musi być kimś ważnym, wyjątkowym, skoro przyprowadził go Berga. Szczególną uwagę poświęciła Młodemu jedna z dwóch kelnerek. Niska brunetka o miłej twarzy i imieniu Basia. Dla komisarza była zawsze bardzo uprzejma (bardziej niż dla innych gości, lecz on o tym, oczywiście, nie wiedział). Podziwiała jego pracę i zaangażowanie, które w nią wkładał. Z krótkich rozmów, odbytych między podawaniem a przyjęciem posiłku lub wręczaniem rachunku a otrzymywaniem zapłaty, wiedziała między innymi, że ma kochającą żonę, że spodziewają się dziecka i że jest pracoholikiem. Spostrzegłszy nigdy dotąd niewidzianego kolegę komisarza, pomyślała, że jest wyjątkowo przystojny i z pewnością stanowi młodszą wersję Berga. Można szczerze powiedzieć, że miała słabość do śledczych. Czowała się przy nich bezpiecznie, paradoksalnie, bo przecież zawsze trzymają się nich kłopoty.

Policjanci zamówili dwie pieczenie. Basia posłała Młodemu dyskretny uśmiech. On odpowiedział tym samym, lecz szybko skupił uwagę na partnerze i zaczął temat.

— Niezłą grupę stworzyłeś. Chłopaki wydają się naprawdę w porządku.

— Kosztowało mnie to sporo pracy. Mam nadzieję, że efekt nie zmieni się

dzięki tobie.

— Wiesz, że bywasz wredny?

— O tak! Dlatego mam niewielu przyjaciół.

Uszczypliwość między nimi była obustronna i wyraźnie nie przeszkadzała żadnemu z nich. Obaj też docenili wypływającą na wierzch szczerłość.

— Niemczyk też wydaje się miłym gościem.

— To oportunistą... — odparł komisarz i przypomniał sobie, dlaczego ma o Niemczycy tak jednoznaczną opinię.

Zaczął się od dnia, kiedy spotkali się po raz pierwszy — jeszcze w szkole policyjnej. Niemczyk był młodszy o dwa lata. Poznał Berga przez znajomego, którego wyśmiał i obgadał przed przyszłym komisarzem, gdy tamten tylko się oddalił. Później pracowali już razem w Biurze, w jednej grupie, którą dowodził Tyszka. Prowadzili wtedy sprawę ciągnącą się miesiącami i całkiem nierozwojową. Nagle Niemczyk postanowił przenieść się do innej grupy, która miała na koncie kilka szybkich sukcesów i pracowała nad kolejnym, bliskim rozwiązaniem dochodzenia. Załapał się więc na niewielką premię oraz poklepanie po ramieniu. Wydawało się, że czerpał z tego jakąś satysfakcję.

— Od dawna razem pracujecie? — kontynuował temat podkomisarz.

— Nie pracujemy razem. On ma swoją robotę, a ja swoją. Pomagamy sobie czasami.

— To chyba znacie się dobrze?

— Nie bardzo. Z większością fuszy zostaję w relacji służbowej.

— Ktoś jest wyjątkiem?

— Tyszka.

— Dlaczego akurat on?

— Jemu ufam.

— Ufasz? Inni nie zasłużyli sobie na twoje zaufanie?

— Takie czasy... A oprócz tego wziął mnie pod swoje skrzydła, gdy zaczynałem robotę. Był dobrym mentorem — odpowiedział Berg. — Nadal nim jest.

Młody zamyślił się. Próbował przypomnieć sobie kogoś z przeszłości, kogo mógłby nazwać mentorem. Jedyńm, który przyszedł mu do głowy, był Kapitan Ameryka. W dzieciństwie czytał o nim komiksy. Podziwiał go i przez niego, po raz pierwszy, rozważył związanie się z literą prawa.

— Teraz twoja kolej — wyrwał go z rozmyślań Berg. — Opowiedz coś o sobie. Skąd się w ogóle wzięłeś w wydziale?

— Z Katowic.

— Katowic?

— No. Przeprowadziłem się do Warszawy niedawno.

— I co?

— Inaczej. Bardziej światowo i drogo, jakby to nie była już Polska...

Młody podniósł oczy na zbliżającą się do nich z talerzami Basię. Elektryzujące spojrzenia, puszczane co rusz w kierunku Młodego, nie uszły uwadze komisarza, który z premedytacją zapytał na tyle głośno, by być dobrze słyszany:

— A ta przeprowadzka, to dlaczego? Niech zgadnę — zakochałeś się?

— Nie. To mniej romantyczna historia...

— Mamy czas.

— Tak naprawdę, to nigdy nie lubiłem Katowic. Jakoś nie mój klimat.

— Więc dlaczego siedziałeś tam tak długo? — Młody spojrzał na Berga przymrużonymi oczami. Zastanawiał się przez chwilę, jak i czy w ogóle rozwinąć swoją opowieść. Zależało mu na bliższym poznaniu komisarza, zyskaniu jego zaufania. Jeśli warunkiem jest otwartość, gotów był uchylić rąbka tajemnicy o swojej przeszłości. Wyjaśnił:

— Moi starzy prowadzili spożywcza. Mały rodzinny interes. Głównie ojciec stał za ladą. Mama zajmowała się dostawami i finansami. Pewnego wieczoru, zaraz przed Nowym Rokiem, ojciec został w sklepie dłużej. Robił remanent. Dwóch skurwieli włamało się przez zaplecze. Ukradli dwa kafle i zostawili ojca na podłodze, z kulą w piersi... Miałem szesnaście lat. Wtedy już wiedziałem, że będę psem. Skończyłem szkołę oficerską, ale nie mogłem wyjechać z miasta — nie mogłem zostawić matki samej. Dwa miesiące temu umarła... I tak znalazłem swoją drogę do Warszawy.

— Przykro mi, że tak się stało. Musiałeś przejść przez piekło.

— Nie było łatwo...

— Masz jeszcze jakąś rodzinę?

— Młodszą siostrę, Anię. Tylko że ona mieszka w Holandii, wyjechała za pracę zaraz po studiach.

— Jako jedna z wielu w ostatnich latach...

— A ty Berg? Jak trafiłeś do policji?

— Zapragnąłem zmienić świat na lepsze — lakonicznie odpowiedział komisarz z ironicznym patosem w głosie, dając tym samym znać, że rozmowa na ten temat dobiegła końca. Nie był jeszcze gotowy na opowieść o swojej przeszłości i nie ufał Młodemu na tyle, żeby odkrywać przed nim swoje motywacje.

Ukroił sobie kawałek pieczeni i dyskretnie zerknął przez ramię podkomisarza w kierunku ulicy. Po drugiej stronie, naprzeciwko restauracji, stało białe volvo. Berg rozpoznał samochód oraz jego kierowcę. Młody zauważył to spojrzenie i już miał obrócić się do tyłu, kiedy komisarz powiedział tonem karcącego rodzica:

— Siedź spokojnie. Mamy ogon.

— Abwera czy mafia?

— Może ci z wewnętrznego? — podłapał komisarz nabijając się z kolegi. — Albo CBA! Przyznaj się Młody. Mają powód, żeby mieć cię na celowniku?

Podkomisarz spojrział na niego niepewnie. Wydawało mu się, że Berg żartuje, podpuszcza go zwyczajnie, a jednak na jego twarzy wymalowała się kamienna powaga.

— Nie — odparł w końcu przeciągle, na co komisarz odpowiedział uśmiechem. Jednak żartował.

— To dobrze. W białym volvo siedzi jeden szpicel, Mostek. Najwyraźniej teraz to Wilk chce być o krok do przodu.

— Bierzemy go do bazy?

— Odjedzie, jak skuma, że go widzimy. To nie pierwszy raz.

— Z tego wszystkiego muszę się odlać. Zaraz wracam. — Młody wstał od stołu i ruszył w głąb restauracji. Minął jednak wejście do toalety i przeszedł w stronę zaplecza.

— Zgubił się pan? — zapytała Basia, pojawiając się jakby znikąd.

— Właściwie to... szukam tylnego wyjścia — odpowiedział dość czarującym głosem i podszedł bliżej dziewczyny.

— To w drugą stronę. Drzwi po lewej. — Zarumieniła się lekko, gdy Młody powoli wyminął ją w drzwiach.

— Tylko proszę nie mówić koledze — szepnął, a ona lekko przytaknęła.

Młody zniknął za tylnymi drzwiami. Przebiegł wokoło budynku, po czym spokojnym krokiem zaczął zbliżać się do białego volvo. Berg zauważył go z wnętrza restauracji, gdy podkomisarz był już na wysokości bagażnika, zerwał się gwałtownie i wyszedł na ulicę. Nie mógł uwierzyć, jakim prawem zrobił to bez wcześniejszej konsultacji! Bez sensownego, wspólnego planu! Dobrze, że umie improwizować, ale trzeba to robić z głową i w zespole! W tym czasie Młody podszedł do samochodu i jakby spotkał starego znajomego, oparł się o drzwi.

— Dzień dobry, panie Mostek. Nie za gorący dzień na siedzenie w samochodzie?

— Panie władzo, ja tu tylko sobie stoję.

— Tak? A skąd wiesz, że ja z policji? Wysiadka. Raz, raz.

Mostek siedział przez moment nieruchomo, jakby rozważając rozmaite warianty postępowania. Dyskretnie obniżył prawą dłoń, która powędrowała gdzieś między siedzenie a hamulec ręczny. W ułamku sekundy Młody wyciągnął swoją broń i już nie tak przyjaznym jak poprzednio tonem, ponowił rozkaz. Podejrzany trzymał ręce na widoku. Dokładnie wiedział, jak najlepiej zachować się w takich sytuacjach. Był w podobnych już nieraz. Powoli otworzył drzwi i wysiadł. Młody zachowywał czujność, wiedział, że po typach jak ten, można się spodziewać wszystkiego. Berg przechodził właśnie przez ulicę.

— Odwróć się. Łapy na maskę. Nogi szeroko. — Przycisnął zatrzymanego

do maski i kopniakami rozstawił mu nogi.

— Ale nie kop, co? — żalił się Mostek.

— Masz przy sobie jakieś zabronione fanty?

— Nie...

Berg skinął na Młodego, dając mu zielone światło do przetrzepania.

— Mogłeś chociaż poczekać, aż skończę jeść — parsknął.

— Sorry. Następnym razem poczekam. A to co, panie Mostek? — zapytał podkomisarz, wyciągając z kieszeni zatrzymanego małą foliówkę. Położył ją na dachu samochodu i założył Mostkowi kajdanki. Berg obejrzał przezroczystą torebkę.

— To leki dla mamy... — zarzekał się handlarz.

— Raczej brązowa hera — ocenił oficer. — Masz tego więcej, Mostek? Jak głupio z twojej strony szpiclować gliny z towarem w kieszeni... Stary nie byłby zachwycony.

— Siadaj! — rozkazał Młody zakutemu w kajdanki.

— Tak na ziemi? Hemoroidów dostanę!

— Siadaj, mówię!

— Dzwon po Chabra, żeby podjechał. Zabierzemy go do siebie, wóz też trzeba dokładnie przetrzepać — zarządził Berg i wszedł do samochodu.

Przeszukał najpierw przednie siedzenia, przy których znalazł jedną paczuszkę wielkości dłoni i pistolet we wnęce między fotelem kierowcy a hamulcem ręcznym. Kiedy przeszedł na tyły, wsunął dłoń pod przednie siedzenia szukając drugiej spluwy, która w gangsterskich samochodach często bywa tam ukrywana. Młody rozmawiał przez telefon z Chabrem. Rozglądał się przy tym wokoło, badając teren. Ani on, ani Berg nie zdali sobie sprawy z tego, że ich obserwator również był obserwowany. Z kawiarni tuż obok wyszedł młody chłopak, miał około dwudziestu pięciu lat i metr osiemdziesiąt wzrostu. Nosił białą bluzę z kapturem nałożonym na głowę — stanowczo za ciepłą jak na panującą wokół temperaturę. Zastanawiał się, czy użyć noża, czy broni palnej. Broń będzie skuteczniejsza i można jej użyć na odległość, ale przyciągnie więcej uwagi i istnieje ryzyko chybienia. Nie był dobrym strzelcem, za to wiedział, w które miejsce wbić ostrze, żeby ofiara nie wydała z siebie nawet pisku i była nie do odratowania. Sprawnie, lecz spokojnie, podszedł bliżej volvo. Jednym, pewnym ruchem zatopił nóż tuż nad obojczykiem zatrzymanego i równie spokojnym krokiem zaczął się oddalać. Parę sekund później Młody obrócił się znów w stronę Mostka i poczuł, jak ogromna dawka adrenaliny wstępuje w jego krew.

— Co jest, kurwa?! — zaklął, łapiąc zatrzymanego za ranę.

Berg wyszedł z samochodu i zobaczywszy co się stało, rozejrzał się szybko wokoło. Trzydzieści metrów dalej dostrzegł mężczyznę w białej bluzie, który kierując się do parku, obejrzał się za siebie. Ruszył za nim w pościg. Młody

również się poderwał, ale zdał sobie sprawę z tego, że Mostek jeszcze żył. Nie mógł go zostawić, nie mógł zwolnić ucisku na ranie.

Chłopak rzucił się do ucieczki. Nie był wysportowany. Miał jednak trzydzieści metrów przewagi nad Bergiem i trzynaście lat mniej. Nie zamierzał się poddać i biegł najszybciej jak potrafił, aż poczuł palący ucisk w udach. Komisarz sukcesywnie zmniejszał dzielący go od chłopaka dystans i gdy znalazł się tuż obok niego, pchnął go z całej siły, tak że uciekinier potoczył się po ziemi kilka metrów. Zbliżył się do leżącego, lecz ten poderwał się nagle, wyjmując zza pleców broń i oddając strzał w kierunku głowy komisarza. Kula zaświszczała, przecinając powietrze tuż przy uchu Berga. Nie zatrzymał się. Moment wahania mógłby kosztować go życie, bo chłopak był zdecydowany oddać kolejny strzał. Złapał za trzymającą broń rękę i uchylając się na bok, wymierzył chłopakowi mocny prawy sierpowy. Runęli razem na ziemię. Przestępca próbował uwolnić się z uścisku, by wycelować ponownie. Nie dał szansy policjantowi sięgnąć po własny pistolet. Zadał cios głową, prosto w skroń, i gdy przeciwnik się zachwiał, zepchnął go z siebie i kolanem przycisnął do ziemi. Oddał kolejny strzał, tym razem kula poleciała ku pobliskim drzewom.

— Policja! Rzuć broń! — wrzasnął Młody, w końcu ich doganiając. Mierzył prosto w głowę chłopaka. Ten się jednak nie poddał. Mógł dalej szamotać się z Bergiem, ryzykując, że ten drugi go obezwładni lub pozbyć się drugiego i potem kontynuować szamotaninę. Wyrwał rękę z uścisku komisarza i oddał strzał w kierunku Młodego. Kula trafiła w drzewo, przy którym stał podkomisarz. Kawałki kory wzbiły się w powietrze. Berg dostrzegł w tym chybieniu szansę, wymierzył lewy prosty w podbródek chłopaka, po czym zepchnął go z siebie kopniakiem w tors. Wykopał broń z jego dłoni, obrócił zatrzymanego twarzą do ziemi i sięgnął po kajdanki.

— W porządku, Młody?

— Tak. A ty?

— Wiesz, że powinieneś zostać z Mostkiem? Cieszę się, że nie zostałeś.

— Nie zostawiłem go samego — odparł Młody i kiedy zatrzymany stanął na nogi, przeszukał go. Z przedniej kieszeni bluzy wyjął zakrwawiony nóż, odszukał pistolet leżący w trawie i zwrócił się do chłopaka:

— Na nasze szczęście, w strzelaniu to ty amator jesteś.

— Pies jebany... — zaczął chłopak, stawiając się, na co Berg, szarpnąwszy go w kierunku powrotnym, ostrzegł:

— Morda albo wyjebię ci z procy!

— O, ciekawa aluzja — dodał Młody z lekkim uśmiechem.

W powietrzu rozległ się dźwięk syren. Komisarz pozostawał śmiertelnie poważny. Minutę temu otarł się o śmierć. Zginął człowiek i pomijając fakt, że był gangsterem, zostawił osamotnioną żonę i dzieciaka. Berg wiedział, że

prawdopodobnie mafia się nimi zaopiekuje, zgodnie z obowiązującymi w tym światku zasadami, ale wciąż... zginął człowiek.

Wrócili na miejsce morderstwa. Wokół stały radiowozy i ambulans. Ciało Mostka zapakowano już do plastikowego worka. Obok karetki, w zakrwawionej bluzce, z mokrym od krwi ręcznikiem stała Basia. Patrzyła, jak lekarze ostatniego kontaktu załadowują worek ze zwłokami, jak gdyby mieścił w sobie tylko nieco przyciężkie śmieci. Nie mogła opanować drżenia dłoni. Jeszcze kilka minut temu nie spodziewała się, że kiedykolwiek będzie świadkiem czyjegoś odejścia, czyichś ostatnich sekund życia, ostatniego oddechu. Wybiegła z restauracji, gdy zauważyła jak komisarz rozpoczął pościg. Chciała pomóc Młodemu. Chciała pomóc rannemu. Docisnęła ranę kłutą ręcznikiem i kazała Młodemu bieć. „Dam sobie radę” — zapewniła. Teraz nie była pewna, czy faktycznie dała sobie radę. Na jej rękach umarł człowiek i nie była w stanie mu pomóc.

Komisarz dostrzegł Basię, kiedy tylko wyszli z parku. Przekazał zatrzymanego w ręce Chabra i podszedł do dziewczyny. Widział jej nerwy i zakłopotanie, dostrzegł rozbiegane spojrzenie. Rozłożył ręce, oferując jej uścisk.

— Hej... Już dobrze Basiu. — Łzy napłynęły jej do oczu. Doznała momentu rozluźnienia w chwili przytulenia się do komisarza. Uwolniła się od napięcia i strachu, które od kilku minut ścisnęły jej gardło tak mocno, że zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś będzie w stanie przemówić.

— Nie mogłam mu pomóc — wydukała przez łzy.

— Wiem. Próbowalaś, ale on nie miał szans, Basiu. Za to, dzięki tobie, Młody za mną pobiegł i gdyby nie to, teraz też mnie ładowaliby do worka. Słyszysz? Uratowaliście mi życie. Dziękuję.

Zaoferował jej jeszcze minutę komfortu. Basia uspokoiła się, zaczęła oddychać równomiernie i panować nad odruchami. Kiedy Berg upewnił się, że dziewczyna sobie poradzi, zawołał Młodego i razem wrócili do Biura.

Młody od razu udał się do łazienki, by obmyć brudne od krwi dłonie. Schodziła łatwo, a jednak nawet po osuszeniu rąk wciąż czuł dyskomfort. Dzisiaj popełnił błąd. Fatalny błąd, który kosztował kogoś życie. Mogło być dużo gorzej. Mógł zginąć on albo Berg. Oparł się rękami o umywalkę. Woda wciąż leciała z kranu szybkim strumieniem. Potrzebował chwili, by się uspokoić, bo ponownie poczuł wzrost adrenaliny w żyłach. Wzrost tętna. Dezorientacja.

— Młody! — wybudził go z zamyślenia Proca. — Jedziemy?

— Tak — odparł i zakręcił wodę. Ruszył ku drzwiom, lecz komisarz wszedł do środka i zamknął je za sobą. Splótł ręce na piersi i patrząc na niego badawczo, zapytał: — Jak się czujesz?

— Dobrze.

— Nie pierdol. Możesz bajerować laski w barze, ale nie mnie i na pewno nie siebie. Nie w takim momencie. Muszę wiedzieć, czy sobie poradzisz. Masz dość?

— Nie — rzucił stanowczo, po czym dodał: — Musiałem pozbierać myśli. Nie jestem z drewna... ale już jest dobrze. Jedziemy?

Berg odpuścił. Pojechali na Rakowiecką, gdzie w areszcie śledczym przetrzymywany był chłopak. Komisarz chciał przesłuchać go jak najszybciej. Odesłał Młodego za lustro fenickie i polecił przejrzenie akt zatrzymanego, które przygotował dla nich Mazur. Delikwent stał w rogu pokoju z butnym wyrazem twarzy i rękoma zaplecionymi na piersi. Zmierzył oficera wzrokiem pełnym pogardy, kiedy ten wszedł do środka i od razu rzucił:

— Mój adwokat jeszcze nie przyjechał, więc wypierdalaj.

— Siadaj.

— Wal się.

Komisarz stanął naprzeciw chłopaka, patrząc mu prosto w pełne gniewu oczy. Nagle chwycił go mocno za kark oraz ramię i siłą usadził na krześle. Sam zajął miejsce po przeciwnej stronie stołu.

— Stać cię na adwokata, młotku? Co? Wątpię. Myślisz, że gang wyłoży ci na dobrego obrońcę? Zapomnij. Pula jest dla gangusów, a skoro ja wiem, że nim nie jesteś, to prawdopodobnie nim nie jesteś. Więc... Staraleś się o członkostwo? Kto cię wprowadzał? Nic? Nie będziesz gadał? Oczywiście. To wiesz co, ja będę gadał. Jeśli coś nie zgodzi się z prawdą, to daj znać. A jak będziesz milczał, uznam, że mam rację. Myślę, że dopiero wchodzisz w ten świat. Ktoś z gangu Wilka postanowił za ciebie poręczyć i żeby się uwiarygodnić, przyjąłeś zadanie do wykonania — skasować Mostka, gdyby wpadł, bo zacząłby sypać. Tylko dlaczego zacząłby sypać? Potrzebował się ugadać z glinami? Szukał ochrony? Przed gangiem? Powinęła mu się noga i gang trzymał go na ostrzu noża. Mostek miał rodzinę — coś do stracenia. Chciał wyjść z interesów, ale z tego gówna nigdy się nie wychodzi. Chyba że w plastikowym worku albo przez program ochrony świadków. Widzisz więc, ten gang, który tak bardzo ci imponuje, do którego garniesz się wkręcić, ma w dupie ciebie i twoje ambicje. Masz grać, jak ci każą, wykonywać zadania bez szemrania i srać na komendę. Naprawdę chcesz być parobkiem tych gnoi z Mokotowa? Oni się o ciebie nie upomną. Nie będzie wybitnego adwokata. Wystawią cię, jak wystawili Mostka. A ja załatwię cię tak, że do końca życia będziesz oglądał świat zza krat. Nic? Dobra. To zastanów się chwilę.

Berg przeszedł do pokoju za lustrem. Młody skończył lekturę bardzo krótkich akt chłopaka i teraz razem czekali na jego reakcję. Aresztowany ruszał nerwowo nogą. Przez jego zaciśnięte powieki przeciskały się łzy złości. Zerwał się nagle i cisnął krzesłem o ścianę, rzucając w powietrze wiązkę wyzwisk.

— *Jackpot* — Młody uśmiechnął się smutno, zdając sobie sprawę z tego, że wszystko, co mówił Berg, było prawdą. Rozwijający się przed ich oczami pokaz furii był tańcem porażki i złych wyborów, w które uwikłał się ten

dwudziestopięcioletni chłopak. Berg przejął strony z aktami i rzekł z zawodem w głosie:

— Adam Drzewiecki... Mówiłem już, że rzadko się myłę? Teraz twoja kolej. Idź i graj dobrego psa.

Młody zabrał akta, notes z długopisem i przeszedł do pokoju przesłuchań. Gdy do niego wszedł, aresztowany stał w kącie ze splecionymi rękami, jakby przytulał sam siebie. Uspokoił się już nieco, choć nadal oddychał pospiesznie. Podkomisarz patrzył na niego przesyconym współczuciem wzrokiem. Wyciągnął z kieszeni spodni paczkę papierosów, położył ją na stole i usiadł.

— Częstość się...

Chłopak zajął miejsce naprzeciwko i trzęsącymi się dłońmi zapalił papierosa.

— Ale sobie nagrabiłeś, Adaś... — Policjant westchnął ciężko i otworzył akta. — Kradzież, wymuszenie, zastraszanie, kradzież, kradzież... — Zamknął teczkę i nachylając się nad stołem, spojrzał mu prosto w oczy. — I na końcu będziesz miał morderstwo pierwszego stopnia... Po co ci to było, chłopaku? Patrzę na te akta i wiesz, co widzę? Drogę złych wyborów, zakończoną dożywociem. I chcę wiedzieć, dlaczego? Nie biedujesz, rodzice pracują, mama w urzędzie, tata w telekomunikacji... Nie lepiej byłoby założyć rodzinę?

— Wiesz jak to jest, nie dorastać do oczekiwań ojca?

— Nawet bardzo dobrze. Mój tata był wojskowym — zaczął wymyślać Młody. Stojący po drugiej stronie lustra Berg zainteresował się przesłuchaniem jeszcze bardziej, gdyż podkomisarz, w swoich kłamstwach, wydawał się nadzwyczaj prawdomówny — wysokie stanowisko, wczesna emerytura i duże pieniądze. Chciał, żebym poszedł w jego ślady i był bardzo rozczarowany tym, że wstąpiłem do Policji. Mówił, że to robota dla silnych idiotów, a nie dla inteligentnego mięczaka, za jakiego mnie miał...

— I teraz zmienił zdanie?

— Nie. Nie żyje. A ja nadal tu jestem i robię swoje. Widzisz, Adaś, każdy z nas pracuje na własny rachunek. A ty? Na czyj rachunek tak sobie życie spierdoliłeś?

Chłopak sięgnął po kolejnego papierosa i powiedział:

— Będę potrzebował ochrony.

— Nie dostaniesz korony, Adaś...

— Dlaczego nie?

— Chłopaku... Dwie godziny temu zabiłeś człowieka. To cię wyklucza z programu ochrony świadków. Przykro mi. Ale zawsze jest coś, co mogę dla ciebie zrobić. Jeśli dasz mi coś wartościowego, co mogę użyć przeciwko gangowi, możemy liczyć na łagodniejsze traktowanie czy poprawę warunków w więzieniu... Wiem, że to kiepsko brzmi, ale chcę być z tobą szczerzy, to wszystko, co mogę dla ciebie zrobić.

Adam odchylił się na krześle. Załamany przetarł twarz dłonią. Powinien pomyśleć trzy razy, zanim sięgnął po nóż... Trzy razy! Milczał, więc Młody zapytał konkretnie:

— Kto chciał cię wkręcić do gangu?

— Rudy — odparł po chwili zastanowienia. Policjant sięgnął po długopis i zaczął notować.

— Czym zajmuje się Rudy?

— Ochroną. Jak szykuje się akcja, zbiera ludzi i daje im sprzęt.

— Broń?

— Mają pistolety i kilkanaście karabinów.

— Chciałeś się wkręcić na jakąś akcję?

— On dobrze płaci...

— Chciałeś się usamodzielnąć, co? Wyprowadzić od starych? Wiesz coś o tej akcji?

— Tylko tyle, że ma być zaraz na początku sierpnia. To przejęcie towaru z Rumunii.

— Jak dotarłeś do Rudego? Zabrał cię kiedyś do ich siedziby?

— To się miało dopiero stać. Ja znam Rudego od lat. Z sąsiedztwa. Nawet nie wiedziałem, że on robi takie rzeczy, sam się do mnie zgłosił, czy jestem zainteresowany. Powiedziałem, że tak, i on na to, że najpierw muszę zapracować na zaufanie. Wystawił mnie na Mostka i kazał pilnować, czy nie będzie gadał z psami... Nie powiedział dokładnie, o co chodzi, tylko żeby go skasować, jakbyście do niego dotarli.

— Nie pytałeś o szczegóły, co?

— Czasami lepiej nie wiedzieć.

— Czasami tak...

Rozmowa z Adamem niewiele wniosła do sprawy. Wniosła natomiast dużo do postrzegania Młodego przez Berga. Był zaskoczony jego obyciem przy przesłuchaniu, zadawaniem odpowiednich pytań, zdobywaniem zaufania i kłamaniami jak z nut! Niby nie był doświadczony, jak to określił Tyszka, ale w końcu musiał sobie czymś zasłużyć na stopień podkomisarza. Gdy zakończył przesłuchanie, powiedział, że teraz sam musi zapalić, a potem sprawdzić wszystko, co mieli na tego Rudego. Berg znał na pamięć kartotekę tego gangstera, jednak nie podzielił się swoją wiedzą z kolegą. Pozwolił mu odejść, bo zauważył zbliżającego się do nich aspiranta Chaberskiego. Zresztą nie chciał podawać nowemu wszystkiego na tacy. Chaber odprowadził podkomisarza wzrokiem, po czym zwrócił się do przełożonego:

— Wszystko w porządku? Niezła akcja się wykroiła...

— W porządku. Pomijając fakt, że straciliśmy dzisiaj dobrego świadka, a zyskaliśmy małoletniego mordercę.

— To Młody tak hop do przodu wyskoczył?
— Tak, ale to nie jego wina... Dobrze chciał. Zgarnęlibyśmy Mostka, gdybym się nie zagapił...
— Byliście tam obaj, więc odpowiedzialność jest wspólna. Sprawdziłem Młodego, tak jak prosiłeś.
— I co?
— Jest w porządku... — odparł Chaber, kręcąc głową na boki.
— Nie brzmisz przekonywująco. Dlaczego?
— Wiesz, jaki zawsze jest bajzel w systemie? Brakuje danych, czasami nawet są sprzeczne! Złe daty ktoś wpisał albo literówki są... A u niego wszystko śpiewa i tańczy! Wszystko wypełnione na tip-top i nawet zdjęcie aktualne!
— I to jest dla ciebie podejrzanе? — z uśmiechem zapytał Berg.
— No, pytał szef o opinię fachowca, to ją daję!
— Wiesz co, Chaber? Gdyby nie Młody, dzisiaj już bym nie żył. Myślę, że jednak zasłużył na ten mały kredyt zaufania. — Aspirant przytaknął i oddalił się, a Berg zadzwonił do Ewy zapewnić, że dzień przebiega całkiem zwyczajnie.

+

ROZDZIAŁ PIĄTY

ŹRÓDŁA

Następnego dnia szyby wydziału narkotykowego ociekały strugami deszczu. Z samego rana dozorca Władek i trzech aspirantów z „Szakala” próbowało wprowadzić do pokoju komisarza biurko dla nowego członka grupy. Berg siedział już przy swoim, starając się skupić na sporządzaniu raportu z zatrzymania Drzewieckiego. Nie szło mu jednak za dobrze, bo odbywający się tuż obok pokaz nieporadności całkowicie go rozpraszał. Pan Władek i Chaber trzymali mebel od strony korytarza, a Mazur i Impuls byli już w środku. Biurko utkwiło pośrodku ramy. Mocowali się z nim już od dziesięciu minut, kiedy przyszedł Młody. Dołączył do grupy w korytarzu, zajmując miejsce starego dozorca, ale jego pomoc na niewiele się zdała. Choć blat z pewnością był drewniany, reszta biurka wyglądała na zbudowaną z lekkich płyt. Z niewiadomego jednak powodu, przeniesienie go z wózka (który nie mieścił się w futrynie drzwi) do pomieszczenia sprawiało tym czterem dorosłym mężczyznom sporo problemów.

— No, weźcie pchajcie trochę! — krzyknął Impuls.

— Przecież pchamy, kurwa! — zapewnił go Chaber.

— A chuj pchacie, przecież to nawet nie drgnie!

— To ciągnijcie mocniej!

Mazur pociągnął tak mocno, że biurko wyślizgnęło mu się z rąk i spadło na stopę Impulsa. Ten zawył z bólu, po czym powstrzymując się, żeby nie przyłożyć koledze, syknął:

— Kurwa... Weźcie to!

W końcu Berg podniósł się z krzesła i razem z Mazurem unieśli ciężar, żeby uwolnić stopę. Aspirant pokuśtykał na bok i zaczął rozmasowywać bolące miejsce. Komisarz kazał im postawić biurko na ziemi i zapytał:

— Czy wy je, kurwa, opróżniliście najpierw?

— No tak... — zaczął Chaber i spojrzał na dozorcę — chyba.

— A ja nie wiem. Mi to chłopaki z logistyki wsadzili na wózek...

— Z logistyki, tak? — Chaber otworzył boczną szafkę, która okazała się wypełniona po brzegi starymi kodeksami karnymi. — Skurwysyny...

Berg pokręcił głową, zawiedziony głupotą własnej grupy, i poprosił:

— Panie Władku, niech pan jakiś śrubokręt przyniesie, bo tu uchwyt zaczepia o futrynę.

— Ja im tego, kurwa, nie daruję — zarzekł się Impuls, dochodząc już do siebie. Chłopaki opróżnili szafkę i szuflady. Odkręcili wystający zanadto uchwyt, aby spokojnie wnieść mebel do środka.

Kilka minut później Młody siedział w biurze Berga już przy własnym biurku. Otoczył się toną raportów. Porównywał ilości przechwyconych narkotyków z ostatnich pięciu lat. Berg obserwował go z zaciekawieniem.

— Widzę, że przyniosłeś ze sobą cały las... Aż tyle zebrało się tego od roku?

— Od roku?

— Sprawę prowadzę od roku...

— A tak! Nie, to nie tylko od roku. Wziąłem kilka lat wstecz. A nuż może nagle coś z tego wyskoczy.

Berg uśmiechnął się półgębkiem. Nowy partner wykazywał nadgorliwość, głupotę albo nadzwyczajną przenikliwość — komisarz nie był jeszcze pewien, co. Nie wydawał mu się jednak głupi, więc może Młody wpadł na coś, co on sam przeoczył. To niemożliwe. Nikt nie wie o sprawie więcej niż on.

Czas upływał. Siedzieli już w papierach i monitorach od kilku godzin, co zaczęło powodować napięcie w dolnej części pleców Berga. Wstał od biurka i podszedł do Młodego. Spojrzał mu przez ramię i powiedział:

— Patrzysz się w te kolumny liczb już od kilku godzin, nie zlewają ci się?

— Powoli zaczynają...

— Znalazłeś coś?

— Tylko ogólne spostrzeżenia. Na przykład, odkąd Wilk pojawił się na rynku, w obiegu znacznie wzrosła ilość heroiny.

— To jego specjalność... Ale w Polsce nie ma za dużego popytu na heroinę, więc jego podgrupy handlują, czym się da. Hera, powiedziałbym, jest jego prywatnym zamiłowaniem i robi co może, żeby się rozpowszechniła.

— Na przykład?

— Zaczęło się od tego, że kazał dilerom dodawać dawkę za gratis do zakupu mety i koksu. Jak już ćpun raz spróbował hery, to tylko po nią chciał sięgać.

— Mądry z niego biznesmen...

— Dlatego jest bossem.

— Jak bardzo ważnym?

— Dla jednych bardzo, dla innych niewiele... Tam przepychają się o prestiż, całkiem nie gorzej niż cebosie o stołki. Wilk jest teraz na fali — trzęsie Mokotowem, ale walczy o więcej. Chłopaki z Żoliborza mu się stawiają, zaczynają walczyć o teren i wpływy.

— Może trzeba by ich zostawić samych sobie. Niech się powybijają.

— Prędzej by się dogadali... Zawsze będą ścierające się ze sobą grupy, a nie zdejmujemy wszystkich naraz... Kartel mokotowski jest o tyle ważny, że wydaje się najbardziej brutalny. Haracze, kradzieże i wymuszenia są na porządku dziennym, w każdej grupie, ale na przykład morderstwa są nieco rzadsze.

— W mokotowskiej jest inaczej?

— Jest inaczej. Nie wiem, ile już razy nachodziłem się w tej sprawie z chłopakami z krymy...

— Dobra, myślę, że należy nam się mała przerwa — powiedział Młody, odsuwając krzesło od biurka. — Trzeba oczyścić umysły...

— Tak, panie Budda?

— Poważnie, do życia potrzeba tlenu. No, co zazwyczaj robisz, żeby się

oderwać?

— Ja się nie odrywam — poważnie zapewnił komisarz.

— Dalej, Berg! Musi być coś, co pomaga ci myśleć, co przynosi ci trochę odprężenia...

— Naprawdę chcesz iść tą drogą?

— *Come on...*

— Dwie rzeczy: jogging i strzelnica.

— Na jogging, niestety, mnie nie namówisz.

— No, to chodźmy.

— Gdzie? — Berg już zdążył wstać i podejść do drzwi.

— Idziemy strzelać, czy nie?

— Okej... Czemu nie. — Młody próbował zabrzmieć pewnie i konkretnie, jednak w jego głosie dało się słyszeć wahanie.

Nie lubił strzelać. Zawsze patrzył na broń z niesmakiem, nie znosił jej ciężaru i nie opuszczało go poczucie obawy przed fatalnym zagrożeniem, które niosła ze sobą każda wystrzelona kula. Oczywiście, był obyty z bronią, jak każdy oficer policji, jednak wzrastał w przekonaniu o swoim pacyfistycznym usposobieniu i choć na potrzeby wykonywanego zawodu musiał ową postawę nagiąć, pewna część jego serca pozostawała niechętna przemocy, a broni palnej w szczególności. Komisarz postawił go więc w niewygodnej sytuacji, a żeby oddać sprawiedliwość rzeczywistości, należałoby raczej rzec, że sam się w tej sytuacji postawił. Niepotrzebnie pytał, ale teraz było już za późno. Za wszelką cenę nie chciał pokazać po sobie dystansu. Nadszedł czas, żeby czymś się wykazać, zaprezentować drzemiącego w nim gliniarza.

Osie strzeleckie znajdowały się w piwnicy budynku. Komisarz przychodził tam dość często. Starsi współpracownicy wiedzieli, że jeśli jest w wydziale, a nie ma go w biurze, na pewno siedzi w piwnicy. Nie trenował od ostatniego postrzału w ramię. Lekarz ostrzegał przed nadwężaniem i Berg próbował dostosować się do zaleceń. Skoro jednak ramię przetrwało wizytę u Kozaka, da sobie też radę z glockiem.

Gdy komisarz otworzył drzwi strzelnicy, uderzył ich ostry zapach prochu, który nie zdążył całkiem opaść po treningu oddziału ate, jaki odbył się kilka minut wcześniej. Podeszli do stanowisk i założyli ochraniacze słuchu i wzroku.

— Jesteś dobry? — zapytał Berg.

— Chyba nie najgorszy...

— Bezpiecznie powiedziane. Dobra. Dawaj.

Obaj umieścili na zaczepach tarcze i odesłali je na koniec torów. Wymierzili jednocześnie i oddali równo po osiem strzałów. Młody strzelał dotąd bardzo rzadko. Tylko wtedy, kiedy musiał. Jak echo w głowie powracały do niego słowa

pierwszego instruktora, który powtarzał, że broń nie jest niebezpieczna, tylko ludzie, którzy po nią sięgają. Podkomisarz nie uważał się za niebezpiecznego, jednak patrząc na pistolet, widział w nim uśpioną, potężną bestię, która może odebrać życie człowiekowi. Nigdy nikogo nie zabił i miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał.

— I jak? — zapytał Berg z mimowolnym uśmiechem. Młody zdał sobie sprawę, że strzelanie musi mu sprawiać naprawdę wielką przyjemność.

— No... normalnie...

— Co normalnie? — Berg stanął bokiem do toru, przodem do Młodego i zsunął słuchawki na szyję. — To nigdy nie jest normalne. Każda kula, którą wysyłasz w powietrze coś znaczy. Jakąś emocję, jakąś myśl o czymś, o kimś... To część ciebie, która pędzi szybciej od dźwięku.

— Traktujesz to, widzę, całkiem poważnie...

— Oczywiście, że poważnie. Jestem gliną. Broń, to przedłużenie mojej woli. Twojej też, więc skup się i tym razem uważaj, co robisz.

Młody nieco się speszył, ale nie zważając za bardzo na przesadzone emocje Berga, stanął w pozycji gotowej do wystrzału. Kiedy komisarz włożył ponownie słuchawki na uszy, obaj oddali kolejny strzał. Berg spojrzał na tarczę Młodego i z dezaprobatą pokręcił głową.

— Widzisz, w ogóle nie słuchałeś, co powiedziałem. Twój ostatni strzał był gorszy niż poprzednie... Jak to możliwe?

— Widzisz z tej odległości? Słuchaj, może nie jestem mistrzem świata w strzelaniu...

— Ale jesteś w chybieniu... Za każdym razem szarpiesz spust. Gorzej niż Chaberski! Nie prowadzisz też samochodu... Młody... Gdzie są twoje talenty?

— Dobra! Chcesz się sprawdzić?

— Z tobą? Daruj sobie...

— Dlaczego? W sumie jestem dość pewny siebie. Mam takie same szanse jak ty.

Berg spojrzał na niego przenikliwie. Podobała mu się ta młodzieńcza brawura, choć przypuszczał, że Młodym kieruje teraz bardziej chęć obrony własnej dumy niż pewność siebie. Wyciągnął rękę ku rywalowi i rzekł:

— Jeśli przegrasz, przez tydzień kupujesz i przynosisz mi rano kawę do biura.

— A jeśli wygram?

Berg uśmiechnął się i pokręcił głową, ale kiedy chwycił za słuchawki, Młody powstrzymał go mówiąc pewniejszym głosem:

— Nie, no poczekaj — co, jeśli wygram?

— Nie wiem... Jaką chcesz nagrodę?

Pomyślał przez moment, po czym odpowiedział:

— Jeśli wygram, ty kupujesz i przynosisz mi od rana kawę.

— Stoi.

Wymienili tarcze na nowe, po czym Berg oddał koledze pierwszeństwo. Młody obrócił się szybko ku torowi. Pełen skupienia, poprawiając sylwetkę co strzał, wypuścił z pistoletu osiem kul w krótkich, równomiernych odstępach. Kiedy skończył, uśmiechnął się do siebie zadowolony i przywołał cel przyciskiem. Osiem kul dotarło do celu. Wszystkie znajdowały się w obrębie głowy lub torsu.

— Nieźle.

— Zaczynasz się bać? — Komisarz odpowiedział ironicznym parsknięciem. Nacisnął guzik mechanizmu tarczy i patrzył na konkurenta z półuśmiechem do czasu, gdy cel dotarł do końca osi. W końcu odetchnął głęboko, wymierzył i jedną szybką serią oddał osiem strzałów. Bum! Bum! Bum! Łuski wylatywały prawą stroną pistoletu, niczym krople deszczu. Ponownie nacisnął guzik i gdy tarcza dojechała z powrotem, powiedział:

— Duża, na podwójnym espresso, z małą ilością mleka... Bez cukru.

Młody spojrzał na papierową ofiarę, która miała tylko jedną, nieco większą dziurę w okolicy serca.

— Przecież jest tylko jedna dziura...

Berg nachylił się, by uważniej przyjrzeć się wynikowi i odparł:

— Zgoda. Jest jedna dziura... przez którą przeszło osiem kul.

Młody przyjrzał się ponownie tarczy z niedowierzaniem, kiedy w kieszeni komisarza zadzwonił telefon.

— Berg... Tak... Tak? Dobrze. Będziemy tam za pół godziny.

— O co chodzi?

— Kozak zaprosił nas na pogawędkę...

— A tego się nie spodziewałem.

— Mówiłem ci: szacunek.

Pół godziny później weszli na teren więzienia. Kozak czekał na nich jak ostatnio — sam. Tym razem nie miał na rękach kajdanek, za to jedna z nich została unieruchomiona ortezą. Strażnik wpuścił policjantów do sali. Berg zachowywał się naturalnie, jakby przyszedł w odwiedzin do ojca lub brata. Młody z kolei, choć próbował wyglądać na spokojnego, bił się z myślami, czy teraz to Kozak nie będzie chciał się odegrać...

— Jak ręka? — zapytał Berg.

— Jak nie ruszam, to nie boli... — odpowiedział Kozak. Westchnął ciężko i mówiąc półtonem, zaczął: — Mam dla ciebie temat. Ale potrzebuję, żebyś coś dla mnie zrobił.

— Słucham.

— W tym tygodniu w więzieniu nie ma odwiedzin, a moja córka za dwa dni kończy osiem lat. Chciała się ze mną zobaczyć...

— Załatwione — zgodził się Berg. Kozak lekko się uśmiechnął, jakby powstrzymując skurcz mięśni twarzy. Nie chciał pokazać po sobie, że jest zdolny do ludzkich uczuć. Kontynuował:

— Przerzut będzie w nocy z pierwszego na drugiego sierpnia. Godziny jeszcze nie znam, ale pewnie w ogóle jej nie ustalono. Zazwyczaj dostawca kontaktuje się jakieś pół godziny przed przyjazdem. To będzie duża paczka.

— Hera?

— Tak... Będą dobrze obstawieni... To wszystko, czego się dowiedziałem — zakończył Kozak. Telefon w kieszeni Berga wydał pisk. Komisarz wyjął go, spojrzął na ekran i w milczeniu odczytał: „Numer zastrzeżony: opuszczona zajezdnia. wydawnicza.” Schował komórkę z powrotem i wstając z krzesła, powiedział:

— Jak córka ma na imię?

— Zosia.

— Miłego spotkania z Zosią... — pożegnał się. Jeszcze tego samego dnia zaaranżował Kozakowi spotkanie z rodziną i upewnił się, że nie zabraknie na nim tortu dla dziecka.

Policjanci wyjechali z więziennego parkingu. Deszcz nie przestawał padać. Kiedy dotarli do pierwszego skrzyżowania i Berg pojechał prosto, Młody zauważył:

— Nie wracamy do biura?

— Pojedziemy na starą zajezdnię tramwajową. Spotkamy się tam z moją wtyczką.

Kilka minut później dojechali do zajezdni. Pośrodku pustej przestrzeni stało duże zadaszenie. Dwie obdrapane, rozpadające się ściany i masywne sklepienie, pokryte kolorowym graffiti. Pod sklepieniem stał już zaparkowany bordowy golf TDI. Zakapturzony mężczyzna niskiego wzrostu stał obok samochodu, opierając się o maskę. Nie ruszał się. Nie poruszył się nawet o milimetr, gdy Berg podjechał swoim fordem. Nie poruszył się też, gdy obaj policjanci wysiedli z wozu i ruszyli w jego stronę. Patrzył na Berga spod kaptura, z rękami splecionymi na piersi.

— Kto to, kurwa, jest? — zapytał, kiwnąwszy głową na Młodego.

— Spokojnie Mario, to Młody, pracuje ze mną — odpowiedział Berg. Mario przyjrzał się Młodemu w milczeniu. Był wyraźnie zaskoczony obecnością osoby trzeciej. Stawał to na prawej, to na lewej nodze, patrzył na Młodego lekko przymrużonymi oczami.

— Masz coś dla mnie? — zapytał komisarz, przerywając milczenie.

— Wilk nieźle się wkurzył ostatnią akcją...

— Nie dziwię się. Zgarnęliśmy od niego nieco towaru...

— Ty zgarnąłeś. Nie tylko towar. Stracił też schowek i Kozaka. Stał się ostrożniejszy. Zorganizował więcej schowków... Najbliższy przerzut zaplanowali

na noc z pierwszego na drugiego.

— Tego już zdążyłem się dowiedzieć.

— Towaru będzie dużo. Przywiezie go jedna ciężarówka chłodnicza. Wyładowana mięsem i herą. Wilk przyjedzie z około dwunastoma ludźmi. Trzy samochody. Przeładują towar i rozjadą się do różnych nor... Spierdolicie akcję w momencie przerzutu, to możecie się pożegnać z towarem.

— To się nie stanie — wtrącił Młody. Mario spojrzał na niego pobudzony.

— Słyszałeś, co powiedziałem?! Trzy samochody. Będzie około dwunastu ludzi, może więcej. Każdy obładowany prochem. Wilk jest wkurwiony za norę Kozaka. Nie puści łatwo nowego towaru...

— A nowe nory? Wiesz, gdzie są?

— Ten twój Młody w ogóle mnie nie słucha! Wilk jest kurewsko ostrożny. Prędzej sprzeda własną matkę, niż lokalizacje nowych schowków. Tylko kierowcy je znają, a raczej poznają tuż przed akcją.

— Wiesz, skąd przyjeżdża towar? — zapytał Berg.

— Towar jest rumuński, ale z tego, co wiem, jest już w Polsce.

— Już jest? — ożywił się Młody. — Może uda się nam zlokalizować go wcześniej.

— Młody i głupi jesteś, chłopaku — zaczął Mario. — Towar trzymają teraz w jakimś mięsnym. Wiesz, ile chłodni jest w tym kraju? Nawet jeśli ograniczycie się tylko do kilku z nich, to psy wam nie pomogą. Zmyli je zapach mięsa. Trzeba by było sprawdzać wszystko ręcznie, a to raczej niemożliwe...

— Niekoniecznie. Młody ma rację, nie ma co tracić czasu. Będziemy próbować wywęszyć towar. Jakbyś dowiedział się czegoś nowego...

— Odezwę się, pewnie.

Berg przytaknął. Odesłał Młodego do samochodu, a sam został z Mario przy bordowym golfie.

— Skąd się wziął ten chłopak?

— To podkomisarz Sikorski. Przeprowadził się niedawno z Katowic. Nie czepiaj się.

— Jak chcesz... Proca, nie spierdol tego przerzutu.

— Boisz się?

— Jasne, kurwa, że się boję! Gadając z psami, ryzykuję życiem.

— Wiem. Trzymaj głowę nisko, nie ryzykuj spotkania, jak nie jesteś pewny, że jest czysto...

— Zawsze to robię. Kurwa, czasami czuję, że jestem już martwym człowiekiem.

Rozmawiali jeszcze przez moment, po czym Berg wrócił do samochodu. Młody patrzył na niego badawczo:

— Skąd go wzięłeś?

— Mario jest blisko gangu Wilka, to wszystko, co musisz wiedzieć. Tak naprawdę, to wszystko, co chcesz wiedzieć. I ja też... Prawdopodobnie, gdyby było dla nas jasne, czym się zajmuje, musielibyśmy go z biegu zatrzymać, a wtedy straciłbym cenne źródło informacji. Czasami jedyne, jakie mam.

— A jak go znalazłeś, nakłoniłeś do współpracy?

— Przyłapałem go na sprzedawaniu marychy w Łazienkach. Dostał ultimatum — więzienie albo współpraca. Nie zastanawiał się długo. Ma liczną rodzinę.

— Jeśli ma tak szczegółowe informacje, nie może być zwykłym dilerem od marychy...

Berg posłał Młodemu spojrzenie nieznoszące nachalności. Oczywiście wiedział, że Mario musi robić coś więcej niż rozprowadzanie konopii po parkach. Informacje, które mu dostarczał, były istotnie na wysokim poziomie gry i z pewnością nie były to informacje tanie. Trzeba było na nie zasłużyć. Po chwili namysłu Berg wyjaśnił z uśmiechem:

— Myślę, że to dzięki jego osobowości. Umie się wkręcić, jest lubiany, ludzie darzą go zaufaniem... Gadają.

Podkomisarz zrozumiał, że takie wyjaśnienie jest faktycznie najwygodniejsze dla Berga. Postanowił nie drażnić tematu, chociaż czuł się źle z fragmentaryczną wiedzą. Wolałby mieć pełny obraz człowieka, z którym ma do czynienia. Wymusił uśmiech i zapytał:

— Od czego zaczniemy poszukiwania?

— Nie zaczniemy.

— Nie rozumiem. Mówiłeś, że możemy sprawdzić te mięsne...

— Ten przerzut to wyjątkowa sprawa. Tym razem nie chodzi mi o narkotyki. Chcę dorwać Wilka.

Młody ponownie poczuł się odsunięty od prawdy.

— To dlaczego przy Mario przyznałeś mi rację?

— Mario jest wtyką. Nie musi wiedzieć wszystkiego, co chodzi mi po głowie. A! I następnym razem postaraj się nie klepać tyle ozorem.

— Tak jest...

Rzeczywiście, Berg rozporządzał swoimi przemyśleniami rozważnie. Młody przełknął z trudem ten moment porażki. Zastanawiał się, ile jeszcze asów w rękawie ma jego nowy partner, który ewidentnie przewyższał go w obyciu i manewrowaniu specyficznymi zasadami gry między policją a półświatkiem. Dostrzegł i docenił akt solidarności, jaki zaprezentował komisarz przed dilerem. W rzeczy samej — lepiej, żeby ci z drugiej strony prawa widzieli zjednoczenie i zgodność policjantów, nawet jeśli jej tam nie było. Pod tym względem policja jest jak kościół, musi pozostawać solidarna. W przeciwnym razie może dojść do schizmy, a ta prowadzi do osłabienia. Każdy rozjazd myśli, przeinterpretowanie

prawa i moralnego postępowania, podaje w wątpliwość praworządność i istnienie Prawdy. Po tej drugiej stronie, w przestępczym półświatku, brak lojalności bywa karany śmiercią.

Słońce rozgrzewało rozstawione na kawiarnianych stolikach szklane popielnice. Był środek tygodnia. Wczesne rano. Warszawa obudziła się już dawno, a mimo to Rynek Nowego Miasta był niemal pusty. Miejscowi docierali do pracy, tłocząc się w transporcie publicznym lub uderzając pięścią w klaksony swoich cennych samochodów. Turyści, których o tej porze roku w stolicy jest znacznie mniej niż na wiosnę czy jesień, jeszcze nie zwlekli się z łóżek, jeszcze nie odzyskali sił po nocnych libacjach. Tymczasem, właśnie w samym sercu miasta, wzniesionego na gruzach świetności i krwi patriotów, spotkało się dwóch mężczyzn. Wyglądali całkiem zwyczajnie, ani jak ludzie biznesu, gdyż nie nosili garniturów, ani jak gangsterzy, gdyż nie budzili grozy. W rzeczywistości byli jednym i drugim — bossami grup narkotykowych. Nie łączyły ich jednak interesy, a wzajemna niechęć. Popijali kawę, wyzywając się gestami i spojrzeniami. Pierwszy z nich, postawny i szeroki w barach, co jakiś czas przeczesywał dłońią siwą grzywkę. Na nosie miał ciemne okulary, a w dłoni tłące się cygaro, które przywiózł z ostatnich wakacji na Malcie. Siedział zrelaksowany, oparty i lekko osunięty na krześle. Drugi był smukły i bardziej wyrafinowany w ruchach. Wykonywał je oszczędnie, siedział prosto i mierzył rozmówcę ostrym spojrzeniem. Marszczył lekko czoło, splatał dłonie na stole. Irytowała go postawa tego drugiego, lecz przez cały czas mówił do niego opanowanym tonem.

— Chcę, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Nie mam zamiaru wchodzić wam w drogę, ale jeśli nadal będziecie naruszali mój teren...

— To co? — burknął poważnie „Wujek”, boss grupy żoliborskiej, strząsając nieco cygaro. Odczekał chwilę, po której roześmiał się głośno. — To nie jest TWÓJ teren, synku. Mamy wolny rynek i jeśli klient woli nasz towar, to ja mu go dostarczę. A pogrożki, to zachowaj dla swoich pomagierów.

— Posłuchaj, skurwielu! Mokotów jest mój, mam nadzieję, że mówię to wyraźnie i że dociera to do twojego pustego łba. Po raz ostatni proponuję ci pokojowe rozwiązanie — ustalmy granice handlu, nie wchodzimy sobie w drogę.

— Już puszczają ci nerwy, synku... Jesteś słaby. Lider i gangster z ciebie żaden. Za to psychopata, owszem. A z takimi się nie układam.

— Chcesz iść ze mną na wojnę?

— Nie muszę. Zanim do niej dojdzie, rozjebią cię psy. Chodzą słuchy po mieście, że są już tak blisko ciebie, że niemal słyszą twój zasapany oddech.

— Ktoś cię źle poinformował.

— Czyżby? Może i tak. Kto wie, może to ja pierwszy wyląduję w ciupie. Kto wie... Kto wie... Ale powtarzam: z psycholami się nie układam. — Dopił

ostatni łyk kawy, wyłożył na stół dwadzieścia złotych i wstał, dodając: — Jeśli chcesz mieć szacunek na mieście, synku, musisz na niego zasłużyć. Mnie nie sterroryzujesz, za dużo smyczy trzymam w garści. Swoją drogą, myślałem, że wilk jest zwierzęciem stadnym, a ty się zachowujesz jak samotny furia.

Wilk przełknął gorzką ślinę porażki. Nigdy nie był dobrym negocjatorem, wolał mocne, jednoznaczne argumenty siły. Wujek potraktował go jak uczniaka i to nie mogło mu ujść płazem. Jednak za dużo działało się ostatnio, atak nadciągał z każdej strony. Grupa żoliborska będzie musiała poczekać na swoją karę. Najpierw trzeba strzepnąć z pleców te plugawe psy. Sięgnął po telefon i po kilku sygnałach powiedział do mikrofonu:

— Puść legendę na miasto, że zmieniamy miejsce targu.

— Lokalizacja wyciekła? — odezwał się z drugiej strony Tarkin, najbliższy współpracownik Wilka.

— Nie sądzę. Ale nie zaszkodzi blefować.

— Może warto to odwołać?

— Nie! Nie trzeba. Chcę się tylko zabezpieczyć.

Oczywiście Tarkin, już kilka razy, doradzał Wilkowi zaniechanie całej akcji. Jakikolwiek ryzyko było przecież szaleństwem! Gdyby chodziło o inny przerzut, boss by go posłuchał, chodziło jednak konkretnie o heroinę — jego oczko w głowie, i w tej kwestii pozostawał uparty. Już następnego dnia zainteresowani tematem otrzymali fałszywą informację o zmianie miejsca przerzutu. Najważniejsze było jednak to, by ta wiadomość dotarła do służb.

Komisarz Berg miał kilka źródeł informacji, które karkołomnie wypracowywał przez miesiące i lata pracy w Policji. Często polegał na zadaniach rozpoznawczych swojej grupy, obserwacjach, podsłuchach, niewielkich przykrywkach, jednak doświadczenie nauczyło go, że bezpośredni kontakt z wrogiem przynosi niezastąpione efekty. Toteż spotykał się ze swoimi kontaktami regularnie i umacniał relacje z nimi (na przykład poprzez długie rozmowy przy wódce lub przypomnianie im, ile ma na nich haków). Jednocześnie starał się trzymać ich istnienie w tajemnicy, chronić ich anonimowość. Z Mario było inaczej, bo był informatorem kilku oficerów i wszyscy oni o tym wiedzieli. Można by powiedzieć, że kolekcjonował on kontakty. Berg podejrzewał, że robił to po to, żeby przygotować sobie bezpieczne wyjście ze środowiska przestępczego i mieć czym się wykupić za wszystkie przewinienia, do których przyłożył palec. Spodziewał się, że prędzej czy później poprosi służby o ochronę. Paradoksalnie ta swoista nieostrożność z jego strony dawała mu niejako poczucie bezpieczeństwa. Jakimś cudem jedynie, udawało mu się zachować to w tajemnicy przed kolegami ze świata przestępczego. Tylko z tego powodu Berg nie miał żadnych oporów przed zapoznaniem go z Młodym.

Z innymi kontaktami było inaczej, dlatego tego wieczoru komisarz

zwyczajnie pożegnał się ze współpracownikami i niby to wracając do domu, pojechał w zgoła inną stronę.

Ledwo wyszedł z biura, reszta grupy szybko zwinęła się i również rozeszła w swoich kierunkach. Młody pojechał na Służewiec, do pustego mieszkania w pięknym apartamentowcu, w którym czekał na niego włączony telewizor. Zawsze zostawiał go na chodzie, tylko dlatego, że z jakiegoś powodu niewygodnie czuł się w ciszy. Szczególnie w tej otoczonej czterema ścianami. Nie oglądał emitowanych programów. Jedynie, od czasu do czasu, włączał na nim film albo mecz piłkarski. Teraz nie miał ochoty na żadne z tych, toteż podszedł do odtwarzacza CD, który mimo postępującej technologii, sprawiał mu o wiele więcej przyjemności w użytkowaniu niż smartphone czy tablet. Zawsze włączał najpierw muzykę, dopiero później wyłączał telewizor, żeby uniknąć momentu ciszy. Przeleciał wzrokiem po grzbietach płyt. Nie znalazł niczego, co wpasowałoby się w jego samopoczucie. To się bardzo rzadko zdarzało! Może potrzebował uzupełnić nieco audiotekę... Tyle działa się ostatnio. Zmiany. Nowa praca, ludzie. Każdego dnia próbował wykazać się jako dobry glina, a przede wszystkim zyskać pełne zaufanie grupy „Szakał”, a Berga w szczególności. Czuł, że idzie mu z tym coraz lepiej, jednak nadal miał wrażenie, że jest trzymany na uboczu, że komisarz nie mówi mu o wszystkim. „To przecież dopiero początek” — przypomniał sobie. Zostawiając telewizor na chodzie, wyszedł z mieszkania.

Czarny ford taurus zaparkował przed pubem „Magnez”, w którym mieścił się nocny klub i nieoficjalna agencja towarzyska. W przeciwieństwie do wielu kolegów, komisarz Berg nie przepadał za podobnymi miejscami. Być może dlatego, że nigdy dotąd nie skorzystał z oferowanych przez nie usług. Z kolei inni znani mu oficerowie czasami ulegali pokusom, uruchamiając tym samym lawinę nierządu i niebezpiecznych związków, które przecież mogły ich kosztować karierę.

Berg przeszedł przez pub, mijając kilka tańczących, wijących się wokół rur dziewczyn. Usiadł przy barze i zamówił szklankę whisky. Cały seksowny spektakl odbywał się tuż za jego plecami. Kiedy zaczął konsumować trunka, dosiadła się do niego jedna z kobiet. Była bardzo szczupła i dość wysoka. Poruszała się płynnie, falując przy tym całym ciałem tak, jakby była w pełni świadoma każdego, najmniejszego wykonywanego przez siebie ruchu. Skąpo wykrojony stanik odkrywał jej pulsujące przy oddechu piersi, a skórzane szorty mocno opinały zgrabne pośladki. Zarzuciła długimi włosami i uśmiechając się figlarnie, zagadnęła:

— Co taki przystojniak robi w tej norze samotności i rozpusty?

— Cześć, Suzzy.

— Dawno cię tu nie było.

— A przegapiłem coś?

— Być może... — Złapała go za rękę i gdy dopił duszkiem drinka, pociągnęła go za sobą do „pokoju rozkoszy”.

Gdy tylko zamknęli za sobą drzwi, puściła jego dłoń i jakby wychodząc z odgrywanej przed chwilą roli, zmieniła sposób poruszania się na mniej falujący i okryła ciało aksamitnym szlafrokiem. Na wypadek podsłuchu włączyła muzykę głośniejszą niż przy innych klientach i ciężko wzdychając, usiadła obok komisarza na krwisto czerwonej kanapie.

— Co za dzień... Czy ci faceci nie mają życia? Coraz więcej ich tu przychodzi, a niektórzy siedzą nawet przez pół dnia, to znaczy nocy...

— Dla niektórych właśnie to staje się życiem. Rzeczywistością.

— Ten teatr? — Roześmiała się szczerze. Oboje wiedzieli, że w lokalu pojawia się też coraz więcej gangusów i oficerów policji. Z czasem będą musieli spotykać się inaczej, poza „Magnezem”.

— A jak tam twoje życie, Alan? Słyszałam o akcji z Kozakiem. Już wróciłeś do siebie?

— Wy tutaj, dziewczyny, wszystko wiecie, co?

— A nawet więcej. I chyba dlatego do mnie przychodzisz.

Alan uśmiechnął się lekko. Mimo wszystko lubił towarzystwo Suzzy. Myślał, że jest za mądra i za dobra do tego miejsca i tej pracy. Zawsze, kiedy się z nią spotykał, pragnął doradzić jej obranie innej drogi. Wiedział jednak, że gdyby odeszła, straciłby zaufanego informatora i to zamykało mu usta.

— Ze mną już wszystko dobrze. Nawet bardzo. Za kilka miesięcy będę ojcem.

— Nie pierdol! Boże, jak pięknie! Gratulacje! Będziesz zajebistym tatą.

— Mam nadzieję. A co na mieście słysząc?

— Długo, długo nic nowego, ale ty to masz chyba jakąś czujkę, bo właśnie wczoraj dotarły do mnie głosy o dużym przerzucie heleny. To chyba ci twoi organizują, gdzieś pod Ząbkami. Przykro mi, ale nie znam szczegółów.

Komisarz zamyślił się głęboko. Wolałby usłyszeć od Suzzy coś innego, nawet to samo, co słyszał już od innych informatorów, bo potwierdzenie nigdy nie boli. Ale ten cynk o innej lokalizacji skomplikował sytuację. Dziewczyna nie miała dla niego nic innego, więc porozmawiali jeszcze piętnaście minut o normalnych sprawach, głównie to ona mówiła, próbując do cna wykorzystać ofiarowany jej przez Berga moment na odpoczynek. Gdy czas sesji upłynął, komisarz wyjął z portfela pięć banknotów stułotowych i podał jej do ręki. W zamian — jak zwykle — otrzymał buziaka w lewy policzek.

Zaraz po opuszczeniu pokoju i ponownym wkroczeniu do głównej sali wzrok komisarza zatrzymał się na znajomej twarzy. Przy jednym z podestów siedział Młody. Popijał piwo i przyglądał się tańczącej dziewczynie. Berg nachylił się do ucha Suzzy i zapytał:

— Widzisz tamtego gościa?

— Tego mięśniaka?

— Nie, obok. Tego chuderlaka...

— Co z nim?

— Znasz go?

— Z widzenia, to stały klient. Jeden z tych, co lubią tylko popatrzeć.

Niegroźny — wyjaśniła, puszczając przy tym oczko. — Chcesz, żebym go zagadała?

— Nie. No właśnie, z tym nie rozmawiaj.

Nie wiedział, czy Młody przychodzi tu jedynie dla przyjemności, a może w interesach podobnych do jego. Tak czy siak, nie miał zamiaru ryzykować zdemaskowania Sussy jako informatora. Ona pracowała tylko dla niego. Na wyłączność.

Następnego dnia Berg odbierał Młodego z mieszkania na Służewcu i razem jechali do biura. Przejeżdżali właśnie obok parku i komisarz zatrzymał samochód na czerwonym świetle. Typowo policyjnym nawykiem rozglądał się wokoło, upewniając się, że ulica jest spokojna i nikomu nie grozi niebezpieczeństwo. Jego uwagę przykuła grupa młodych chłopaków, którzy ochoczo pochłonięci rozmową, obsiedli jedną z parkowych ławek.

— Cholera jasna! — powiedział podniesionym głosem. Młody próbował wypatrzeć, o co chodziło, jednak chłopcy wydali mu się całkiem przeciętni. Berg przejechał skrzyżowanie i szybkim manewrem zaparkował w najbliższym możliwym miejscu za drzewami.

— Coś się stało?

— Będę potrzebował twojej pomocy. Wsiadaj. Szybko — zarządził i sam wyszedł z samochodu. Młody nie rozumiejąc, co się dzieje, postanowił poddać się zabiegom partnera, który zdjął z niego letnią kurtkę i czapkę. Odrzucił obie na tylne siedzenie, potargał mu nieco włosy, obrócił go gwałtownie plecami do siebie i sprawnie założył mu na ręce kajdanki.

— Co robisz?! — zdenerwował się podkomisarz. Kajdanki na jego własnych rękach sprawiły, że czuł się uwłaczająco niewygodnie. Berg wsadził partnera na tylne siedzenie.

— Siedź tu i wyglądaj na wkurwionego.

— Jestem dość... — Berg zamknął drzwi z trzaskiem — wkurwiony... — dokończył Młody, kiedy zamknęły się zamki w samochodzie. Gdy minęła pierwsza fala złości, zaczął się przyglądać, co dzieje się na zewnątrz. Tył samochodu lekko wystawał zza drzew, więc podkomisarz, siedząc na tylnym siedzeniu, był w stanie obserwować partnera. Widział jak Berg szybkim krokiem podążył w stronę młodzieży i wyciągnął z kieszeni legitymację. Sekundę później grupa rozbiegła się we wszystkich kierunkach, zostawiając za sobą tumany kurzu i jednego towarzysza, który dojrawszy Berga spuścił w dół głowę i rękę.

— Znowu...? — powiedział chłopak. — Panie komisarzu, ja tylko rozmawiałem! Przysięgam.

— Tak, tak, Robert. Już ja znam te wasze rozmowy — surowo oznajmił policjant, łapiąc chłopaka za ramię i poprowadził go do samochodu. — Wsiadaj! — rozkazał, otwierając mu przednie drzwi. Chłopak usłuchał. Spojrzał do tyłu, gdzie siedział zakuty w kajdanki Młody, wyglądający na dość wkurwionego.

— A to kto? — zapytał chłopak.

— To? Twoja przyszłość, jeśli dalej będziesz kombinował z tymi szczeniakami — odpowiedział Berg, zapalając silnik. Włączył się do ruchu. — Nazywają go Szczurem... — zaczął wymyślać, po czym zwrócił się do Młodego: — Szczurze! Może sam opowiesz Robertowi o swoich kryminalnych osiągnięciach?

Młody, zaskoczony pytaniem, lecz chcąc pozostać w niewygodnej roli, którą mu powierzono, spojrział na Berga groźnie i burknął:

— Pierdol się...

— Hej! — obrócił się do niego Robert. — Rozmawiasz z oficerem policji. Okaż trochę szacunku!

— Ty też się pierdol... — ponownie burknął Młody. Robert wyciągnął agresywnie rękę w jego kierunku.

— Ej, spokojnie — powstrzymał go Berg. Chłopak ustąpił, ale do końca drogi siedział już bokiem do Młodego-Szczura, mając na niego oko. Komisarz zaczął opowiadać:

— Znam tego gnojka od wielu lat. Zaczynał niewinnie jak ty, małe kradzieże, lekkie narkotyki.

— Mówiłem panu, że już z tym skończyłem! — bronił się Robert.

— Mam nadzieję! Później Szczur się rozkręcił, zaczął brać cięższe dragi, bawił się w wymuszenia, szantaże, pobicia. W końcu, teraz, przymknąłem go za morderstwo.

— Morderstwo?! Pan wie, że ja bym muchy nie skrzywdził!

— Ha! — zaśmiał się Młody Szczur, pociągając nosem. — Też tak mówiłem... Ale skurwiel zajeł mi kasę! Koka popierdoliła mi w głowie i stało się. Panie komisarzu, to był w sumie wypadek. Nie chciałem chuja zajeść...

— Będziesz tłumaczył się przed sądem i moja w tym głowa, żebyś już nigdy nie opuścił pierdła.

— Pierdol się! — krzyknął Młody-Szczur. Berg pozostawał niewzruszony, choć wewnętrznie rozpiełała go duma z nowego partnera. Rozumieli się teraz bez słów i idealnie zgrywali w tej konspiracji. Samochód zatrzymał się pod jednym z osiedlowych bloków. Komisarz wyłączył silnik i zwrócił się do Roberta:

— Znam tych twoich kolegów. Imponują im gangusy i gwarantuję ci, że prędzej czy później wpadną. Nie chcę, żebyś wylądował kiedyś na moim tylnym

siedzeniu.

— Wiem. Przysięgam panu, że nie będę się już z nimi bujał.

— Dobrze. Idź do domu, Robert. Pozdrów ode mnie mamę.

— Tak jest, komisarzu — odpowiedział chłopak i zwrócił się do Młodego:

— Chociaż to pies, jest w porządku. Gdyby nie on, żyłbym z matką na ulicy.

— Gdyby nie kajdanki, zajełabym gołymi rękami — odpowiedział Młody-Szczur, na co Robert aż się wzdygnął.

— Panie komisarzu, może pojedę z panem do aresztu. Będę miał go na oku...

— Dzięki, dam sobie radę. Idź do domu, chłopaku.

Robert uniósł na pożegnanie rękę. Samochód ruszył.

— Młody, może minąłeś się z powołaniem. Myślałeś o szkole aktorskiej?

— Praca w policji całkiem mi wystarczy.

— Mimo wszystko, jestem z siebie dumny.

— Z siebie?

— Tak. W końcu znalazłem twój talent.

— Możesz się gdzieś tu zatrzymać i zdjąć ze mnie te kajdanki?

— Nie wytrzymasz do biura?

— Nie!

Berg uśmiechnął się, zerkając we wsteczne lusterko. Zjechał na pobocze, żeby wyswobodzić partnera. Ten poprawił włosy i założył czapkę. Ruszyli z powrotem w drogę.

— Kim właściwie jest Robert?

— Chłopakiem, którego ciągle trzymają się kłopoty. Dwa lata temu zapuszkowałem jego ojca. Bił żonę i znęcał się nad chłopakiem. Terroryzował ich...

— Dwa lata temu? Czyli już wyszedł...

— Wyszedł, ale pomogłem załatwić sprawę rozwodową. Dostał sądowy zakaz zbliżania się do nich. O wiele lepiej radzą sobie we dwójkę.

— A ci jego koledzy?

— Młoda, drobna przestępczość. Są sprytni, nie dają się przyłapać na gorąco.

Kradną, ćpają...

— Myślisz, że Robert jest inny niż oni?

— Wierzę, że jest. Kogoś mi przypomina...

— Młodego Alana Berga?

— Nie — odpowiedział na odczepnego, przewracając przy tym oczami. Po krótkiej chwili milczenia przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z Suzzy, co do której miał dość mieszane uczucia.

— Dostałem wczoraj info o przerwaniu.

— Wtorkowym?

— Tak, tylko mój informator podał inne miejsce.
— No to jesteśmy w dupie...
— Może nie.
— Myślisz, że to zmyłka?
— Wilk przecież wie, że ma nas na ogonie. Będzie próbował nas zdezorientować.
— Ale chyba nie chcesz zignorować tej informacji?
— Wydaje mi dość nieprawdopodobne, że dotarło to do tego konkretnego informatora. Gdyby naprawdę zmienili miejsce, trzymaliby to w tajemnicy.
— Może to podwójna zmyłka? Może właśnie chcą, żebyśmy to zignorowali.
Młody mógł mieć rację. Nie mogli przeprowadzić dwóch realizacji w tym samym czasie, musieli się na coś zdecydować. Wykluczone było też wędrowanie z miejsca na miejsce, bo były od siebie za daleko, a przerzut potrwa najwyżej kilkanaście minut. Młody westchnął bezradnie i ocenił:
— Słuchaj, jeśli ktokolwiek może to rozgryźć, to tylko ty. Znasz Wilka najlepiej. Co byś zrobił na jego miejscu?
— Jest za dumny, żeby uciekać. I ma nas za głupszych od siebie.
— Więc?
— Rozesłał legendę.
— No, więc masz.
— A jeśli się mylę?
— Nie możesz zjeść ciastka i mieć ciastka, na coś musisz się zdecydować.
Wiesz najlepiej, co zrobić, ja mogę cię tylko wesprzeć.
Komisarz nie oczekiwał od niego niczego innego. Te słowa wsparcia wystarczyły w zupełności i tylko utwierdziły przekonanie, że jeśli ktoś może przechytryć Wilka, to właśnie tylko on. Podjął już decyzję, zanim zaczął dyskusję z partnerem — zostają przy starej informacji.

+

ROZDZIAŁ SZÓSTY

KONSPIRACJE

Następnego poranka Młody wyszedł z domu o ósmej trzydzieści. Przejeżdżając obok kawiarni przypomniał sobie o przegranym wczoraj zakładzie. Zjechał więc ze ścieżki i zaparkował rower przed wejściem. Kolejka była dość długa i policjant przestępował niecierpliwie z nogi na nogę. Jaka szkoda, że nie mógł poświecić odznaką, mówiąc: „Policja, proszę się rozejść, konfiskuję tę kawę!”. W końcu zamówił dwie, umieścił je w podstawku i dosiadłszy kolarzówki, pędem ruszył do pracy. Wybijała dziewiąta, kiedy wbiegł do budynku. Spostrzegł zamykającą się windę. Stał już w niej podkomisarz Karol Niemczyk, który dojrawszy zmachanego Młodego, przytrzymał dla niego drzwi. Zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

— Widzę, że przegrałeś niemożliwy zakład...

— Ty też dałeś się w to wciągnąć?

— Ja, i nie wiem ilu jeszcze musiało przynosić tę dużą, na podwójnym espresso z dodatkiem mleka... Nie skumałeś, dlaczego nazywają go Proca? Miłego

dnia, Sikorski...

Młody rozejrzał się po wydziale. Wszyscy policjanci krzatali się między pokojami. Każdy dokądś szedł, coś komuś zanosił, z kimś rozmawiał... o pracy bądź nie. Wydział tętnił życiem. Berg siedział już u siebie. Wydawało się, że jedynie on spędza poranek samotnie. Pracował za biurkiem zawalonym papierami, zatopiony w myślach. Wejście partnera przywołało go do rzeczywistości.

— Kawa! Dzięki, Młody! — Chwycił papierowy kubek i upiwszy łyk, stwierdził skrzywiony: — Ta jest słodka...

— A! To moja... — odpowiedział Młody i wymienił kubki.

— Profanacja! — Spróbował drugiej i wydobył z siebie dźwięk smakowej rozkoszy.

— Wiesz, zastanawiam się, czy to było na serio, czy mnie okantowałeś?

— Ja nie kantuję ludzi, tylko mądrze rozporządzam swoimi talentami.

Tego dnia nie posunęli sprawy do przodu. Toteż dzień upłynął im na czytaniu starych raportów i dyskusowaniu o hipotetycznych sytuacjach kryminalnych. Siedzieli na swoich niewygodnych krzesłach, wstawali, kręcili się po pokoju. Młody z przerażeniem spostrzegł, że przebywanie w depresyjnym biurze Berga działa na niego dość przytłaczająco. Sam komisarz zdawał się nie zauważać, bądź przynajmniej nie przykuwać uwagi do charakteru swoich zawodowych czterech kątów. Jednak Młody nie był w stanie aż tak oderwać się od rzeczywistości. Podlał umierającą na parapecie jukę i oberwał kilka uschniętych liści. Roślina od razu jakby nabrała zieloności i wigoru. „Jak można zmarnować jukę? Myślałem, że to całkiem niemożliwe...” — zastanawiał się. „Musiała miesiącami nie widzieć ani kropli wody...” — drażył wewnętrznie temat, podchodząc do regału przepełnionego makulaturą. Obojętnym wzrokiem ominął niebieskie segregatory i zaczął czytać grzbiety książek, których, ku swojemu zaskoczeniu, dopatrzył się sporej ilości. Oprócz licznych tytułów o tematyce prawnej, kryminalnej i socjologicznej, zauważył całkiem często pojawiające się nazwiska filozofów i powieściopisarzy. „Berg je czyta czy trzyma je na półkach ze zwykłej manieri i snobizmu?” — rozważał, zerkając kątem oka na pochłoniętego przez ekran komputera partnera. Sięgnął po Kanta i przekartkował książkę. Marginesy wypełnione były notatkami. Zdarzało się, że jedna z ręcznie wykonanych uwag została przekreślona i zastąpiona drugą, zapisaną w innym kolorze. Najwyraźniej Berg studiował tę książkę kilka razy, w różnych etapach życia — ocenił podkomisarz i odłożył wolumin. Sam był typem, który kiedy musiał zaznaczyć coś w książce, zrobiłby to ołówkiem, delikatnie, lub wcisnąłby między kartki stosowną zakładkę z notatką. Postępowanie komisarza wydało mu się brutalne i pozbawione szacunku dla wydawcy i autora. Książka to nie zeszyt.

— „Zbrodnia i kara”? Serio? — pomyślał tak intensywnie, że słowa same przeszły mu przez usta.

— Co w tym dziwnego? — zapytał, odrywając się od ekranu Proca.

— Bo to takie oczywiste...

— Oczywisty to jest „Kodeks karny”. — Młody przytaknął i uśmiechnął się półgębkiem. — To literackie arcydzieło! Nie bądź jak dziecko... Nie ma w tym nic oczywistego ani dziwnego.

Berg powrócił do pracy. Znał swoje biuro tak dobrze, jak budowę glocka 17, który leżał tuż obok niego. Każda znajdująca się w nim rzecz była dla niego normalna i konieczna. Z kolei dla Młodego pokój ten stał się kopalnią wiedzy o nowym współpracowniku. To, co na początku wydało mu się jaskinią szarości i smutku, stawało się coraz bliższe i bardziej zrozumiałe. Berg nie był jedynie pracującą maszyną. Zapominał podlewać jukę, bo miał w zwyczaju odkładać sprawy mniej istotne „na jutro”. Nie nadwierał wydziałowego budżetu walką o mniej depresyjne oświetlenie czy wygodniejsze krzesło — po prostu w ferworze pracy nie zwracał na to uwagi. Był pracoholikiem, który odprężenie znajdował w strzelaniu i inteligentnej rozmowie z największymi myślicielami przeszłości. Takie wnioski wysnuł Młody z przeprowadzonej obserwacji i po krótkiej przerwie ponownie usiadł za biurkiem.

Tydzień dobiegł końca. Oficerowie chowali posegregowane akta do szuflad. Podczas kursów w szkole policyjnej trudno było przewidzieć, że z tą pracą wiąże się tak duża ilość papierkowej roboty. Berg jej nie znosił, choć mimo tego dbał, żeby zawsze była prowadzona dokładnie i sumiennie. Wiedział, że bardziej frustrująca od prowadzenia papierów jest niemożność odnalezienia czegoś, co gdzieś już kiedyś było odnotowane. Takie poszukiwania igły w stogu siana — to dopiero strata cennego czasu! Dla Młodego był to długi, dość męczący tydzień. Nie czuł się u siebie. Wiedział, że zaadoptowanie się do nowego miasta, Biura i ludzi zajmie mu trochę czasu, a z natury był niecierpliwym człowiekiem. Zależało mu przede wszystkim na zyskaniu zaufania komisarza, który, jak sądził, stanowił bramę do jego zawodowego sukcesu. Denerwowała go własna bezradność wobec jego skrytości. Inni współpracownicy również się nią denerwowali, choć Młody miał wrażenie, że zaczęli się już do niej przyzwyczajać. Pomyślał, że może najlepsza droga do Berga wiedzie właśnie przez jego ludzi. Oni znali go od dawna i mogli odpowiedzieć na wiele męczących Młodego pytań. Gdy tak planował rozpracowanie nowego szefa, ten zaskoczył go, sam wychodząc z propozycją.

— Masz jakieś plany na weekend? — zapytał, chwytając klucze od samochodu. — Jakaś impreza? Kino z dziewczyną? Nic? Smutne życie... Ewa chce cię poznać. — Zapisał adres na skrawku papieru. "Włodarzewska 54". Podał go Młodemu. — W niedzielę, o osiemnastej przyjedź pod ten adres. Spędzimy razem nieco *quality time*.

— Z przyjemnością! A... to nie jest podstęp? — odpowiedział zdezorientowany zaproszeniem. Berg wypowiedział je bowiem pośpiesznie, ale

równie szybko dodał:

— Do zobaczenia o szóstej. Właściwie, to bądź kilka minut wcześniej.

Wyszedł z biura. Czuł się dość nienaturalnie, zapraszając go do własnego domu. Nie robił tego często. A od roku w ogóle tego nie robił. Ewa nalegała. Czy mógł jej odmówić?

W pokoju obok chłopaki również zbierali się do wyjścia. Mazur wyszedł pierwszy, bo był umówiony z dziewczyną. Chaber kończył segregować dokumenty, a Impuls siedział jeszcze przed komputerem.

— Co ty taki nadgorliwy dzisiaj jesteś? — zapytał Chaber.

— Planuję zemstę...

— Na kim? Za co?

— Na skurwysynach z logistyki przecież!

— I co tam wymyśliłeś?

— A zobaczysz, kurwa — powiedział z uśmiechem, wyłączając monitor.

Wyciągnął ze stacji klucz USB i ostrożnie wyszedł z pokoju. Biuro było już prawie puste. Gdzieś w kącie stało dwóch zajętych rozmową policjantów. W pokoju obok siedział jeszcze Młody, który był wyraźnie pochłonięty pracą. Impuls bezwiednym krokiem podszedł bliżej pokoju, na którego drzwiach widniał napis: „podkom. Karol Niemczyk”. W środku było już ciemno. Złapał za klamkę:

— Impuls, co ty? — zapytał śledzący jego poczynania Chaber.

— No! Dobrze, że jeszcze jesteś. Stój na czatach! — To powiedziawszy wyjął z kieszeni wytrych i w kilka sekund otworzył pokój, w którym zniknął chwilę później. Chaber rozejrzał się nerwowo. Nienawidził łamania zasad! Przyprawiało go to o mdłości i paniczny strach. Z tego też powodu koledzy często wystawiali go na próby. Podobne do tej. Upłynęły dwie minuty, zanim Impuls opuścił biuro podkomisarza.

— Coś ty tam, kurwa, robił?

— Wysyłałem maila. Mazur załatwił mi taki zajebisty program, który łamie...

— Ja chyba nie chcę tego słuchać!

— Dobrze, panie Chabrze — odparł Impuls z pełnią satysfakcji w głosie. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie, w przeciwieństwie do kolegi. Tak skończyła się ich dyskusja, po której opuścili budynek Biura.

— Dobrze, że zgodziłeś się zaprosić Juliana — powiedziała Ewa podczas kolacji. — Myślę, że dobrze wam to zrobi, jak poznać się bliżej...

— Jesteś całkiem podstępna, wiesz? Nie myśl, że tego nie zauważyłem.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi — uśmiechnęła się.

— Nie rozumiesz, tak? Masz nadzieję, że polubię go na tyle, żebym liczył się z jego opinią i uważał na niego. A przez to będę musiał być ostrożniejszy...

— Wszędzie doszukujesz się konspiracji! Przede wszystkim zależy mi, żebyś dbał o swoje życie, kochanie. Niestety wiem, że łatwiej przychodzi ci opiekowanie się innymi niż samym sobą... Myślę też, że powinieś mu powiedzieć o Maksie.

— Dlaczego? — zapytał bardzo zaskoczonym tonem.

— Żeby cię zrozumiał. Z tego, co opowiadałeś, wnioskuję, że pracujesz z nim bliżej niż z resztą chłopaków. Tak?

— Tak na razie wychodzi. Ale nie wiem, czy tak już zostanie. Wolałbym nie.

— Ale realizację macie już za kilka dni. On powinien wiedzieć, jakie to dla ciebie ważne.

— Wystarczy, że będzie wykonywał swoją pracę.

— Alan... otwórz się na ludzi. Nie zrobisz wszystkiego sam.

— No przecież nie robię! Grupa...

— Co grupa? Przecież wiem, że trzymasz ich teraz na dystans.

— Jaki... — Alan próbował się bronić, ale wyraźnie czuł, że jego żona jest dobrze przygotowana do dyskusji i za każdym razem znajduje się o krok przed nim. Znowu weszła mu w zdanie.

— Przecież zanim to wszystko się zaczęło, wychodziłeś z nimi czasami. Nawet zapraszałeś ich do nas. Opowiadałeś o ich prywatnych sprawach... A teraz? Czy ty w ogóle wiesz, co się dzieje w ich życiu?

— Ewa! Przecież to nie ma nic do rzeczy. Muszę się skupić na robocie...

— No, to skupiaj się, ale musisz znać ludzi wokół siebie! Przecież ty im własne życie powierzasz! A oni tobie swoje. — Tutaj musiał się z nią zgodzić. Członkowie „Szakala” polegali na sobie wzajemnie. W tym konkretnym dochodzeniu faktycznie trzymał ich z daleka.

— Chcesz wykorzystać biednego chłopaka... — powiedział po chwili milczenia.

— Nie martw się. Na pewno nie jest aż taki biedny. Może się od ciebie dużo nauczyć.

Alan parsknął śmiechem, chociaż wiedział, że Ewa ma rację. Wstydził się przyznać, że współpraca z Młodym zaczyna przynosić mu przyjemność. Z początku podchodził do nowego partnera tak, jak do każdego policjanta, który wchodził mu w drogę — z uprzejmą niechęcią. Okazało się jednak, że Młody właśnie nie wchodzi Bergowi w drogę. Był raczej obserwatorem, czasem pomocnikiem. Pomijając już fakt, że zawdzięczał chłopakowi życie... Starał się nie myśleć o tym za wiele i nie podzielił się tą historią z żoną. Niepotrzebnie by ją to zestresowało, a jego samego wpędziło w jeszcze większe i niewygodne poczucie wdzięczności. Brak nachalności i swoista pokora Młodego były dla komisarza miłym zaskoczeniem i nadzieją na przyszłą współpracę. Uważał go za człowieka ambitnego oraz trochę zagubionego. Z jednej strony poradził sobie świetnie

podczas aresztowania Drzewieckiego, a przesłuchanie poprowadził jak *pro!* Z drugiej podczas spotkania z Mario wydał się całkiem zielony. Nie każdy policjant jednak, szczególnie początkujący, utrzymuje kontakty z przestępcami. Zasada była prosta — im więcej wtyczek miał dany glina, tym większy jego prestiż i skuteczność. W jaki więc sposób Młody dorobił się stopnia podkomisarza? Berg przypomniał sobie, że już od kilku miesięcy miał złożyć wniosek o podniesienie swoim chłopakom stopnia służbowego. Pracowali ciężko i rozwijali się z każdą następną sprawą. Był z nich dumny, choć nie dawał im tego odczuć. I był też dumny z siebie, że ich wypatrzył i tak trafnie dobrał.

Większość ludzi obcujących z Bergiem (lecz nie znających go za dobrze) sądziła, że komisarz jest całkiem niechętny, a nawet niezdolny do bliskiej współpracy. Sam nie dementował tych ocen, bo były mu one na rękę. Dzięki nim nikt mu się nie narzucał. Prawda o Bergu była jednak nieco inna. Faktycznie, nie był człowiekiem łatwym, czasem asocjalnym, miał wymagania, zasady, własne ekscentryczne metody pracy, ale trzymał się z dala od ludzi, bo działali na niego rozpraszająco.

Z aspirantami z grupy „Szakal” komunikował się krótko i praktycznie. Dawał im zadania ze swojego punktu widzenia nudne albo takie, w których nie był najlepszy. Sam wolał zajmować się sprawami istotnymi. Nie wciskał też nikomu spraw niewygodnych, jak informowanie rodziny o śmierci bliskiej osoby. Miał partnerów w przeszłości, gdy zaczynał pracę w wydziale. Jednak zarówno za pierwszym, jak i za drugim razem, współpraca pozostawała bezowocna. Berg starał się nie łączyć prywatnych emocji z pracą, ale trudno było temu zapobiec, gdy spędzał z kooperantami całe dni. Kiedy więc pierwszy z nich wydawał mu się idiotą, a drugi bufonem, rosnąca między współpracownikami osobista niechęć działała destruktywnie na dochodzenia. Na szczęście inspektor Tyszka szybko zauważył, że Alan działa efektywniej w pojedynkę i pozostawił mu dużo swobodnej przestrzeni.

Z całej grupy operacyjnej komisarz najbardziej wyróżniał Chabra. To jemu powierzał najważniejsze dla siebie sprawy i miał pewność, że ten o nie zadba i sumiennie wykona. Nie mógł z nim jednak współpracować za blisko, ponieważ Chaber był zbyt praworządny. Zbyt poprawny, a przecież Berg często naginał protokoły. Darował więc im obojgu te niewygodne sytuacje, kiedy aspirant ciągnąłby w lewo, a komisarz w prawo. Liczył, że Młody okaże się inny; że uszanuje jego ekscentryzm, ale nie będzie się przez niego wycofywał. Podobało mu się, że chłopak nie stroni od wyrażania własnych opinii i że jednocześnie robi to z szacunkiem, pamiętając o swoim miejscu w hierarchii. Nie bał się też działać w pojedynkę. Sam podjął odważną, choć głupią decyzję o zatrzymaniu Mostka, co dla Berga zdradzało drzemiącą w nim nutkę lidera. Najważniejsze było jednak to, że odczytał go jako człowieka o dobrym sercu. Tak mu się przynajmniej zdawało.

Znał w policji ludzi, którzy mogliby być gangsterami i znał gangsterów, którzy przejawiali potencjał do służby. Zdarzało się więc, że po prostu los rzucił jednego czy drugiego delikwenta w nieodpowiednie dla niego miejsce. Takie predyspozycje leżą w sercu człowieka, z nimi trzeba się urodzić. I trzeba również umieć je dostrzegać. Berg umiał. Nie zawsze udawało mu się odczytać intencje drugiego człowieka, zrozumieć kierujące nim motywacje albo przewidzieć zachowanie; nie miał jednak problemu z odróżnianiem dobrego od zepsutego. „Zepsutego”, bo w zło nie wierzył — jedynie w brak dobra. Ufał, że w każdym człowieku istnieje choć iskra cnoty, że każdy rodzi się z miłości. Człowiek powszechnie uważany za złego, to taki, który zgnuśniał, który zatracił w sobie miłość. W to wierzył. Musiał, bo w przeciwnym razie byłby idealnym materiałem na gangstera. Uważał też, że ponieważ historia Młodego w policji zaczęła się od chęci zapobiegania tragediom, podobnym do tej, która spotkała jego ojca, robiło to z niego odpowiedniego człowieka w odpowiednim miejscu. Berg bardzo dobrze znał podobną sytuację z własnego doświadczenia. Postanowił, że nadszedł czas, aby tym doświadczeniem podzielić się z nowym współpracownikiem.

Sobota rano. Słońce przebijało się zza chmur. Podkomisarz Julian Sikorski podjechał rowerem pod wejście kawiarni „Bukowski”. Zapinał łańcuch, kiedy za szybą lokalu dojrzał znajomą twarz. W geście powitania podniósł rękę do góry.

W kawiarni było dość tłoczno. Wszystkie stoliki zajęte, a kilka osób stało przy barze, składając zamówienie na wynos. Młody podszedł do łysego mężczyzny siedzącego przy oknie i podał mu dłoń.

— Cześć, Olaf.

— No, cześć — odpowiedział mężczyzna niskim głosem. Miał łagodne rysy twarzy, a lekko siwiejąca, krótko przystrzyżona broda otaczała jego żuchwę.

— Co słychać? — zapytał Młody.

— Wszystko dobrze. Chciałem sprawdzić, jak sobie radzisz.

— Dzień dobry — przerwała im kelnerka, podchodząc do Młodego.

— Cappuccino poproszę — odpowiedział. Zamyślił się, patrząc na samochody przejeżdżające pod oknem kawiarni. Po chwili zaczął: — Myślę, że wszystko idzie dobrze. Wiesz, nie jest łatwo w nowym otoczeniu. Wszyscy są mili, ale tak naprawdę na początku nikt do końca ci nie ufa.

— Tobie nie ufają? Wystarczy na ciebie spojrzeć i od razu chce ci się powierzyć własne życie!

— Bardzo śmieszne... Potrzebuję jeszcze czasu, ale będzie dobrze.

— Ciągniesz sprawę do przodu?

— Tak... Za kilka dni szykuje się duża realizacja.

— Mieliśmy dobry *timing*, wsadzając cię w narkotykowy właśnie teraz.

— Na to wygląda — przyznał Młody z niemrawym uśmiechem. Nie

spodobało mu się, że Olaf użył formy mnogiej, mówiąc „mieliśmy”, bo to on sam był pomysłodawcą tej całej konspiracji.

— A twój nowy partner?

— Berg? Jest dość specyficzny, ale to dobry glina. Ma swoją misję.

— Nie zakładaj a *priori*, że jest czysty; żaden z nich, a on w szczególności!

— Nie zakładam, ale będąc tam w środku, mam najlepszy ogląd na sytuację.

Mogę ich zanalizować. Mówię ci, co myślę.

— Super, tylko nie zapominaj o swoim zadaniu, dobra?

Młody ugryzł się w język. Spodziewał się większego zaufania ze strony Olafa, tymczasem dostał jedynie przypomnienie o tym, gdzie jest jego miejsce. Wziął głębszy oddech i dodał:

— W niedzielę mam się spotkać z Bergiem prywatnie.

— No, proszę! Będziesz miał okazję, żeby analizować, ile chcesz.

Młody uśmiechnął się z przymusem. Podziękował kelnerce za przyniesioną kawę, posłodził łyżeczkę i upił pierwszy łyk. To poranne spotkanie ściągnęło go na ziemię, przypomniało o tym, kim naprawdę jest i dlaczego rozpoczął pracę w grupie „Szakal”. Czuł się dobrze między nowymi współpracownikami. Szczerze polubił każdego z nich, a Berg imponował mu w szczególności. Pewnie dlatego, że miał w sobie wszystko to, czego jemu samemu brakowało, jak odwaga przede wszystkim i swoista zuchwałość, która pozwalała mu robić rzeczy niezgodne z opinią bądź wytycznymi szefów. Teraz Młody miał go podejść. Rozpracować człowieka, który zawsze jest o krok do przodu! Wystraszył się. Bał się, że zostanie zdemaskowany, a gdy prawda wyjdzie na jaw, wszystko runie.

Tego wieczoru życie tętniło na Polach Mokotowskich. Młodzież ukradkiem popijała piwo, rodziny przechadzały się z dziećmi, łapiąc ostatnie promienie zachodzącego słońca. Wiatr delikatnie smagał korony drzew, rozprawdzając świeży zapach zieleni po parku. Pomyślałbyś, że w wieczór przyjemny jak ten, w miejscu takim jak to, nie ma prawa wydarzyć się nic złego, nielegalnego czy brutalnego. Jednak podobne rzeczy, często z przekory, realizują się właśnie w tak niepozornych sytuacjach.

Góral — diler narkotyków, otrzymujący zaopatrzenie od grupy żoliborskiej, dobijał właśnie targu ze studentem trzeciego roku ekonomii. Od kilku miesięcy interes szedł mu całkiem dobrze, o wiele lepiej niż dotychczas, gdyż rynek się powiększył, a i towar, pochodzący z nowego źródła, wydawał się bardziej szlachetny. Niefart chciał, że w pobliżu krążył również inny handlarz — Krasnal, który w ostatnich dniach każdą wolną chwilę spędzał właśnie na Polach Mokotowskich, próbując wytropić tego skurwiela, który podkradał mu klientów. Kiedy sam pracujesz jako dostawca *staffu*, jesteś niezmiernie czuły na rozpoznawanie konkurencji, umiesz odróżnić zwyczajną rozmowę od dobijania

targu, toteż Krasnal bez problemów namierzył Górala. Kipiąc ze złości szybkim krokiem zaczął przybliżać się do niego. Diler nie zauważył z początku napastnika, gdyż stał plecami do niego. Kiedy jednak zobaczył strach w oczach nowego klienta i zaraz potem kłęby kurzu unoszące się pod jego szybko biegnącymi nogami, zdał sobie sprawę z nadciągającego niebezpieczeństwa. Obrócił się za siebie i gdy zauważył wielkiego jak dąb Krasnala, nacierającego na niego niczym rozjuszony buhaj, rzucił się do ucieczki.

— Stój, szmato! — krzyknął za nim napastnik, zakłócając sielską atmosferę parku. Góral biegł szybciej, niżby się po sobie spodziewał, i skakał przez żywopłoty wyżej, niżby się po sobie spodziewał. Trwało to do momentu, w którym zabrakło mu tchu i wtedy poczuł silne szarpnięcie za kołnierz. Przeciwnik rzucił nim o ziemię jak szmacianą lalką i chwilę potem władował mu do ust niewielki pistolet, niemalże po spust. Góral próbował się tłumaczyć, błagać o litość, zapewniać o niewinności, lecz przez gnata w ustach wydobywał się z nich tylko bełkot.

— Co, kurwa? — zapytał Krasnal, wyciągając broń z jego ust.

— Mówię, że to nieporozumienie. Ja nie mam przy sobie nic, broni, *stuffu*, nic! Tylko rozmawiałem.

— Co ty pierdolisz? Nie jestem psem, kurwa!

— Nie? To po chuj zapierdalasz za mną przez pół parku?

— Bo to mój park, kurwo! To teren grupy mokotowskiej, szmato!

— Jest wolny rynek przecież...

— Chuj, wolny rynek! Nie pierdol farmazonów! Jeszcze raz cię tutaj przyłapię, to przysięgam, że ostatnią rzeczą, którą zobaczysz, będzie twój własny mózg na chodniku! Jasne?!

Góral przytaknął nerwowo i niepewnie chwycił wyciągniętą ku niemu dłoń Krasnala. Tak jak podejrzewał, nie była to do końca pomocna dłoń, bo choć wsparła go w stanięciu na nogi, chwilę później przyniosła mu silny cios w głowę. Runął na ziemię, straciwszy przytomność na kilka chwil. Gdy się ocknął, widział już oddalające się plecy napastnika i pomyślał, że może faktycznie lepiej będzie wrócić w okolice Żoliborza.

Wybiła dwudziesta trzecia. Kluby i bary w centrum Warszawy wypełnione były po brzegi. W jednym z takich miejsc, tuż obok Pałacu Kultury i Nauki, sobotni wieczór spędzali oficerowie grupy „Szakal”. Wzniesli nowy toast, tym razem „za Biuro”, i upili pierwszy łyk trzeciego już piwa. Młody zauważył, że alkohol zaczyna już do nich docierać. Byli weseli i rozgadani jak zwykle, ale kiedy poruszyli temat gangu, wydali się Młodemu bardziej otwarci. Postanowił więc pociągnąć ich za język:

— Co jest w tej sprawie aż tak wyjątkowego?

— Niby nic — odparł Impuls — ale Proca przez nią świruje. W pewnym

sensie...

— Angażuje się bardziej niż dotychczas — dodał Chaber. — Widzisz, on nie zawsze był taki, jak teraz. Niedostępny i...

— Gbur! Powiedz to otwarcie, kurwa! Młody, jeszcze rok temu to był inny człowiek po prostu! I na piwo nas zaprosił, i premią sypnął. Żarciki rzucał. A teraz? Powiedz do niego coś niezwiązanego ze sprawą, to patrzy na ciebie, jakby chciał zabić. Tak jest? Prawdę mówię, Chaber, czy zmyślam?

— No, prawdę... Tylko ja bym go za to nie potępił. To znaczy... Pytałeś, co jest w tej sprawie takiego wyjątkowego — nie mam pojęcia! Dla mnie to kolejny gang narkotykowy, sprawa poważna, ale standardowa, tyle że ciągnie się jak gil z nosa, bo te gangusy bardzo ostrożne się zrobiły. No i Proca każe czekać. Wiesz, ile już razy mieliśmy okazję, żeby kogoś zgarnąć? Mieliśmy dowody, adres delikwenta... Nic, tylko takiemu wjechać na chatę i po kłopocie. A on każe czekać. Na co? No, na Wilka! Zrozumiałe, bo boss najważniejszy! Ale przecież zgarnięcie małego gościa od czasu do czasu nie zaboli, a i statystyki byśmy poprawili...

— A on każe czekać...

— I czekać... Aż Wilk się wychyli. No chwała mu za taką cierpliwość! Ma jej więcej niż my wszyscy razem wzięci!

— Chyba tylko Mazurowi to na rękę, bo on mógłby całymi dniami w jebany ekran się gapić! Czy ty zdajesz sobie z tego sprawę, Młody, że ten koleś potrafi przez cały dzień przeglądać monitoring?

— A tak w ogóle, to dlaczego nie przyszedł? — zapytał Młody, wycierając ręką podbródek, po którym ściekło trochę piwa.

— Mazur ma dziewczynę — wyjaśnił Impuls — szczęściarz... z jednej strony, ale z drugiej zamiast siedzieć teraz z nami, pewnie ogląda nudną komedię romantyczną, do której go pani Mazurowa zmusiła...

— A może dyma teraz panią Mazurową?! — wtrącił Chaber.

— No, może... To też bym wolał podymać, jakbym miał kogo, zamiast tu z wami siedzieć!

— Złamałeś mi serce, Impuls... Ja myślałem, że my mamy wspólne plany na przyszłość!

— Spierdalaj!

Młody przysłuchiwał się ich przepychankom od kilku godzin i do tej pory bawiły go tak samo dobrze. Odniosł wrażenie, że Impuls odleciał myślami gdzieś daleko, prawdopodobnie do jakiejś nieistniejącej pani Impulsowej, zwrócił się więc do Chabra.

— A ty? Też nie masz kogo dymać?

— Uważaj, Młody... — obudził się Impuls, wchodząc w słowo koledze. — Uważaj, o co pytasz, bo potraktuje to jako propozycję.

Chaber uśmiechnął się, upił łyk piwa i dostrzegając pytanie na twarzy

Młodego przyznał:

— Tak, ja preferuję męskie klimaty. Ale też nie mam kogo dymać!

— Biedny... — podjudzał go Impuls.

— Wal się! Myślisz, że jak gej, to z byle kim pójdę do łóżka? Twoja kolej, Młody! W którą dziurkę dymasz?

Podkomisarz ponownie musiał obetrzeć brodę z piwa, które tym razem ułało mu się z powodu wybuchu śmiechu. Kiedy już się opanował, odpowiedział:

— Na razie w żadną, ale tak mnie nakręciliście, że... Panowie! Ja stąd dzisiaj z pustymi rękami nie wychodzę!

Koledzy zawtórowali mu dzikim wyciem. Po tej chwili entuzjazmu Młody zapytał, czy i oni nie piszą się na małe polowanie, jednak Chaber spojrzął na niego w pewnym sensie czule i odparł:

— Widzisz, nawet jeśli Impuls nabija się ze mnie i szydzi, to jedną cechę mamy wspólną — do seksu potrzeba nam miłości...

Podkomisarz spojrzął na Impulsa w poszukiwaniu potwierdzenia i takowe otrzymał.

— Tak już mam — przyznał aspirant — ale ty się nie krępuj. Z chęcią obaj popatrzymy, jak dostajesz po mordzie od jakiejś lali.

Zdecydowanie koledzy nie docenili uwodzicielskich zdolności Młodego. Ten rozejrzał się po klubie, wskazał na jedną z dziewczyn i po kilku minutach rozmowy i jednym drinku, pomachał kolegom na pożegnanie, opuszczając lokal w towarzystwie dziewczyny, której po tej nocy już nigdy więcej nie zobaczył.

Niedziela. Młody nie borykał się z żadną formą kaca po wczorajszej nocy — ani z fizyczną, ani z moralną. Dziewczyna, z którą spędził noc (Bóg jeden wie, jak miała na imię), opuściła jego mieszkanie już o świcie. Dzień spędził w samotności, a przed osiemnastą, jechał już rowerem ulicą Włodarzewską. Rozglądał się w poszukiwaniu adresu, który podał mu Berg. 48, 50, 52, 5... 4... Zatrzymał się. Wyjął z kieszeni kartkę otrzymaną od komisarza. Czy to dobry adres? Włodarzewska 54... Młody stał przed niewielkim, czerwonym kościołem. Zbliżała się pora mszy. Ludzie zaczynali się schodzić. „To musi być pomyłka” — pomyślał. Sięgnął po telefon i zadzwonił do Berga. W słuchawce usłyszał sygnał, a za plecami dzwoniącą komórkę.

— Młody, jednak dotarłeś — powiedział Berg. Za rękę trzymał Ewę. Młody spojrzął na tę delikatnej urody kobietę i zauważył lekko zaokrąglony już brzusek.

— To moja żona, Ewa...

— Julian Sikorski. Cieszę się, że możemy się poznać. Gratuluję potomstwa — powiedział z uśmiechem.

— Dziękuję. Alan tyle o tobie opowiadał, że mam wrażenie, że już się znamy.

— Mam nadzieję, że to dla ciebie przyjemna znajomość.

— Nie urośnij za bardzo, Młody. Aż tyle o tobie nie opowiadałem — zapewnił komisarz. Dojrawszy w tłumie kogoś znajomego, przeprosił i na moment się oddalił. Młody zapiął rower przy ogrodzeniu, po czym włożył ręce do kieszeni i bujając się lekko w przód i w tył, powiedział do Ewy:

— Więc kościół, tak? Powiem szczerze, nie spodziewałem się, że Berg jest wierzący. I to tak.

— Jeśli kiedykolwiek mogę być pewna, gdzie i kiedy pojawi się mój mąż, to chyba tylko w niedzielę o osiemnastej. A ty? Nie jesteś wierzący?

— Nie wiem. Kiedyś byłem. Od jakiegoś czasu dziwnie czuję się w kościołach. Nie miałem czasu ani głowy bardziej się nad tym zastanowić.

Wzięła Młodego pod rękę i powoli ruszyła z nim do wejścia. — Nie martw się, będzie dobrze. Dzisiaj wszystkie egzorcyzmy zostały odwołane — zażartowała, dzięki czemu na jego twarzy pojawiło się odprężenie. — Alanowi bardzo zależało, żebyś tu dzisiaj był.

— Tak? Dlaczego?

— Zobaczysz. Powiedział, że będzie to okazja, żebyście się lepiej poznali.

Usiedli w jednej z przednich ławek. Powietrze pachniało drewnem i kadzidłem, rozbrzmiewało głębokim tonem organów. Chwilę później dołączył do nich Berg. Pocałował żonę w policzek. Dźwięk dzwonka rozpoczął mszę. Młody nie pamiętał, kiedy ostatnim razem był w podobnej sytuacji. Wspomnienia przeniosły go do czasów, kiedy miał jeszcze oboje rodziców. Ci co niedziela wyciągali go na mszę. Na siłę, aż do czasu, gdy uznali, że jest już na tyle dorosły, żeby samemu za siebie decydować. I tak nie przestawał z nimi przychodzić, nie chciał im robić przykrości, choć już wtedy czuł się nie na miejscu. Ostatni raz był w kościele na pogrzebie matki, od tego czasu nie miał ani chęci, ani powodu, żeby do niego wstępować.

Wierni powstali na znak kapłana. Ten nachylił się nad księgą i nakarmił ich Słowem Bożym: Gdy wszedł do łodzi, poszli za Nim Jego uczniowie. Nagle zerwała się gwałtowna burza na jeziorze, tak że fale zalewały łódź; On zaś spał. Wtedy przystąpili do Niego i obudzili Go, mówiąc: «Panie, ratuj, giniemy!» A On im rzekł: «Czemu bojaźliwi jesteście, małej wiary?». Potem wstał, rozkazał wichrom i jezioru, i nastąpiła głęboka cisza. A ludzie pytali zdumieni: «Kimże On jest, że nawet wichry i jezioro są Mu posłuszne?».

Wierni usiedli, a Młody zaczął rozglądać się po wnętrzu kościoła. Światło rozpraszało się przechodząc przez barwne witraże, rozjaśniając pociemniałe od czasu i wilgoci drewno. Wszystkie linie, deski, nawy, zbiegały się w jednym punkcie na ołtarzu. Napięcie, z którym podkomisarz przekroczył próg, zaczęło ustępować, a na jego miejsce wchodził spokój i refleksja. Choć nie czuł się częścią

wspólnoty, zauważył, że kościół sam w sobie wywołuje w nim stan pewnego duchowego dyskomfortu, który nie tyle był nieprzyjemny, co zastanawiający. Wierzył w Boga, ale nie był gotowy ani na modlitwę, ani na rozmowę z Nim. Po śmierci ojca próbował znaleźć winnego. Zwalić cały ten bagaż żalu i złości na cudze barki. Nie pomagały prośby i nauki matki, która powtarzała: „Julianie, potępij grzech, a nie grzesznika”. Nie rozumiał jej słów. Wierzył, że obranie kozła ofiarnego załatwi sprawę, ulży nieco jego cierpieniom. Kiedy jednak „winny” nie pojawiał się na horyzoncie, nie pozostało mu nic innego, jak obrazić się na Boga.

Msza dobiegła końca. Ksiądz Jacek Meder zbliżył się do bocznej mównicy i powiedział:

— Kochani bracia i siostry. W dzisiejszej ewangelii apostoł Mateusz przedstawił nam uczniów, wystraszonych i słabych, którzy w bojaźni o własne życie zwrócili się do Jezusa o pomoc, o ratunek... Ocenili, że są w sytuacji, kiedy tracą kontrolę nad swoim losem. Jakże straszne i przytłaczające jest to położenie. Wcale nie musimy się znaleźć pośrodku morza, żeby go doświadczyć. Mamy dzisiaj specjalnego gościa, który chciałby powiedzieć do was kilka słów na temat takich sytuacji.

Pogrążony w rozmyślaniach Młody wrócił nagle do rzeczywistości, kiedy Berg, pośród ciszy i siedzących wokół ludzi, wstał z ławy i ruszył w kierunku ołtarza. Podziękował księdzu za wprowadzenie i zajął jego miejsce na ambonie. Niewiele sytuacji wprowadzało komisarza w stan stresu i tremy. Ta była jedną z tych niewielu. Gdyby opierał swoje postępowanie jedynie na emocjach, chęci, co chce, a czego nie chce robić, z pewnością nie ruszyłby się z ławy. Czuł się jednak odpowiedzialny, zobowiązany do podejmowania pewnych niewygodnych akcji. Wiedział, że to, co za chwilę zamierza powiedzieć, może komuś pomóc, coś komuś wyjaśnić, dać poczucie umocnienia i determinacji. Musiał podzielić się z ludźmi swoją historią. Taki był jego obowiązek. Nie chciał jednak przedstawiać opowieści o swym bracie z jej wszystkimi, brutalnymi szczegółami. Dlaczego zaprosił Młodego do uczestnictwa w tym niekomfortowym wydarzeniu? Cóż, czuł, że nadszedł czas uzupełnić mu opowieść o sobie i Wilku.

— Dobry wieczór. Nazywam się Alan Berg. Większość z państwa zna mnie jako sąsiada, jako oficera policji. Dzisiaj przyszedłem do was, jako syn, brat, mąż, a wkrótce także i ojciec... Wychowywałem się w Warszawie, na Pradze. Jako młody chłopak biegałem z kumplami po osiedlu, przyklejałem zapalki do sufitów... ale kiedy wszyscy koledzy wracali prosto do domu na kolacje, ja wracałem do swojego okrężną drogą... Mój ojciec był alkoholikiem. Nienawidziłem wracać do domu. Nienawidziłem oglądać łez matki. Słuchać jej wykrzykiwanych prośb, żeby już przestał, żeby już nie pił. Bałem się. Kiedy miałem szesnaście lat, mój ojciec zmarł. Przepił. Jakkolwiek czułem w sercu ogromny żal po jego śmierci, pamiętam, że czułem też ulgę. Nie musiałem się już

bać. Wtedy nie wiedziałem, że to jeszcze nie koniec strachu i cierpienia w mojej rodzinie. Mój brat, Maksym, zaczął brać narkotyki. Zaczęło się od jednej, cienkiej jak żyletka linii kokainy, którą wziął z kumplami na imprezie. Pamiętam, jak przyszedł do mnie następnego dnia podzielić się wrażeniami. Miałem wtedy osiemnaście lat i dostałem się na studia na wydziale resocjalizacji. Czułem, że Maksym zrobił głupotę, ale ufałem, że to będzie ten jeden, jedyne raz. Chciał sprawdzić, jak to się czuje. Obiecał mi, że to się nie powtórzy. Powtórzyło się. Pogorszyło się. Po jakimś czasie kokaina stała się dla niego nudna. Przewidywalna. Spróbował heroinę. To miał być kolejny „tylko raz”. Uzależnił się bardzo szybko. Po śmierci ojca czułem ogromną odpowiedzialność za brata. Nie miałem jednak pojęcia jak mu pomóc, ale wiedziałem, że są ludzie, którzy się na tym znają. Umieściłem Maksa w ośrodku leczenia uzależnień. Wrócił do domu po miesiącu. Pamiętam, jak siedzieliśmy razem przy kuchennym stole. Brat, ja i nasza mama — byliśmy szczęśliwi, że wrócił, że znowu był sobą. Powiedział, że to była zwykła słabość, z którą walczył i wygrał...

Co roku prawie trzysta osób umiera w Polsce w wyniku przedawkowania. Liczba ludzi uzależnionych od narkotyków przekracza sto tysięcy. Prawdopodobnie znaczna większość z nas kiedykolwiek miała styczność z uzależnioną osobą. Dla wielu z tych osób uzależnionym był ktoś bliski. Uwierzcie mi — wiem, przez co przechodziecie. Sam przechodziłem przez to dwa razy. Kiedy Maksym zaczął brać, nie wiedziałem, jak mu pomóc. Czułem się zagubiony, nie umiałem poradzić sobie z emocjami, z żalem, złością, nienawiścią do tych, którzy udostępniali mu każdą kolejną dawkę. Na szczęście okazało się wtedy, że nie byłem sam. Spotkałem księdza Grodzkiego, który w tamtym czasie był prałatem w naszej parafii. Ksiądz Grodzki pomógł mi odnaleźć nie tylko Boga, ale też innych ludzi, którzy przeszli przez to, co moja rodzina. Nie uwierzycie, ile ulgi i wewnętrznego pokoju przyniosły mi rozmowy z tymi osobami...

Ludzie, którzy próbują wyjść z nałogu potrzebują wsparcia najbliższych, ale ci najbliżsi również przechodzą przez swoje piekło i im też należy się pomoc. Umocnienie.

Jest dzisiaj z nami pan Rafał Kołodziej. Panie Rafale, proszę się pokazać. Oto pan Rafał. Pracuje dla fundacji *Sursum Corda*. Prowadzi sobotnią grupę wsparcia dla rodzin zmagających się z narkomanią i alkoholizmem. Grupę, która może być pierwszym krokiem do znalezienia spokoju i wytrwałości. Jeżeli są wśród nas osoby, które aktualnie borykają się z takimi problemami, szczerze je zachęcam do porozmawiania z panem Rafałem po mszy. Będzie możliwość umówienia pierwszego spotkania grupowego. Jeśli znacie kogoś, sąsiada, znajomego z pracy, o którym wiecie, że potrzebuje takiej pomocy, wspomnijcie mu proszę o fundacji *Sursum Corda*. Przy drzwiach zostawiliśmy ulotki informacyjne. Dziękuję za wysłuchanie. Bóg zapłać!

Berg zszedł z ambony. Nie był to pierwszy raz, kiedy dzielił się publicznie swoim tragicznym doświadczeniem. Nie był to też drugi, ani trzeci. Mimo to, za każdym razem kosztowało go to wiele emocji. Tylko Ewa wiedziała, jak trudno przychodzi mężowi opowiadanie o przeszłości. Tylko ona dostrzegała, że jego cera minimalnie bladła, tylko ona czuła, że jego dłonie stawały się zimne. Młody zauważył jedynie, że lekki uśmiech, który pojawił się na twarzy Berga, gdy kończył przemówienie, różnił się od wcześniejszych jego uśmiechów. Wydał się nerwowy, jakby maskujący zawstydzenie.

Młody spojrzał na niego jakby innymi oczami. Nie widział jedynie komisarza policji. Widział człowieka. Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, odniósł wrażenie, że powstało między nimi nieme porozumienie. Porozumienie oparte o ciężką przeszłość, głębokie żale, silne odrodzenie i misję. To ostatnie wydało się Młodemu najważniejsze. Zrozumiał, że dzieli z Bergiem ten sam cel — nieść pomoc potrzebującym, dbać o bezpieczeństwo innych. W innych okolicznościach odczułby, że to wygórowane motywacje, naciągane i niemożliwe do egzekwowania, ale w tym konkretnym momencie i miejscu, zdawały się całkiem rzeczywiste.

Po wyjściu z kościoła kilka osób podeszło do pana Rafała z grupy wsparcia. Wielu sięgnęło po ulotkę przy wyjściu. Pewne małżeństwo zatrzymało Berga. Ich cery były blade, a oczy niewyspane. Powiedzieli, że ich syn jest właśnie na odwyku, że to, co usłyszeli przed chwilą, dodało im sił do walki o dziecko. Podziękowali. Ewa zatrzymała się przed kościołem, usłyszawszy z tłumu swoje imię. Odłączyła się od męża i Młodego by zamienić kilka słów z koleżanką i kazała im pójść przodem.

— Mieszkamy blisko. To będzie krótki spacer... — zaczął komisarz, gdy ruszyli w stronę domu. — Mam nadzieję, że chociaż trochę zaspokoilem twoją ciekawość i odpowiedziałem na kilka pytań, które cię mierzily.

— To było poruszające, Berg. Nie wiedziałem...

— Każdy ma jakąś przeszłość.

— Cieszę się, że ze swojej wyszedłeś w ten sposób.

— Ja też. Chciałem, żebyś wiedział, jak ważna i osobista w pewnym sensie jest dla mnie ta robota. We wtorek ważny dzień...

— Rozumiem. Nie martw się — złapiemy gnoja. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci w tym pomóc.

— Jutro pogadanka z jednostką taktyczną. Zaczynamy o ósmej rano. Nie spóźnij się... No, i jesteśmy.

— Faktycznie mieszkacie blisko! — przyznał, kiedy podeszli pod dom Bergów.

— Czuję się bezpieczniej, wiedząc, że Bóg mieszka za rogiem — dodał półzartem komisarz.

Niewielki, piętrowy dom, otoczony był drewnianym ogrodzeniem i zielenią. Do wejścia prowadziła wybrukowana ścieżka, po której obu stronach rosły krzaki wrzosu. Zarówno ogród, jak i dom wyglądały na bardzo zadbane rodzinne gniazdo, którego Młody wcale się tu nie spodziewał.

Weszli do środka. Głównym, rzucającym się w oczy elementem, był regał na książki, rozciągający się na całą wysokość i szerokość ściany salonu. Tomy leżały w nieładzie. Wyglądały, jakby ktoś w ostatniej minucie przed przyjściem gościa pozbiierał je ze stołu, podłogi, zakamarków kanapy i rzucił na półkę, gdzie rzekomo jest ich miejsce.

Sześcioosobowy, drewniany stół zajmował centralne miejsce w pokoju. W głębi stała kanapa i fotel otaczające kawiarniany stolik. Nigdzie nie było telewizora. Na ścianach wisiały zdjęcia i obrazy — jakieś kolorowe bryły, zamaszyste kształty. Młody nie był znawcą sztuki. Nie rozpoznawał żadnego z obrazów. Każdy z nich był jednak dziełem ręcznie malowanym, wyjątkowym, o unikalnej fakturze grubo naniesionej farby. W rogu każdej pracy widniał niewyraźny podpis artysty. To nowoczesne, a zarazem ciepłe wnętrze wprowadziło podkomisarza w zaskoczenie.

— *Wow*, dzisiaj mam dzień pełen niespodzianek. Już czuję się jak w domu.

— Nie przyzwyczajaj się... — Berg przygasił jego entuzjazm, niby przekornie, a jednak z powagą na twarzy. Potem dodał: — Ten dom, to zasługa Ewy. Gdybym ja zajmował się wystrojem, wyglądałby tak samo, jak nasze biuro...

Zaczął nakrywać do stołu. Ten wieczór, o który trochę się obawiał, upływał zaskakująco miło. Przy kolacji Ewa zadawała mnóstwo pytań: Jak ci się podoba Warszawa? Od dawna tu jesteś? Jak trafiłeś do szkoły policyjnej? Dlaczego wydział narkotykowy?...

— Kochanie — zwrócił jej uwagę mąż — nasz gość poczuje się, jak na przesłuchaniu.

— Nie przeszkadza mi to — zapewnił Młody. Na wszystkie pytania odpowiadał pewnie, wzorowo, jak na egzaminie.

Około dziesiątej Ewa poczuła się senna. Cięża zaczynała dawać się jej we znaki, choć, mimo swego stanu, wciąż zajmowała się domem, mężem i pracą, która nie należała do najłżejszych.

— Zarządzam małą klubokawiarnią — zaczęła opowiadać. — To znaczy zarządzałam do tej pory.

— Ewa jest jej właścicielką — dodał mąż.

— Dzięki spadkowi po ojcu. W każdym razie, odkąd dowiedziałam się o ciąży, odstąpiłam od pewnych obowiązków, najęłam menadżera. Teraz głównie nadzoruję, czy wszystko działa jak należy.

— Brzmi jak kawał roboty — ocenił Młody. — Podziwiam cię.

— Ja też — dodał Berg. — Mówiłem jej już, że powinna wziąć urlop na

jakiś czas...

— I co miałabym robić? Siedzieć w domu i czekać na poród? Wiele kobiet pracuje do ostatnich dni ciąży. Ja i tak zrobiłam postępowanie z odpoczywaniem!

— Masz menadżera... — przypomniał, podkreślając ten fakt Alan.

— Mam menadżera! Który wyręcza mnie z wielu rzeczy. *À propos* odpoczynku... Muszę się już położyć. Zajmiesz się gościem, kochanie, prawda? Tylko nie bądź dla niego ciężki...

— Oczywiście. Będę miłutki jak szef przed zwolnieniami.

— Alan! — upomniała go, posyłając karcące spojrzenie.

— Żartowałem!

— Bardzo się cieszę, że się poznaliśmy — zwróciła się do Młodego. — Mam nadzieję, że niedługo znowu się spotkamy.

— Ja też! I dziękuję za kolację, była pyszna!

Ucałowała męża i udała się na górę. Policjanci przeszli do salonu. Zostali sami, co oznaczało dla Młodego idealną okazję do zadawania odpowiednich pytań. Mimo przyjemnej, nawet rodzinnej atmosfery, którą doświadczał w domu komisarza, ani przez moment nie zapomniał o swojej misji. O tym, po co tutaj przyszedł.

— Czego się napijesz? Wino, piwo, whisky...?

— Whisky.

— Mój człowiek... Siadaj, naleję ci.

Berg podał mu szklaneczkę danielsa. Potem wyciągnął z szuflady małego biurka, stojącego pod ścianą, foliową torebkę i małą fajkę. Usiadł na brzegu fotela i wolno zaczął ładować fajkę, rozdrabniając nieco skawaloną zawartość torebki. Młody patrzył na niego wielkimi oczami.

— Czy to jest to, co myślę?

Berg oddał mu tym samym spojrzeniem.

— Pracujesz w narkotykowym. Sam chyba wiesz jak wygląda trawa?

— Ale ty też pracujesz w narkotykowym... I...

— To zioło. Pomaga mi składniej myśleć. Odpręża... — Młody wziął torebkę do ręki i przyjrzał się zawartości. — Reflektujesz? — Zapytał komisarz, wyciągając fajkę w kierunku kolegi.

— Nie. Może innym razem.

— Jak chcesz. — Proca usadził się głęboko w fotelu i zapalił fajkę.

— Mogę o coś zapytać?

— Chyba nie mogę ci zabronić.

— Skąd to bierzesz?

— Przesłuchujesz mnie? — Młody spuścił głowę. Berg parsknął. Przynajmniej się do krawędzi fotela, nachylił się ku niemu i puszczając mu oko wyszeptał: — Mam zaufane źródło...

— Mario... Ale on to sprzedaje na ulicy!

— Mario ma ze mną jasną umowę. Ja go nie przymykam, a on, oprócz przekazywania informacji, trzyma się z daleka od grubych narkotyków... i nieletnich. Jeśli złamałby choć jedną część umowy, osobiście założyłbym mu bransoletki.

Młody potakiwał, po czym powiedział:

— Tylko jeden mach.

— Bardzo proszę! — Berg podał mu fajkę.

— Ufasz mu?

— Są dwa święte przykazania, których przestrzegam w tej robocie: bądź lojalny wydziałowi i własnemu sumieniu — powiedział, pukając się pięścią w serce, po czym dodał: — oraz szanuj konkurencję. Tego samego wymagam od współpracowników. Mario dobrze o tym wie. Musiałby być bardzo głupi, żeby złamać dane mi słowo. Gdyby chciał mnie okłamać... Lepiej byłoby dla niego, gdyby otwarcie powiedział, że kończy współpracę.

Młody nerwowo przełknął ślinę i po chwili zapytał:

— Lojalność wydziałowi i sumieniu zawsze idą w parze?

— Oczywiście, że nie.

— Co wtedy?

— Zasady wydziału są święte. Dopóki nie zwiążują mi rąk.

Młody uśmiechnął się półgębkiem. Chciałby, żeby te słowa były również jego dewizą. Nie był może jednak tak doświadczony jak Berg, żeby sobie na to pozwolić. Przypomniawszy sobie, że przyszedł tu z pewnym zadaniem do wykonania. Usiadł wygodnie — po raz pierwszy, od kiedy przyszedł do domu Bergów, wyglądał na odprężonego. Jednak w jego głowie kołatało się teraz wiele myśli. Chciał jak najbardziej wykorzystać ten wieczór, żeby poznać i zrozumieć komisarza. Zastanawiał się, w jaki sposób go podejść. Berg nigdy nie przebierał w środkach. Jawnie wykladał karty na stół, czy to podczas zwykłej rozmowy (jak zrobił to w dzień, kiedy się poznali), czy podczas przesłuchań (kiedy wprost powiedział Drzewieckiemu, jak się sprawy mają). Postanowił więc zagrać również otwarcie:

— Powiem ci szczerze, Berg, pracujemy ze sobą krótko, ale bardzo podziwiam twoją robotę. „Szakał”, kurde! Działa jak dobrze naoliwiona maszyna. Chłopaki naprawdę wymiatają! Ilość danych, które zebrali przez ten cały rok — bardzo imponujące! Tyle profili, adresów, telefonów... Chciałbym być ważnym elementem tej grupy. Ale czuję, że nie mogę, bo nie mówisz mi wszystkiego.

— Co masz na myśli?

— Weź nie udawaj! Dobra, pomijam już sprawę z Mario. Na pewno wiesz, że nie jest tylko gościem od marychy, ale masz z nim osobisty układ, to twój kontakt — nie wnikam. Ale Wilk... Chłopaki mówili, że odkąd ta sprawa ruszyła,

mocno się zmieniłeś.

— Tak mówili?

— Otworzyli się po kilku piwach. Berg, dlaczego ta sprawa różni się od innych? Dlaczego jest tak ważna, osobista nawet; przy niej wszystkich ludzi odsuwasz na bok.

Komisarz przeciągnął się w fotelu i odetchnął głęboko. Tak, Młody zaczynał się rozkręcać. Zrobił swoje własne śledztwo, przeniknął sytuację, dobrze wyciągnął wnioski i teraz szukał potwierdzenia.

— Zaczynam cię lubić chłopaku. Może będzie z ciebie glina...

Komisarz obserwował go przez moment w milczeniu. Potem wstał i ponownie podszedł do biurka. Tym razem wyjął z niego mały przedmiot. Wracając z nim na miejsce zaczął: Wiesz, co to jest?

Pytanie było raczej teoretyczne. Oczywiście, że Młody potrafił nazwać łuskę, kiedy jakąś zobaczył. Nie było też dla niego problemem, określić jej kaliber. Mimo to odpowiedział:

— Dawno z takiego nie strzelałem. Kaliber .22.

— Dokładnie. Ale to nie jest zwykła łuska. To łuska po pierwszym pocisku, który wystrzeliłem w życiu.

— I jest niezwykła?

— Jest niezwykła, bo wtedy chybiłem.

Młody zaśmiał się głośno i uderzył dłonią w kolano.

— Niemożliwe! Wielki komisarz Berg *vel* Proca nie trafił w cel? Co nim było?

— Nie wiem, butelka, puszka czy coś tam... Chybiam tylko, jak za dużo myślę. Kiedy chłopaki są w pobliżu i martwię się jeszcze o nich... Nieważne! Ważne jest, że wtedy zaczynałem od zera, jak każdy. Po prostu chybiłem, Młody. I tak jest w życiu. Zaczynasz drogę, masz jakiś cel i owszem, działa talent i przypadek, ale w ostatecznym rozrachunku los sprzyja zacnym i sumiennym. Chcesz zrobić coś wartościowego i wielkiego? Żyj dobrze, mądrze i pracowicie.

— Staram się. I chcę się wykazać! Wprowadź mnie w tę sprawę, Berg, daj mi szansę.

— Niecierpliwy jesteś, co?

— Nie bez powodu. Jakbyś ze mną rozmawiał otwarcie, wiedziałbym, że nie chciałeś w ogóle aresztować Mostka. On obserwował ciebie, a ty jego. Chaber mówił, że przepuszczałeś wiele okazji na realizację tylko po to, żeby uspić czujność Wilka, żeby się do niego zbliżyć po cichu... Ja z Mostkiem spierdoliłem... I z Drzewieckim przy okazji też.

— Co ty pieprzysz, Młody?

— No tak. Bo gdybym wiedział, żeby go nie ruszać, to Mostek by żył — odparł szczerze Młody, a Berg zapatrzył się na niego w milczeniu, spinając przy

tym wargi. Podkomisarz widział, że myśli o czymś intensywnie, jakby próbował podjąć ważną decyzję. Wreszcie, po tej chwili ciszy, przyznał:

— Jest coś ważnego... w sprawie Wilka, o czym jeszcze nie mówiłem nikomu w Biurze.

— Berg, jestem tu, żeby pomóc.

Komisarz pokiwał głową. Przez krótki moment odbył intensywną walkę wewnętrzną, choć wiedział, że zaczynając w ogóle temat, podjął już decyzję. Kontynuował:

— Mówiłem ci, że nie wiadomo, kim on jest. Wypląnął rok temu, jako narkotykowa szycha. Przez ten cały czas drążyłem temat gościa. Chciałem nie tylko go dorwać, ale w ogóle dowiedzieć się, kim jest, skąd się wziął, zrozumieć go...

— I dowiedziałeś się?

— Od pięciu lat Rosjanie szukają seryjnego mordercy, który nazywa się Rodion Vlacic...

— Myślisz, że to on? Dlaczego?

— Bo kiedyś go poznałem. Słyszałeś dzisiaj historię mojego brata... Maksym zaczął brać dragi jak skończył szesnaście lat, myślał, że jest dorosły i wolny... Niestety, był bardzo podatny na wpływy. Rodion był jego kolegą. Starszy o dwa lata, w moim wieku był. To on wciągnął Maksyma w heroinę. Prawda jest taka, że Maks nigdy nie trafił na odwyk — miał go w naszym mieszkaniu. Szło mu nieźle, przez miesiąc był czysty. Ale pewnego dnia znowu pojawił się Rodia. Przyniósł mu działkę. Gdy wróciłem do domu, znalazłem brata martwego w łazience.

Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Młody poczuł prawdziwe porozumienie z Bergiem. Patrzył na niego oczami przepelnionymi współczuciem, bo sam poznał kiedyś tragedię odprowadzania kogoś bliskiego na tamten świat. W końcu siedział naprzeciw szczerzej, otwartej osoby. Nie zawziętego, gburowatego komisarza, a prawdziwego, z krwi i kości, człowieka.

— Dlaczego nie powiedziałeś tego w kościele?

— Bo ludzie potrzebują szczęśliwego zakończenia, nadziei, że mają szansę. Czasami kłamstwo, wypowiedziane w dobrej intencji, jest uzasadnione...

Młody spojrzał na niego badawczo. Czy Berg mówił teraz o sobie, czy o nim? Domyślał się prawdy? Niemożliwe! Przykrywka Młodego była zorganizowana perfekcyjnie! Zresztą komisarz wydawał się dość odprężony i po chwili kontynuował opowieść:

— Po śmierci Maksa Rodion zniknął. Jak tylko zacząłem pracę w policji, próbowałem go namierzyć, ale przepadł jak kamień w wodę. Pięć lat temu jego nazwisko zaczęło wypływać w rosyjskich mediach. Nazywali go pozbawionym ludzkich uczuć psychopata. Policja rozesała listy gończe... Szukali go przez

dziesięć lat, z czego przez pięć wiedzieli dokładnie, kim jest! A on sukcesywnie zabijał dwie, trzy osoby rocznie. Wszystkie tak samo — wstrzykując im dużą ilość heroiny. Ofiary nie wytrzymały dawki. W przeciągu tych dziesięciu lat uratowano jedną osobę. Facet pamiętał tylko, że napastnik powiedział, że „teraz podda go testowi na człowieczeństwo”...

— Mieli rację nazywając go psychopata.

— Jest tym gorzej, że to psychopata z ideą. Jemu chodzi o coś więcej niż samo mordowanie. „Test na człowieczeństwo”? W każdym razie, policja deptała mu po piętach. Podobno byli już całkiem blisko, kiedy Rodion wyparował. Rosjanie podejrzewają, że uciekł do któregoś z zachodnich sąsiadów.

— Myślisz, że do Polski, że to Wilk?

— Czytałeś raporty... Ta sprawa ciągnie się już trochę za długo. Mam wrażenie, że cały czas się do niego przybliżam i zaraz od niego oddalam. Najbliżej dorwania go byłem cztery miesiące temu. Dotarliśmy do mieszkania, które wynajmował, pod zmienionym nazwiskiem oczywiście. Przetrzepaliśmy każdy zakamarek...

— Tak znalazłeś esej? W raporcie pisałeś, że była to... rozprawa ideologiczna? Widziałem kopię eseju, ale przyznaję, że nie wczytałem się jeszcze.

Berg pokręcił głową z dezaprobatą i kontynuował:

— Z wami młodymi tak właśnie jest, interesuje was, co robi przestępca, ale olewacie, dlaczego. A jedno i drugie jest ważne. To nie był esej. Raczej zbiór notatek, przyczynek do rozprawy. Wilk to człowiek z misją. Chce oczyścić świat z cierpienia i słabości. Myśli, że heroina jest do tego idealnym narzędziem, całkiem jak Rodion...

— Więc albo się nim inspirował, albo to ten sam człowiek. Ale nie popełnił w Polsce żadnego morderstwa?

— Nie. W każdym razie nic o tym nie wiem. Gdyby to zrobił, ściągnąłby na siebie Rosjan. Sądzę, że chce tego uniknąć... Teza, że Wilk to Vlacic, w oczach prawa jest raczej hipotezą, nie mamy na to żadnych dowodów, jedynie poszlaki. Nikt jeszcze nie przyłapał Wilka na gorącym uczynku, nie wiemy, jak wygląda.

— A ludzie, którzy wynajmowali mu mieszkanie? Nie podali rysopisu?

— Polityka wynajmu jest w Polsce luźna. Twierdzili, że nie mają kopii dowodu osobistego... Nie prosili nawet o to. Dobrze, regularnie płacił... Tak, podali rysopis. Miał się nijak do listu gończego Vlacica...

— Myślisz, że kłamali?

— Myślę, że to prości ludzie, którym odpowiedni plik pieniędzy w dłoni miesza w głowach i związuje języki. Sprawa utknęła w martwym punkcie.

— Tyszka o tym nie wie?

— Wie, że Wilk to prawdopodobnie Vlacic.

— Ale nie powiedziałeś, że miał on związek z twoim bratem...

— Nie. Obawiam się, że wtedy odsunąłby mnie od sprawy.

— A ty uważasz, że to nie wpływa na twoje podejście do sprawy?

— Wpływa, ale to mnie tylko bardziej motywuje. Filip by tego nie zrozumiał. Ty wiesz, jak to jest szukać sprawiedliwości.

— Wiem, że jej wymierzenie nie przynosi ulgi... — powiedział z zawodem w głosie i po chwili dodał: — Czyli wstąpiliśmy do policji z tego samego powodu, szukając zemsty.

— Sprawiedliwości. Tak, najlepszym sposobem, żeby kogoś... dopaść, jest wstąpienie do policji.

Młody uśmiechnął się lekko. Zauważył ten moment zawahania i zastanowił się, czy „dopaść” było właśnie tym słowem, które miał na myśli komisarz. Może chodziło o coś więcej. O coś bardziej ostatecznego niż „dopadnięcie” zbrodniarza.

— Widzę, że whisky otwiera nieco twoje skryte usposobienie...

— To nie whisky je otwiera, a rosnące zaufanie — odpowiedział Berg z powagą.

Policjanci do późnej godziny wyczerpywali różne tematy. W końcu przerwała im pusta butelka i przypomnienie sobie, że jutro rano, na spotkaniu z całą ekipą, Berg musi przedstawić plan wtorkowej akcji. Pożegnali się o dwunastej. Ewa przebudziła się na dźwięk skrzypiących pod stopami męża schodów. Kiedy położył się obok niej, objęła go w pasie i nie otwierając oczu, zapytała sennie:

— I co, tak straszenie było?

— Gorzej, bo bardzo przyjemnie.

— Czyli miałam rację.

— Jak zwykle... — przyznał, głaszcząc ją czule po włosach.

— Pamiętaj o jutrze... — wyszeptła, powoli zasypiając. Alan zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć, co ma się wydarzyć jutro, oprócz pogadanki z grupą zadaniową. Jego milczenie jeszcze do niej dotarło, więc zdołała dodać: — Czternasty tydzień. USG...

„A! To... — pomyślał i uśmiechnął się do siebie. — Okaże się, kogo żeśmy tam zmajstrowali...”

ROZDZIAŁ SIÓDMY

PRZED WYSTRZAŁEM

O siódmej trzydzieści rano podkomisarz Sikorski przekroczył próg kawiarni „Bukowski”. Przy tym samym, co ostatnio stoliku siedział ten sam brodaty, łysy mężczyzna. Na blacie stały już dwie filiżanki kawy.

— No, cześć. Szykuje się ładny dzień — ocenił Olaf, wodząc oczami po bezchmurnym niebie. — Ta jest dla ciebie. — Przysunął Młodemu filiżankę kawy. — Cappucino, tak?

— Tak, dzięki.

— Jak poszło spotkanie z Bergiem?

— Dobrze. Jeśli ktokolwiek może doprowadzić tę sprawę do końca, to chyba tylko on. Jest bardzo zdeterminowany.

— Nie obchodzi mnie jego śledztwo, tylko nasze sprawy. Ten przerzut, to dla nas dywersja. Jaki ma plan?

— Za pół godziny mamy spotkanie z ekipą. Wtedy poznam szczegóły. — Młody upił łyk kawy. Wziął głęboki oddech i patrząc sobie na dłonie, powiedział: — Będzie gorąco. Potrzebuję kogoś do pomocy.

— Przewidzieliśmy to. Mamy naszego człowieka w jednostce szturmowej — zapewnił mężczyzna i podał Młodemu kopertę. W środku było zdjęcie. — Nie rozmawiaj z nim. Wiesz, kim on jest, on wie, kim ty jesteś. Wystarczy wam kontakt wzrokowy. W odpowiednim momencie przechwycicie ciężarówkę. Kryj go, on zajmie się resztą. Julian, taka okazja może się długo nie powtórzyć.

— Co będzie potem?

— O „potem”, to ty się nie martw chłopaku. Skup się tylko na swoim zadaniu. Musimy zgarnąć ten towar.

— Wiem... Zrobimy to. — Próbował zabrzmieć przekonująco, ale Olaf dostrzegł jego niezadowolenie i patrzył na niego wzrokiem nieznoszącym sprzeciwu. Wziął głęboki oddech i dodał:

— Od początku wiedziałeś, w co się pakujesz. Ja zdaję sobie sprawę, że to nie jest łatwa robota, ale teraz jest już za późno, żeby się wycofać! Bądź czujny, przechwyc towar i niedługo będzie już po wszystkim. Potem, to już same granty...

— Poklepał go arogancko po ramieniu i wyszedł z kawiarni.

Młody został, chciał dopić kawę w spokoju. Przyjrzał się dokładnie mężczyźnie na zdjęciu, po czym podarł je na drobne kawałki. Choć czuł się niewygodnie ze wszystkimi kłamstwami na sumieniu, wiedział, że misja, której się podjął, była słuszna. Gdyby cała realizacja zależała wyłącznie od niego, rozegrałby to nieco inaczej. Po cichu, po kryjomu, a nie w huku wystrzałów na linii frontu, gdy zagrożone jest ludzkie życie. Decyzja nie należała jednak do niego. Mimo że był pomysłodawcą całej akcji, mimo że sam zgłosił się na ochotnika do roli wewnętrznego agenta, nie dowodził. Inni decydowali za niego. Była to najgorsza z możliwych sytuacji — musieć postąpić zgodnie z rozkazem, którego nie popierał

i nie rozumiał. Nie przejawiał buntowniczego charakteru, umiał podporządkować się wytycznym, jednak tylko wtedy, gdy szanował szefa i gdy szef szanował również jego opinię. Mimo więc, że doceniał Olafa jako ważniejszego w hierarchii i bardziej doświadczonego, nie imponował mu on jako człowiek, a dokładając do tego jeszcze fakt, że każdą uwagę i opinię Młodego zbywał pobłażliwym uśmiechem bądź buńczuczным odrzuceniem, wykonywanie wydanych przez niego rozkazów przychodziło podkomisarzowi z trudem.

Z kartonowym kubkiem dla Berga w dłoni, podjechał rowerem pod siedzibę Biura o ósmej piętnaście. Od razu ruszył do sali konferencyjnej. Żeby nie ściągać uwagi na siebie i swoje spóźnienie, otworzył drzwi najciszej jak mógł, jednak nie udało mu się uniknąć spojrzenia komisarza, który stojąc na środku sali, wykladał plan jednostce taktycznej. Tuż za jego plecami stała biała tablica z przyczepionymi do niej zdjęciami i mapą.

— Przerzut odbędzie się pod Mostem Żelaznym w Tomaszowie — tłumaczył komisarz, wodząc mazakiem po mapie. — Samochody podejrzanych podjadą na miejsce z kierunku południowo-zachodniego. Będzie im zależało na szybkiej ewakuacji, najprawdopodobniej zaparkują tutaj, ciężarówka z towarem stanie więc bliżej wiaduktu. Pułkownik Gęsiarz — zwrócił się Berg do stojącego na boku mężczyzny. — Ilu ludzi będzie miał pański oddział?

— Może pan liczyć na dwudziestu chłopaków, komisarzu.

— Podzielimy ich na trzy grupy. Grupa Alfa ustawi się od zachodu, tuż za mostem — ich zadaniem jest przechwycić ciężarówkę. Grupa Bravo wejdzie od północy — w terenie jest kępa krzaków i drzew, mogą się tam zakamuflować, ich zadaniem jest obezwładnienie podejrzanych. Pułkowniku, chcę, żeby pan poprowadził tą grupę. Grupa Charlie — ukryta w opuszczonym szkielecie domu...

— Komisarzu — przerwała Bergowi jedna z obecnych policjantek.

— O co chodzi?

— Dowiedzieliśmy się, że ten dom nie jest opuszczony. Mieszka tam grupa alkoholików.

— Na miłość Boską, przenieście ich gdzieś na tę jedną noc... Kupcie im obiad...

— Za wódkę od razu by się stamtąd wynieśli... — szepnął Impuls do Mazura. Wcześniej ustalili, że Impuls będzie trzymał się blisko komisarza, zaś Mazur i Chaber mieli w gotowości przeczekać akcję w wozach. Licząc się z możliwością, że podejrzani podejmą ucieczkę, Berg złożył prośbę o przyznanie im do akcji drona, który koordynowany przez Mazura z wozu, dałby im idealny ogląd całej sytuacji i umożliwił śledzenie ewentualnych uciekinierów. Wciąż czekali na decyzję.

— Możemy kontynuować, czy jeszcze macie jakieś podstawowe wątpliwości? Grupa Charlie, ukryta w opuszczonym przez alkoholików szkielecie

domu, ma odciąć podejrzanym drogę ucieczki i zgarnąć Wilka. Tę grupę poprowadzę ja. Pamiętajcie, podejrzanych będzie około dwunastu. Będą uzbrojeni. Mamy jednak nie tylko przewagę liczebną — oni się nas nie spodziewają. Nie znamy dokładnej godziny przerzutu. Wiemy, że ma nastąpić w nocy z wtorku na środę. Będziemy na miejscu od dziesiątej. Wszyscy mają czekać na mój znak. Powtarzam — czekać-na-znak! Tym razem nie chodzi tylko o towar, musimy zgarnąć Wilka. Jeżeli jedno albo drugie nie wypali — całą akcję będę uważał za nieudaną. Pułkownik, dziękuję za wsparcie pańskiego oddziału. Reszta — kontynuujcie poszukiwania nowych nor. Gdyby jakimś cudem udało im się uciec, będziemy przynajmniej wiedzieć, gdzie ich szukać. Czy są jakieś pytania?

— Ja mam! — zerwał się Impuls, podnosząc rękę do góry. — Kto poprowadzi grupę Alfa?

— Podkomisarz Julian Sikorski. Zamykam spotkanie. Widzimy się jutro o dziewiętnastej trzydzieści w bazie wyjazdowej.

Policjanci opuścili salę. Został w niej jedynie Młody i Berg, który zapisywał jakieś notatki. Gdy wokół zrobiło się cicho, podniósł głowę znad kartek i spojrzał na partnera. Ten, od kiedy tylko wszedł do sali, nie poruszył się ani o centymetr. Komisarz, podchodząc do niego, powiedział napiętym głosem:

— Jutro jest najważniejsza i najtrudniejsza akcja, którą przygotowywałem od ponad trzech lat, a ty przychodzisz na spotkanie spóźniony prawie dwadzieścia minut?! Chciałeś się wykazać? No, to masz okazję! Powierzam ci cholernie ważne zadanie. Muszę mieć pewność, że mogę na tobie polegać.

— Możesz — wydukał podkomisarz.

— Muszę wiedzieć, że przechwycisz tę ciężarówkę.

— Ty martw się o Wilka, ja zajmę się towarem. Możesz być spokojny.

— Młody... nie spraw, żebym żałował decyzji.

— Możesz mi zaufać, Berg.

— Dobrze... A kawę już dzisiaj piłem — dodał, spoglądając na stojący przed Młodym kubek. Wszedł z sali i udał się prosto do piwnicy budynku. Młody odetchnął nagle, jakby do tej pory dławił się własnymi kłamstwami. Nie mógł uwierzyć w to, co stało się przed chwilą. Dostał od Berga pełny kredyt zaufania! I po co? Po to, żeby go użyć dla własnych korzyści, a komisarzowi zwalić na głowę stertę gruzu?! Jasne, że prosił o okazję do wykazania się, ale tak naprawdę, to wcale nie liczył, że ją dostanie. A teraz Berg wydawał się mu ufać bardziej, niż Olaf, z którym pracują już od dawna.

Było już za późno, żeby się wycofać i za wcześnie, żeby się zdemaskować. W tej kwestii nie miał żadnych wątpliwości — misja na pierwszym miejscu. Będzie musiał nadwerżyć otrzymane zaufanie. Postanowił jednak, że cokolwiek się wydarzy, pomoże Bergowi złapać Wilka, wyrównać rachunki za śmierć brata.

Dzień przed akcją przynosił zawsze najwięcej stresu, bo kiedy wszystko było

już zaplanowane i niemalże przygotowane, pozostawało jedynie czekać. To było najgorsze — czekanie w niepewności, czy jutro wszystko się powiedzie i czy nie pojawią się jakieś niespodzianki. Berg próbował zachować spokój umysłu. Tysiące myśli i wizji przychodziło mu do głowy. Rozpamiętywał przeszłość, choć starał się nie dopuszczać do siebie złości. To byłaby ta rzecz, ta emocja, która mogłaby utrudnić mu racjonalną ocenę sytuacji i doprowadzić do niepowodzenia akcji.

Rozłożył przed sobą dziesięć magazynków i wystrzelał je wszystkie. Z każdą wypuszczoną kulą uwalniał się od negatywnej myśli i emocji. Miał przed sobą twarz brata, który umierał na łazienkowej podłodze. Próbował przypomnieć sobie ostatnie słowa Maksa. Nie były ani wielkie, ani znaczące. „Alan, nie...” — zatrzymywał go, nie chciał, żeby wychodził za Rodionem. Powinien go posłuchać. Zostać, upewnić się najpierw, że brat jest bezpieczny. Tymczasem zostawił go samego. Tylko na kilka minut, ale to wystarczyło, żeby odebrał sobie życie. Nieświadomie. Z głupoty. Z ludzkiej słabości. Co by było, gdyby Alan zdążył na czas? Wrócił choć pół minuty wcześniej? Maks byłby jeszcze przytomny. Co by powiedział, gdyby mógł? Przeprósłby za ból, który sprawił jemu i matce, przeprósłby za głupie decyzje, które podejmował, i powiedziałby, że teraz nie muszą się już o niego martwić, bo w końcu będzie wolny. Znając dobrą naturę Maksyma, czuł, że brat wybaczyłby również Rodionowi i że chciałby, aby i Alan mu wybaczył. Gdyby tylko wiedział, gdzie życie poprowadzi Rodiona, w jakich ciemnych zakamarkach umysłu i serca zamieszka świadomość tego człowieka, jakich strasznych, nieludzkich czynów dopuszczają się jego ręce... Gdyby tylko wiedział...

„Przeszłość należy do przeszłości” — pomyślał Berg oddając ostatnie strzały. Teraz musiał powstrzymać Wilka, zapobiec dalszym nieszczęściom, do których mogłoby dojść za sprawą działań tego człowieka. To było najważniejsze — upewnić się, że przeszłość już się nie powtórzy. Z tym celem komisarz wrócił na drugie piętro Biura i nosił go w umyśle do końca dnia.

Z niewiadomego powodu korytarz wydziału narkotykowego wypełnił się nagle wyzwiskami i pokrzykiwaniem. Toteż chwilę później zaczęły otwierać się poszczególne drzwi, przez które zainteresowani sprawdzali, co się dzieje. Kiedy owe hałasy dotarły do uszu Impulsa, aspirant zerwał się nagle i wychodząc z pokoju, zawołał za sobą kolegów, mamrocząc coś o zemście.

Na korytarzu stał podkomisarz Niemczyk, otoczony trzema wielkimi mężczyznami w roboczych ubraniach. Jeden z mężczyzn tłumaczył:

— Panie kochany! Nam nie płacą za nadgodziny... Pan zamówił dwadzieścia dębowych biurek, to żeśmy przywieźli...

— Jakich biurek, panie?! Kurwa! Czy pan głuchy jest, że ja niczego nie zamawiałem?

— Jak nie, jak tak. No mam tu fakturkę i wydruk zamówienia. Wyraźnie napisane, że podkomisarz Karol Niemczyk — to pan przecież — zamówił dwadzieścia sztuk biurka dębowych... Mam tu pana adres e-mail przecież. Płatne przy odbiorze...

— Ja wam niczego nie będę płacił! To jakieś, kurwa, nieporozumienie. Bierzcie te biurka i wypad.

— Pan uważa, jak się wyraża...

— Bo co?

— Bo zawiadomienie złożę! — powiedział dostawca wyprężając się, na co reszta mężczyzn zrobiła to samo. Impuls wystąpił na przód i doszedł do nich, mówiąc:

— Panowie, proszę się nie denerwować... Zasłyszałem przypadkiem, co się stało i na pewno znajdziemy jakieś sensowne wyjście z tej sytuacji. Te biurka to panowie wyładowali już?

— Panie kochany! Co myśmy przeszli na dole z tymi gośćmi z waszej logistyki, to sam Bóg widział i łapał się za głowę! Nas trzech, ich sześciu, i żeśmy te biurka zaczęli przenosić do garażu. A tu ich przełożony jakiś przychodzi i pyta, co się dzieje z tymi meblami. My zmachani jak kurwy, a on, że nic nie było zamawiane przez wydział logistyki. My w fakturę, a tam jak wół napisane, że biurka do działu logistyki mają jechać, a zamawiał podkomisarz Niemczyk...

— Ja nic nie zamawiałem! — wtrącił się Niemczyk, na co Impuls uniósł do góry dłoń w uspokajającym geście. Dostawca kontynuował:

— No więc, jak ten szef przyszedł, to my przy piętnastym biurku byliśmy. Kazał najpierw przyjść tutaj i wszystko wyjaśnić. A ten skurw...

— Ja jestem pewien, że... — przerwał mu Impuls, widząc, że mężczyźni zaczynają podnosić się ciśnienie — zaszło jakieś fatalne nieporozumienie, panowie. Nie jest możliwe, żeby pan podkomisarz kłamał, bo to porządny i naprawdę świetny policjant! Może ktoś się włamał na jego konto i złożył zamówienie?! Będziemy musieli to zbadać... No, fatalna pomyłka. Bardzo mi przykro, że tak się panowie narobili!

— Panie! W tym garażu na dole to już miejsca nie ma, bo to są duże biurka!

— No, to chłopaki z logistycznego muszą to załadować z powrotem!

— My już tego nie tykamy! A chuj! Ja już nosić nie będę. Błąd policji, niech policja naprawia. Idziemy, panowie! — rozkazał kolegom dostawcom i grożąc Niemczykowi palcem, dodał: — I będziemy pilnować, jak pan tę sprawę wyjaśni, panie świetny podkomisarzu!

— A wyjaśnię, może mieć pan pewność!

Mężczyźni zjechali windą na parter, Niemczyk podziękował Impulsowi za wstawiennictwo i zażegnanie sporu, po czym zamknął się w pokoju. Aspirant odwrócił się do obserwujących wszystko kolegów z szelmowskim uśmiechem na

twarzy. Chaber stał z założonymi na piersi rękami i kręcił z dezaprobatą głową. Kiedy zmierzający do pokoju kolega go wyminął, zapytał:

— I co? Myślisz, że nie złapią cię na tej zemście?

— Nie ma opcji — skomentował Mazur. — Zaprogramowałem wirusa tak, że nawet FBI by tego nie rozgryzło.

— Mazur... Dajesz się manipulować temu nikczemnikowi! — Usłyszawszy to, Impuls gwałtownie zawrócił, mówiąc:

— Nie mów, że ci się przedstawienie nie podobało, panie „zawsze-postępuję-zgodnie-z-zasadami”!

— No, ciekawie było.

— No! I Niemczyk też zasłużył...

— ... bo straszny kutas z niego był... — dokończył Chaberski, przypominając sobie trzy tygodnie pracy pod komendą podkomisarza Niemczyka, który kazał chłopakom z „Szakala” robić dosłownie wszystko — od raportów, poprzez liczenie, ważenie, katalogowanie, obserwację, przesłuchania, godzinne podsłuchy, liczne działania rozpoznawcze, aż po segregowanie akt własnych dochodzeń i — ostatecznie — mycie swojego zabłoconego samochodu. Koniec końców, również sam Chaber poczuł w sercu nutkę satysfakcji.

Alan przyjechał do domu jeszcze przed zmrokiem. Ewa nie pamiętała, kiedy ostatnio wrócił z pracy o tak wczesnej porze. Jakkolwiek była zadowolona, słysząc, że wchodzi do domu, przeczuwała, że wcześniejszy powrót ma być dla niej pewną rekompensatą. Za co? Martwił się o jutrzejszą akcję. Zdawał sobie sprawę, że rzeczy mogą nie pójść tak, jak je zaplanował i ona o tym wiedziała. Jednak nie było ją stać na zbyt ni entuzjazm z powrotu męża. Miała do niego żal.

— Cześć, kochanie! — przywitał ją, gdy zeszła z sypialni. Stał przy jadalnym stole i opróżniał foliową torebkę. — Upolowałem nam kolację. Twoje ulubione: tajskie i...

— Sok porzeczkowy? — zapytała, gdy wyciągnął karton.

— Wiem, jak bardzo tęsknisz za lampką wina. Napełnimy więc kieliszki i będziemy udawać, że to malbec!

Nie uśmiechnęła się nawet. Oparła się o futrynę w progu kuchni i założywszy ręce na piersi, zacisnęła zęby i patrzyła na niego „tym” wzrokiem. Coś przeszkrobał. Tylko co? Kiedy sobie przypomniał, westchnął ciężko i położył dłoń na swojej głowie.

— USG! Zapomniałem... — Był szczerze zażenowany i zawiedziony własnym błędem. Przecież tak mu zależało! Jak mógł zapomnieć?! Ewa pokręciła głową z rozczarowaniem. Pomyślał, jak strasznie musiała się czuć, kiedy nie przyszedł. W jednym z najszcześniejszych momentów życia przyszłych rodziców została sama. Zbliżył się i złapał ją za ramiona. — Kochanie, przepraszam... Nie

wiem, jak to się stało, po prostu wyleciało mi z głowy... Dlaczego nie zadzwoniłaś? Przecież zaraz bym przyjechał!

— Pomyślałam, że skoro nie przyjechałeś, musiało cię zająć coś ważnego...

— Nic nie byłoby ważniejsze niż to! Jezu... przepraszam. — Czekał na jej reakcję, lecz żona unikała teraz jego spojrzenia. — Powiesz mi, jak poszło? — zapytał nieśmiało. Podała mu trzymane do tej pory w dłoni zdjęcie. Nie zauważył ich wcześniej. Kiedy na nie spojrział, na jego twarzy wystąpił mimowolny uśmiech. Zatrzymał się przy trzeciej fotografii.

— To jest łokieć?

— Kolano.

— Kolano? Wygląda jak łokieć, bo tu jest bark.

— To jest pupa...

— Naprawdę? — zapytał, obracając zdjęciem. — Myślałem, że...

— To jest chłopak — przerwała mu, gdy poczucie złości zaczęło ją opuszczać.

— Chłopak?! A nie mówiłem?! — Uśmiechnął się szeroko i biorąc żonę w ramiona, ucałował ją wielokrotnie. To całkiem rozpuściło jej nerwy. Pokazała mu na zdjęciu dowód potwierdzający płęć.

— Kocham cię! — wyszeptał, przytulając ją ponownie.

— Wiem...

Pomogła mu rozłożyć kolację na talerze. Z ulgą przyjęła myśl, że nie będzie musiała dzisiaj gotować. Zasłużyła na trochę dodatkowego odpoczynku. Alan także. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Pragnęła, żeby to dochodzenie zakończyło się jak najszybciej. Modliła się o powodzenie jutrzejszej realizacji. Chciała w końcu odzyskać swojego męża, który od kilku miesięcy mentalnie nie opuszczał pracy.

— Jak poszło dzisiejsze spotkanie? — zapytała podczas posiłku.

— Dobrze. Mamy wszystko zaplanowane. Ruszamy jutro o dwudziestej. Dzisiaj potrzebuję już tylko towarzystwa swojej pięknej żony, spokojnego wieczoru i lampki soku porzeczkowego!

Ani tego wieczoru, ani tej nocy Berg nie zaznał spokoju. Wiedział, że jego zdenerwowanie zmartwi Ewę, starał się więc ukrywać obawy i udawał odprężonego. Znała jednak męża lepiej niż ktokolwiek inny. Sama spała lekkim snem. Przebudziła się, gdy zegarek wskazywał drugą. Zauważyła, że obok niej spoczywa pusta poduszka, założyła szlafrok i zeszła do kuchni. Alan siedział przy jadalnym stole, nachylony nad kubkiem herbaty. Poczul na sobie spojrzenie żony.

— Obudziłem cię?

— Nie. Sama mam ostatnio problemy ze snem... to chyba przez ciążę. — Usiadła obok i upiła łyk jego herbaty. — Martwisz się?

— Próbuję przemyśleć wszystko raz jeszcze. Czy niczego nie

przeoczyliśmy...

— Jak znam komisarza Berga, to niemożliwe, żeby coś przeoczył — odpowiedziała przekornie.

— Podjąłem decyzję, wiesz? Jak ta sprawa się zakończy, wezmę urlop. Zostanę w domu, aż mały skończy miesiąc.

— To będzie długi urlop.

— Potrzebujemy go. Ty i ja. Wiem, że od dłuższego czasu nas zaniedbuję. Ta praca... zabiera mi życie i zdrowie...

— Ta praca, to coś, do czego czujesz się powołany.

— Tak, ale jakim kosztem? Teraz chcę być z wami.

— Obiecaj mi, że jutro będziesz na siebie uważał...

— Nie martw się. Mam całą brygadę antków do pomocy. — Ewa przytaknęła i odpowiedziała:

— Ty też się nie martw. Masz całą brygadę antków do pomocy...

+

ROZDZIAŁ ÓSMY

POLOWANIE

Komisarz obudził się o siódmej rano. Gdyby był to dzień jak każdy inny, przysnąłby jeszcze na kilkadziesiąt minut. Jednak dzisiaj miało wydarzyć się coś wyjątkowego, na co czekał od wielu miesięcy, a nawet lat. Okazja upolowania Wilka, postawienia przed wymiarem sprawiedliwości człowieka, który przyłożył rękę do śmierci Maksymiliana Berga. Wstał po cichu, by nie obudzić Ewy. Ubrał się, wcisnął stopy w *asicsy*, a słuchawki do uszu, i wyszedł biegać. Zaczął wolno, rytmicznie, żeby ciało stopniowo się rozgrzało. Jednak rytm grającego w jego głowie rapu pomagał utrzymywać tempo. Gdy bit przyspieszył, również i Berg zwiększył tempo i trzymał je na przekór narastającemu zmęczeniu. Nagle, zza

zakrętu, który zamierzał pokonać, wyskoczył na niego ujadający pies. Zaskoczony atakiem komisarz odskoczył na bok. Jego serce ścisnął skurcz, spowodowany mimowolnym przestraczem. Zwierzę pociągnęło za sobą właściciela i mordą umieszczoną w masywnym, metalowym kagańcu uderzyło Berga w udo. Mężczyzna przeprosił, pociągając za smycz:

— On z reguły nie jest agresywny, ale wie pan, pies reaguje na ruch. Więc jak atakuje, to lepiej stać spokojnie... — Toteż komisarz stanął, czekając aż właściciel odzyska kontrolę nad przerośniętym pupilem. Kiedy się z nim oddalił, Berg nadal stał w miejscu, podpierając ręce o kolana i próbując złapać oddech. „Dobrze, że miał ten kaganiec...” — pomyślał.

Dotarł do Biura o dziewiątej. Młody już na niego czekał. Rozmawiał właśnie z podkomisarzem Niemczykiem i gdy dojrzeli Berga, przerwali dyskusję. Obaj zwrócili się w stronę komisarza.

— Mówiłem właśnie Karolowi, że zadzwonimy do niego, jak przechwycimy towar — wyjaśnił Młody.

— Powodzenia, Berg. Będę czekał na telefon.

Komisarz podziękował i usiadł za biurkiem.

— Coś nowego? — zapytał Młodego, kiedy Niemczyk opuścił pokój.

— Gdyby coś było, już byś o tym wiedział — zapewnił, odprowadzając podkomisarza wzrokiem. — Jest dość zaangażowany. Dopadł mnie, jak tylko wszedłem do Biura...

— Dziwisz się? Płacą mu ekstra za tę robotę. Upewnia się, że o nim nie zapomnimy.

— Ufasz mu z tym?

— Skąd takie pytania?

— Tak tylko... pytam.

— Jest gliną, potrafi liczyć, zna się na towarze — to wystarczające do tej roboty. Czy mu ufam? Nigdy nie dał mi powodu, żeby było inaczej. Wiem jedno. Jest pierwszym w kolejce po moje miejsce w Biurze. Ale nie ma w tym nic złego. Zostaw to, mamy wystarczająco spraw na dziś.

Do biura Berga zbliżał się właśnie dozorca Władek. Niósł ze sobą duże kartonowe pudełko. Spostrzegając policjantów, powiedział:

— Pan podkomisarz już w pracy? Myślałem, że zdążę z niespodzianką zanim pan przyjdzie!

— Z niespodzianką? — zapytał Młody, kiedy dozorca zaczął wyciągać z pudła kartki, nożyczki, linijki.

— Pan Władek nazywa to niespodzianką — wtrącił Berg — ja nazwałbym to naturalnym porządkiem spraw...

— Wczoraj komisarz poprosił mnie — zaczął wyjaśniać dozorca — żebyś umieścił pana podkomisarza na drzwiach. To znaczy — nazwisko. I właśnie po to

tu jestem. Przepraszam... — Wepchnął Młodego do środka pokoju. Przez zamknięte drzwi dodał z uśmiechem: — Wygląda na to, że został pan oficjalnie przyjęty do grupy!

Młody uśmiechnął się bezwiednie i spojrzał na Berga, który pochłonięty przez rozłożone na biurku papiery, wydawał się ignorować całą rzeczywistość.

— Dzięki za to — powiedział Młody.

— Co? A! Jasne.

— Nie, dzięki, serio — powtórzył głębszym głosem. — To dużo dla mnie znaczy. — Berg oderwał się na chwilę od papierów i spojrzał na partnera.

— Nie ma sprawy. Będziesz miał okazję się dzisiaj odwdzińczyć.

— Tak... — przytaknął pod nosem Młody.

Przez pięć kolejnych minut przyglądał się Bergowi, który ponownie zapomniał o otaczającym go świecie. Wiedział, że cokolwiek wydarzy się dziś wieczorem, nie będzie to idealny scenariusz dla żadnego z nich. Oszukiwał, i czuł, że wykorzystuje niewiedzę partnera. Dziś wszystko miało dobiec końca. Myśl o tym przynosiła mu zarówno ulgę, jak i pełno obaw. „Dziś to wszystko się skończy” — powtarzał w myślach.

Kiedy pan Włodek skończył przyklejać nazwisko Młodego na drzwiach, pojawił się Chaber, przynosząc złe wieści.

— Nie dostaniemy drona... — przekazał informację ostrożnie, jakby spodziewał się reakcji szefa.

— Jak to? — zaskoczony podjął Berg — Kto tak zarządził?!

— Podobno góra...

— Brocki?! — Chaber przytaknął.

Inspektor Brocki pełnił funkcję zastępcy komendanta CBŚP i do tej pory nie wykazywał zbyt dużego zaangażowania w dochodzenie dotyczące Wilka. Młody spuścił głowę, jedynie zezując na policjantów. Czuł, że decyzja Brockiego może mieć związek z jego własną agendą. Berg zerwał się z krzesła i wychodząc z pokoju, powiedział:

— Najpierw w dupie miał całe dochodzenie, a teraz chce mi realizację spieprzyć...

Wchodząc schodami na trzecie piętro, gdzie mieściło się biuro Brockiego, komisarz gotował się ze złości. Zanim zapukał do drzwi, wziął kilka głębokich oddechów. Inspektor spodziewał się tej wizyty, toteż przywitał go niemalże ignorancko, nawet nie podnosząc się z krzesła. Berg zapytał prosto z mostu: „Dlaczego nie dostaną drona?”. Brocki splótł dłonie na biurku i odparł:

— Czy ty wiesz, jak wyglądają statystyki tej sprawy?

— Statystyki?!

— Tak, Berg, statystyki. Dochodzenie przedłużałeś już cztery razy u prokuratora...

— Nie miał z tym problemu, bo dochodzenie jest rozwojowe.

Brocki parsknął śmiechem, po czym zapytał:

— Ilu przez ten rok aresztowałeś? — Komisarz założył ręce na piersi i zaczął liczyć w myśli. — Nie kłopotz się liczeniem... Czterech! Ile przeprowadziłeś realizacji? Dwie! Ile kosztowało Biuro wypłacenie odszkodowań związanych ze sprawą?

— Nie wiem...

— Dwadzieścia kafli. Ile wydaliśmy na dodatkowe sprzęty? Podśluchy, nowy wóz operacyjny, maserati pieeerdolone, które rozwaliliście... Nie wspomnę już o tej nieudanej transakcji z haaandlarzami! Ile?! — Na twarzy Brockiego pojawiły się pąsowe plamy, a wydłużanie sylab świadczyło, że skoczyło mu ciśnienie i walczył z nerwowym jękaniami.

— Nie wiem...

— Trzysta, kurwa, kafli! I teraz jeszcze drooona... Zapomnij Proca. Kran zamknięty!

— To przecież sam finał! Chce pan, żebyśmy tę sprawę zamknęli czy nie?

— Sam dron jej nie zamknie. Jeśli wszystko dobrze wypracowałeś, świetnie poradzicie sobie bez niego. Nie zmienię zdania, więc nie marnuj mojego czasu! I lepiej, żeby wszystko poszło dzisiaj jak w podręczniku! Chcę zobaczyć tego skurwysyna i jego gangusów za kratkami. Jak coś póóójdzie nie tak, to lepiej nie pokazuj mi się na oczy...

Komisarzowi brakowało słów na określenie zdenerwowania, w które wprowadził go Brocki. Jednak wcale nie musiał tego formułować. Każdy to po nim dobrze widział, toteż współpracownicy starali się schodzić mu z drogi. Przez godzinę wszyscy, włącznie z Młodym, siedzieli w pokoju grupy, kiedy Berg nagle do nich dołączył. Prosto z progu rzucił pytanie do Mazura:

— Ile kosztuje dron?

— Chaber zatkaj uszy — wypalił Impuls, wiedząc, że szykuje się działanie poza oficjalnymi kanałami. Kolega spojrzał na niego urażony, choć faktycznie, wolałby wyjść z pokoju. Mazur zastanowił się przez moment i odparł:

— Taki, co by się nam do akcji nadał, to ze dwadzieścia kafli będzie...

— No, to wiesz dalej, co robić — odparł Berg i opuścił pokój, a za nim, chwilę później, wyszedł też Mazur. Chaber westchnął i burknął: „Znowu...” pod nosem, na co siedzący cały czas w kącie Młody zapytał:

— Co się właśnie stało? Znowu...?

— Proca wyklada na sprzęt z własnej kieszeni — wyjaśnił mu Impuls.

— Tylko że nie mamy pozwolenia na użycie drona — dodał Chaber.

— Chuj z pozwoleniem. Zrobimy to tak, że nikt nawet nie zauważy, a zabezpieczenie będzie.

Młody przełknął ślinę. Zaczął się denerwować, bo obecność drona

komplikowała sytuację. On i jego pomocnik mogą zostać namierzeni i zidentyfikowani, jeśli Mazur nie spuści z nich oka kamery. Zadzwoił do Olafa, który od razu zarządził zneutralizowanie sprzętu.

— Zajmę się tym — zapewnił podkomisarz.

W tym samym czasie Mazur poczuł się jak w raju, odwiedzając sklep ze sprzętem detektywistycznym i modelarskim. Bywał tu od czasu do czasu, a wszystko, co kupował, było wpisywane na rachunek komisarza Berga, który później płatność regulował. Pół godziny później aspirant wrócił do Biura z opakowanym w papier pudłem. Zapukał tylko do pokoju „Szakala”, żeby zawołać kolegów, i wszedł ze sprzętem do biura Berga. Tam zasłonił żaluzje i gdy wszyscy byli już w środku, zerwał papier, ukazując pudełko ze zdjęciem drona na wierzchu.

— Panowie, oto Gałka! — zaanonsował.

— Nazwałś drona... — rzekł z dezaprobatą Chaber. W przeciwieństwie do niego, Impuls uśmiechał się od ucha do ucha i zaczął:

— Gałka...

— No, jak gałka oka — wyjaśnił Mazur.

— Albo kutas?

— Impuls, nie wyrażaj się, bo ją obrazisz... — szepnął aspirant, głaszcząc czule pudło. — Jest bardzo wrażliwa.

— Nauczysz się ją obsługiwać do wieczora? — zapytał Berg z za biurka.

— Oczywiście! Będziemy jak jedno ciało!

— Kontaktujemy się bezpośrednio przez radio, tylko jeśli coś pójdzie nie tak. Jeśli realizacja będzie przebiegać gładko, milczysz, jakby Gałki nie było.

— Jasne. Może być w powietrzu przez 30 minut, więc puszcę ją w lot, gdy się już gangusy zjawia.

Wszyscy, z wyjątkiem Młodego, poczuli się ciut lepiej ze świadomością, że będą mieli Gałkę w powietrzu. Miała być jak jeden, dodatkowy oficer, który widzi więcej od innych. Mazur zabrał ją ze sobą na otwartą przestrzeń, żeby potrenować sterowanie. Nie powinien mieć z tym jednak problemu, bo w kwestiach technicznych był ekspertem. Chaber i Impuls wrócili do siebie, a Młody, ku zaskoczeniu Berga, udał się na strzelnicę. Powiedział, że może i jego to odpręży. Prawda była taka, że kiedy strzelał, wyobrażał sobie cel posiadający kamerę i śmigła, który zawisł na niebie, by śledzić każdy jego ruch.

Policyjny garaż wypełniony był funkcjonariuszami i bronią. Cztery ciężarówki stały gotowe do wyjazdu. Młody rozejrzał się po otaczających go twarzach. Wśród nich rozpoznał jedną — ze zdjęcia, które otrzymał w kawiarni „Bukowski”. Zgodnie z wytycznymi nie zamienił z mężczyzną ani słowa. Spojrzeli na siebie jedynie w przelocie, z wyrazem niewypowiedzianej solidarności.

Oficerowie kończyli przygotowanie do wyjazdu. Wypełniali magazynki,

sprawdzali broń. Bezimienny współpracownik Młodego nasunął na twarz kominiarkę, zabrał jeden z rozłożonych na stole hełmów i ruszył do samochodu. Na stołach rozstawionych tu i tam po garażu jeszcze kilka minut temu leżało pełno hełmów, broni i amunicji. Teraz każdy z funkcjonariuszy dźwigał na sobie około 45 kilo wyposażenia, a stoły pozostały puste.

— Komisarzu, oddział jest gotowy do realizacji — oświadczył pułkownik Gęsiarz.

Dwudziestu uzbrojonych oficerów oddziału specjalnego czekało już w samochodach. Elita szturmowa. Każdy z nich znał swoje zadanie. Każdy z nich był doskonale przygotowany do akcji. Dowódca oddziału stanął pośrodku ciężarówek, dobrze widoczny dla wszystkich. Spojrzał na swoich chłopaków i powiedział:

— Jak tylko wozy podrzucą nas na miejsce, każdy oddział ma zająć swoje stanowisko i czekać. Może to zająć trochę czasu. Uzbrójcie się w cierpliwość. Wszyscy mają czekać na sygnał. Zakładamy, że będzie strzelane, więc uważajcie... Jesteśmy w kontakcie — zakończył pukając palcem w hełm, w którym umieszczona była łączność.

Pułkownik ruszył do jednej z ciężarówek, a Berg obróciwszy się ku Młodemu powiedział:

— Trzymaj swój oddział cierpliwie i czekaj na mój sygnał. Towar jest waszym priorytetem. O nic innego się nie martw. Wszystko jasne?

— Tak jest! Berg, cokolwiek będzie się tam działo, pamiętaj, że jestem z tobą...

— Uważaj na siebie. Powodzenia... Panowie, zwijamy się!

Ciężarówki wyruszyły z policyjnego garażu o ósmej trzydzieści. Mazur i Chaber pojechali wraz z nimi osobowym volvo v40, należącym do Chabra. Zgodnie z planem, znaleźli się na miejscu przed dziesiątą. Wszystkie grupy zajęły wskazane im wcześniej miejsca. Sprawdzone łączność. Gdy wozy oddaliły się na tyle, że nie było już słyhać warkotu silników, wokół zapanowała kompletna cisza i ciemność. Brygada antyterrorystyczna siedziała w pogotowiu. Przygotowane były noktowizory, broń krótka i maszynowa. Dwie pary snajperskie ustawiły swoje karabiny typu Bor w gotowości.

Pełny księżyc błyszczał nad polaną rozświetlając przestrzeń niczym reflektor. Młody siedział ze swoją grupą pod mostem. Co jakiś czas odzywały się głosy w jego hełmie: „Siedzicie?“, „Cierpliwości“, „Widzicie coś?“. Najczęściej jednak padającym wśród policjantów zdaniem było: „To czekanie mnie zabija“.

Grupa Berga miała najlepsze pole widzenia na drogę, z której spodziewano się przyjazdu gangu. Komisarz niemal bez przerwy trzymał przed oczami lornetkę na podczerwień.

Wybiła dwunasta, kiedy dojrzał na horyzoncie zbliżające się światła. „Jadą“

— oznajmił przez radio. Czarne mercedesy zbliżały się do placu.

— Bądźcie w pogotowiu. Czekajcie na sygnał — przypomniał Berg. „Tak jest” — padło z głośnika. Komisarz nie przestawał obserwować nadjeżdżających wozów. Z sekundy na sekundę widział je coraz wyraźniej. Najpierw tylko rozmyte światła, później pojedyncze reflektory, aż w końcu sylwetki aut. W tym samym czasie Mazur wypuścił drona w powietrze, zyskując szeroki i wyraźny ogląd sytuacji. Już na samym początku, dzięki przekazowi kamery, przekazał kiepską dla ekipy informację.

— Szeffie! — odezwał się przez radio. — Jedzie pięć wozów. Powtarzam, pięć!

— Panowie — przekazał dalej informację komisarz. — Chyba przywieźli ze sobą więcej ludzi...

Samochody zaparkowały jeden obok drugiego. Silniki pozostawały włączone, światła zapalone.

— Proca — zaczął pułkownik Gęsiarz — ilu ich jest? Widzisz coś?

— Nie widzę. Szyby są przyciemniane. Czekają na ciężarówkę. Czekaj. Wysiadło dwóch. Zbadają teren, będą stać na czatach... Młody, jeden idzie do was. Zdejmijcie go cichaczem. My zajmiemy się drugim.

— Tak jest — odpowiedział Młody. Oficer z jego ekipy ruszył w stronę zwiadowcy. Ukrył się za jednym z filarów, na których oparty był wiadukt. Zachowując zimną krew i spokojny oddech, zaszedł przestępcę od tyłu i ogłuszył go uderzeniem w kark. Podobny los spotkał drugiego zwiadowcę.

— Szykujcie się. Nadjeżdża ciężarówka — poinformował komisarz. Duży szary samochód z napisem „mięso i wędliny” na boku podjechał bliżej i zaparkował tyłem do wiaduktu. Nagle otworzyły się drzwi wszystkich mercedesów, a z nich wysiedli uzbrojeni mężczyźni.

Berg zabluznił i szybko skalkulował liczebność przeciwnika.

— Jest ich dwudziestu.

— Przyjąłem komisarzu — odpowiedział pułkownik.

— A Wilk? — zapytał Młody.

— Nie wiem. Ci wyglądają na ochronę.

Drzwi ciężarówki otworzyły się. Wyszedł z niej niski, siwy mężczyzna w skórzanej kurtce. Z rękoma uniesionymi ku górze, zbliżał się do mercedesów. Naprzeciw wyszedł mu jeden z uzbrojonych ochroniarzy.

— To on?

— Nie wiem, na razie siedźcie. Musimy mieć pewność.

Mężczyźni podeszli do siebie. Siwy opuścił ręce i z uśmiechem podał dłoń ochroniarzowi, który odwzajemnił gest. Klepnęli się przyjaźnie po ramieniu i ruszyli w stronę ciężarówki. Siwy otworzył tył i zaprosił ochroniarza do środka.

— Młody, straciłem kontakt wzrokowy, widzisz ich?

— Tak, są w ciężarówce. Wchodzimy?

— Nie! Co robią? Mów dokładnie!

— Rozmawiają. Środek wypełniony jest mięsem. Sprzedawca wyciąga paczkę towaru, pokazuje, gdzie ukrył resztę... Oddaje paczkę. Będą wychodzić.

Mężczyźni wyszli z ciężarówki. Ochroniarz, trzymając w rękach paczkę, stanął przodem do mercedesów. Drzwi jednego z nich otworzyły się. Z tylnego siedzenia wysiadł wysoki brunet. Nikt z policjantów go wcześniej nie widział, ale Berg wiedział, na kogo patrzy. Ostatnim razem spotkali się osobiście dwadzieścia lat temu, tuż przed śmiercią Maksyma. Później poznał tę samą twarz na rosyjskim liście gończym, twarz Rodiona — Wilka. Głowę nosił uniesioną wysoko, dumnie i pewnie. Jego bystre, błyszczące oczy spoglądały na wszystkich przeszywająco.

— Czekamy na sygnał, komisarzu — przypomniał pułkownik.

— Czekać. Jeśli będzie testował towar — mamy naszego człowieka.

Brunet bardzo wolnym krokiem zbliżył się do paczki. Ochroniarz wyciągnął z kieszeni nóż i podał go brunetowi. Ten wbił ostrze w wypchaną paczkę. Z niewielkiej dziury wydobyl palcem odrobinę białego proszku i włożył go do ust. Nie drgnął ani jeden mięsień jego twarzy. Spojrzał jedynie na ochroniarza i skinął głową. Ochroniarz uniósł do góry rękę i zakręcił nią dwa koła w powietrzu. Kiedy ochroniarze ruszyli w kierunku ciężarówki, a Wilk zawrócił, Berg spokojnym głosem oznajmił przez radio:

— Czekamy.

Nie spodziewał się, że w tym kluczowym momencie będzie w stanie zrezygnować z otwartej akcji. Jednak przeciwnik był liczniejszy i lepiej uzbrojony niż przewidywali. Podjęcie realizacji w takich okolicznościach równałoby się objawom szaleństwa. Nie mógł wziąć na siebie takiej odpowiedzialności. Przede wszystkim czuł bezsilność i złość, wiedział bowiem, że nie mają szans również w pościgu. Policyjne wozy zaparkowane były zbyt daleko, by dotarły na miejsce wystarczająco szybko; zresztą mercedesy są znacznie szybsze od ciężkich „lodówek”. Miał już połączyć się z Chabrem, by rozkazać im śledzenie Wilka tak długo, jak będzie to możliwe, gdy w powietrze wzbił się niespodziewany granat dymny. Ruch ryzykowny, o wiele bardziej zdeterminowany od planu komisarza. Tajemniczy współpracownik Młodego nie miał zamiaru przebierać w środkach. Akcja musiała się rozpocząć i skoro nie inicjował jej lider, wziął sprawy we własne ręce. Było już za późno, żeby się wycofać. Ich obecność została zdemaskowana. Wszystkie trzy ekipy policyjne wybiegły z ukrycia z okrzykami:

— Policja!

— Gleba!

— Rzuć broń!

Przestępcy nie wystraszyli się napaści. Otworzyli ogień we wszystkich kierunkach. Strzelali na oślep. A kule latały wokół jak rój rozjuszonych pszczół.

Cicha, grająca jedynie cykaniem świerszczy polana, rozbrzmiewała teraz krzykiem i wybuchami. Zaskoczeni silnym oporem policjanci rzucili się na ziemię. Niektórzy szybko znaleźli schronienie za pobliskim drzewem lub górą piasku.

Ekipa pułkownika była pierwszą, którą dojrzeliby przestępcy. Oficerowie zboczyli z linii strzału, szukając ukrycia za filarami wiaduktu.

Grupa prowadzona przez Młodego nie miała szansy w ogóle opuścić swojej bazy. Rozproszyli się jedynie wzdłuż wiaduktu i regularnymi strzałami odpowiadali na atak. Młody, choć zaskoczony obrotem spraw, zachowywał jasność umysłu. Wlepił wzrok w niebo i używając noktowizora wytropił latającego nad nimi drona. Wymierzył pewnie i wystrzelił pocisk, który jako przedłużenie jego woli, dosięgnął korpusu maszyny. Odnalazł wzrokiem swojego pomocnika, który unikając ostrzału, podbiegł do niego i powiedział:

— Już czas.

— Będę cię krył! — krzyknął Młody, przebijając się głosem przez falę pistoletowych wystrzałów.

Chaos, który rozpętał się wokoło, stał się idealną osłoną. Pomocnik biegiem ruszył w stronę ciężarówki. Zakradł się od tyłu pojazdu i wszedł do kabiny. Odpalił silnik i sekundę później ruszył z piskiem opon, zostawiając za sobą chmurę pyłu i piasku.

Berg nie spuszczał oka z Wilka, który na widok granatu dymnego, rzucił się biegiem w stronę samochodów. Grupa prowadzona przez komisarza znalazła schronienie za najbliższym mercedesem. Kiedy wszyscy zajęli się odpieraniem ataku, komisarz próbował zbliżyć się do bossa. Widział jak wszedł do jednego z aut. W tym momencie wybiegł z ukrycia i ruszył, by odciąć mu drogę. Wilk włączył wsteczny bieg i na oślep, dociskając pedał gazu do oporu, podjął ucieczkę. Berg rzucił się na ziemię, by uniknąć zderzenia z autem zaledwie o kilka centymetrów. Podniósł się w sekundę i wypuścił serię strzałów w kierunku uciekającego wozu. Żadna z kul nie dosięgła celu. Wyciągnął radio i krzyknął do mikrofonu:

— Podejrzany ucieka na południowy zachód, widzicie go?

— Nie szefie, straciliśmy Gałkę...

— To na ślepo! Do wszystkich wozów, podejrzany ucieka na południowy zachód! Jedźcie za nim!

Kierowcy wypatrzyli uciekiniera we wskazanym kierunku. Policyjne ciężarówki nie nadawały się do pościgu za mercedesem, mogłyby jedynie śledzić go przez krótki czas. Najwięcej szans na pogoń miał Chaber w swoim volvo. To wszystko było jednak bez znaczenia, bo kiedy każdy z nich próbował odpalić samochód, wszystkie reagowały tylko przeciągłym rzęchem.

— Co jest, cholera?! — wściekł się Chaberski. Podobnie jak reszta kierowców, po dłuższej chwili odkrył, że rura wydechowa zatkana została szmatą.

Na pogoń było już za późno. Wilk zniknął z pola widzenia.

W końcu strzały ustały i rozpoczęły się aresztowania. Dym osłonowy całkiem już opadł.

— Kurwa mać! — krzyknął Proca dowiedziawszy się o niemożliwym pościgu i straconej ciężarówce z towarem. Uderzył pięścią w najbliższy samochód, tworząc w nim niewielkie wgniecenie. Młody truchtem zbliżył się do partnera.

— Berg!

— Miałeś kurwa tylko jedno pierdolone zadanie! Zabezpieczyć cholerny towar! Czy to było tak, kurwa, trudne?!

Komisarz chodził w kółko, rozglądając się nerwowo po polu bitwy.

— Komisarzu — podszedł do nich pułkownik Gęsiarz, ściągając z głowy hełm — mamy trzech zabitych...

— Nasi?

— Jeden nasz...

Dojrzał grupę policjantów nachylających się nad ciałem kolegi. Złapał się się za głowę, ze łzami złości w oczach. Wszedł między rozproszonych policjantów, którzy kontynuowali aresztowania. Zatrzymał się obok jednej grupy stojącej nad ciałem. Dostrzegł twarz chłopaka. Choć była czarna od kurzu, rozpoznał w nim kolegę młodego Roberta, którego przegonił kilka dni temu w parku. Przykucnął nad zwłokami chłopca.

— Wysłał na nas gówniarzy. Skurwiel dał dzieciakom broń... — Wstał, wydając z kieszeni radio. Wtedy ponownie podszedł do niego Młody.

— Berg, musimy...

— Młody... — przerwał mu podnosząc nań palec — odpierdol się teraz! — Przełączył kanał w radiu i powiedział do mikrofonu: — Wóz! Akcja skończona. Samochody już na chodzie?

— Tak, już ogarnięte.

— Możecie podjechać. Potrzebne będą dodatkowe dwie ciężarówki...

— Zrozumiałem.

Dwa wozy, wypełnione policjantami i aresztowanymi, wracały już do bazy. Reszta czekała na przyjazd dodatkowego transportu. Nie spodziewali się takiej ilości zatrzymanych. Nie spodziewali się trzech ciał. Tej nocy wydarzyło się wiele zaskakujących rzeczy. Pułkownik Gęsiarz, stojący nieco na boku, przywołał do siebie komisarza. Będąc już kilka metrów od niego Berg domyślił się, o co chodzi. Pod stopami oficera leżał zestrzelony dron.

— Popatrz, kurwa... — zaczął pułkownik — tak są teraz do przodu. Ze sprzętem przygotowani lepiej niż my.

— No tak — przytaknął komisarz i zawołał Mazura przez radio. Kiedy nadszedł, Berg odezwał się doń pierwszy:

— Weź to załaduj jako dowód. Gangusy się sprzętem obkupili...

— Się robi, szefie. — Zaczął podnosić z ziemi połamanego drona.

— Wiemy już, kto wyrzucił w powietrze ten cholerny granat? — podjął Proca temat, który najbardziej ich dezorientował. Pułkownik spuścił głowę, oznajmił, że „jeszcze nie”, po czym oddalił się.

— Co się stało, Mazur?

Młodszy aspirant przyglądał się dokładnie zniszczonemu dronowi.

— Nagle straciliśmy połączenie. Wygląda na to, że ktoś go zestrzelił.

— Skąd wiedzieliby, że krąży dron? Przecież jest ciemno...

— Nie wiem, szefie. Nie mogli go też usłyszeć, bo zbliżyliśmy się nim, jak już było strzelane... A jakim cudem podeszli do pięciu policyjnych samochodów, żeby zatkać wydechy? — Berg nie miał pojęcia. Po chwili milczenia rozkazał:

— Zobacz, czy wyciągniesz z tego jakiś zapis.

Mazur oddalił się z dronem, zostawiając Procę samego. Coś było nie tak. Najgorsza z możliwych myśli przebrnęła mu przez głowę — mogą mieć kreta między sobą. Odrzucił od siebie to podejrzenie i pogodził się z mniemaniem, że tym razem Wilk go przechytrył. Na całej linii. Młody obserwował partnera w milczeniu. Miał wrażenie, że gdyby wypowiedział do niego choć jedno słowo, naraziłby się na śmierć.

Doczekali się przyjazdu dodatkowych ciężarówek. Załadowali do nich resztę zatrzymanych i ruszyli do bazy. Berg ledwo mógł usiedzieć na miejscu. Przez całą drogę wiercił się nerwowo, a jego twarz zdawała się postarzyć o kilka lat. Po dłuższej chwili pochylił się i schował głowę w dłonie. W tej pozycji dojechał do końca drogi. Gdy wóz zaparkował, nie czekając na nikogo i z nikim nie rozmawiając, zdjął z siebie wyposażenie, po czym wyszedł z policyjnego garażu i przeszedł na parking, z którego odjechał chwilę później.

Młody udał się prosto do Biura. Był sam na piętrze. Na korytarzach światło pozostawało zgaszone. Jedyne za drzwiami oznaczonymi nazwiskami Berg i Sikorski paliło się światło. Uruchomił komputer, utworzył dokument tekstowy i wystukał pierwsze słowo: „Raport”. Odsunął ręce od klawiatury i zdał sobie sprawę, że absolutnie nie wie, od czego zacząć.

Komisarz Alan Berg poniósł tej nocy ogromną porażkę. Cały rok pracy nad sprawą Wilka sprowadzał się właśnie do tej nocy. Nocy wielkiej szansy. Zmarnowanej. Nie mógł wrócić do domu, był za bardzo rozjechany emocjonalnie i nie chciał, żeby odbiło się to na Ewie. Przejechał przez miasto, wjechał na autostradę i kontynuował podróż, dopóki nie poczuł, że jest w stanie spokojnie ocenić sytuację. Dzisiaj przegrał wszystko, ale polowanie jeszcze się nie skończyło i nie skończy, dopóki nie wsadzi Wilka za kraty. Prędzej zginie na posterunku, niż da za wygraną!

Tej nocy aresztowali dwanaście osób. Przesłuchania trochę zajmą, ale to idealne miejsce, od którego można wznowić tropienie. Co poszło dzisiaj nie tak?

Przecież okazja była idealna, wydawała się niepowtarzalna. Kto dzisiaj zawinił? Tylko Berg. Tylko on sam. Dowodził misją i coś przeoczył. Wilk przygotowany był lepiej niż się spodziewał, ale z drugiej strony oddział specjalny powinien przecież sobie poradzić. Za bardzo się rozproszyli. Ostrzał był mocny. Stracili towar. Czy Młody za to odpowiada? Częściowo. Ale jego pierwszorzędnym zadaniem było chronienie własnego życia i życia kolegów, następnie przejęcie towaru. To była jego pierwsza podobna akcja, nie był na nią przygotowany i Proca obarczył go zbyt dużą odpowiedzialnością.

On sam — chybił! Jak mógł chybić?! Akurat tej nocy... Tak niewiele brakowało, a byłoby po wszystkim! Za bardzo pragnął, za mocno się zaangażował. Zamiast myśleć jedynie o trafieniu w cel, myślał kto był tem celem. Musi podejść Wilka inaczej. Od tyłu, po cichu. Bez oddziału, bez strzelaniny. Przecież pies w kagańcu nie ugryzie! Nieważne, jak bardzo się zbliży — nie ugryzie. Zdał sobie sprawę, że jeżeli chce złapać przeciwnika, będzie musiał zmienić taktykę. Nie wiedział tylko jak... Musi ściągnąć ten kaganiec, nagiąć reguły gry.

W tym samym czasie Młody próbował dokończyć pierwszy paragraf raportu. Patrzył na zapisane już słowa, które nijak nie oddawały treści tego, co wydarzyło się podczas akcji. Nikt, kto przeczyta raport, nie będzie wiedział, co czuli, czekając na przyjazd gangu. Nikt nie zrozumie strachu, który opanował Młodego, gdy tamci oddali pierwsze strzały. Nikt nie zda sobie sprawy z tego, co stało się później. Wstał sfrustrowany od biurka i z rękoma w kieszeni podszedł do okna. Czarne powietrze otulało śpiące miasto. Gdzieś przejechał samochód, przecinając smugą światła smolistą noc. Podkomisarz poczuł między palcami niewielki przedmiot. Wyjął go z kieszeni. Otrzymana od Berga łuska błyszczała złotym światłem. Młody obrócił ją, studiując uważnie każdy jej milimetr. Zdradził, wykorzystał zaufanie i choć próbował sobie wytłumaczyć, że tak musiało być, że prawo sumienia nie jest teraz najważniejsze, czuł się przygnębiony i zawiedziony. Zadzwoił jego telefon. Głos po drugiej stronie słuchawki powiedział:

— Świetna robota! Dobrze, że towar trafił do nas. Jeszcze kilka dni i będzie po sprawie.

+

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

LINIA DEMARKACYJNA

Komisarz spał tej nocy tylko kilka godzin. Wstał o szóstej rano i od razu wyszedł na godzinny jogging. W pracy pojawił się punktualnie o dziewiątej. Zaskoczony odkrył, że Młody siedział już w biurze, ubrany w to samo, co poprzedniego dnia. Dokańczył właśnie ostatni paragraf raportu.

— Nie byłeś w domu? — zaczął Berg spokojnym tonem, co przyniosło Młodemu ulgę po wczorajszej konfrontacji. Chociaż chyba wolałby otrzymać od niego cios w twarz i zostać z miejsca zwolnionym z pracy. Teraz musiał tu jeszcze tkwić i udawać przyjaciela.

— Nie byłem. Chciałem dokończyć raport...

— Jedź do domu, Młody. W takim stanie na niewiele się przydasz. Prześpij się i wróć o drugiej.

Podkomisarz nie chciał wchodzić z Bergiem w debatę i z przyjemnością przyjął myśl o prysznicu i drzemce. Wydrukował jeszcze raport i złożył przed komisarzem na biurku.

— Wiem, że to nic nie znaczy, ale przepraszam za wczoraj. Nawaliłem.

— Nie poszło idealnie — odparł z sarkazmem — ale jeśli ktokolwiek za to odpowiada, to tylko ja.

Komisarz dostrzegł przez szybę, oddzielającą pokój od sali głównej, zbliżającego się do nich inspektora Tyszkę.

— Ojciec idzie, lepiej się zawijaj.

— Zostanę, jeśli chcesz.

— Zmiataj powiedziałem. O czternastej z powrotem.

Tyszka minął Młodego obojętnie i wparował do pokoju Berga, zamykając za

sobą drzwi z trzaskiem. Podkomisarz widział, jak jego partner siedzi pokornie na swoim miejscu, wysłuchując cierpliwie wszystkich słów wypowiedzianych jakby stłumionym krzykiem przez Tyszkę. Nie chciałby być teraz w skórze komisarza, lecz pomyślał, że może kiedyś będzie. Może kiedyś przyjdzie mu przewodzić i brać odpowiedzialność za niedopatrzania oraz błędy innych.

Zgodnie z zaleceniem, wrócił rowerem do domu. Wyjadł resztki z lodówki i wycieńczony rzucił się na łóżko. Kiedy się przebudził, była dwunasta. Poszedł do odtwarzacza CD i puścił jedną z płyt. Z głośników popłynęły rytmiczne dźwięki i słowa pierwszej piosenki *I shot the sheriff*. Wszedł pod prysznic i pomyślał: „Olaf kazał mi skupić się na zgarnięciu towaru. Tak zrobiłem. A teraz chuj! Niech on się martwi o resztę! Odwaliłem swoją część roboty. Z moją opinią i tak niewiele się liczy... Skoro teraz mam jeszcze czekać na rozwiązanie i nadal prowadzić ten teatr, niech będzie, ale zrobię to po swoim. Przynajmniej przydam się na coś Bergowi i pomogę mu wytropić tego skurwysyna. Przynajmniej taka rekompensata...”

Zaparzył sobie mocną kawę i przed czternastą był już w Biurze. Nigdzie nie widział Berga, więc zapukał do pokoju obok. Chłopaki z „Szakala” zostali oddelegowani do ustalenia tożsamości zatrzymanych i wyciągnięcia wszystkich dostępnych o nich danych, tonęli więc z papierach i zdjęciach.

— Gdzie Proca? — zapytał Młody z progu.

— W prochowni — odparł Chaber. — Od rana objeżdżał rodziny tych zabitych. Paskudna robota... To teraz poszedł się wyżyć.

Podkomisarz postanowił nie przeszkadzać Bergowi w tej chwili i przysiadł się do chłopaków, po czym zaczął wertować stos wydrukowanych przez nich kartotek. Pół godziny później komisarz wrócił ze strzelnicy i choć skinął do Młodego na powitanie, nie zawołał go do siebie. Policjant zawahał się, czy powinien zostać z chłopakami, czy dołączyć do partnera.

— Nie jest na ciebie zły — wyjaśnił Chaber, dostrzegając zmieszany wyraz twarzy Młodego. — W każdym razie tego nie okazuje. Robił ci plecy przed Tyszką...

— Niepotrzebnie.

— Taki już jest, za swoich da się pokroić — dodał Mazur, nie odrywając wzroku od monitora. Przeglądał zapis, który udało mu się odzyskać z drona.

— Mimo że gbur — przypomniał Impuls, na co Chaber prawie podniósł się z krzesła.

— Przymknij twarz! Gdyby nie gbur, już dawno robiłbyś w drogówce.

— Przecież wiem! Wyluzuj, Chaber... wiesz, że to tylko żarty.

— Kiepski moment na żarty... No idź, Młody, i nie przeszkadzaj, jak dorośli pracują. Musimy to szybko skończyć i jedziemy na przesłuchania... Możesz mu to zabrać — oświadczył i podał plik skondensowanych informacji o zatrzymanych.

— I powiedz mu — wtrącił Mazur — że z tego zapisu Gałki, to nic ważnego

nie wynika. Nawet tego gnoja, co ją zabił, nie widać... Szkoda drona, przydałby się jeszcze.

— No, przydałby się — dodał Impuls — żeby Brockiemu w dupę nim wlecieć za utrudnianie nam realizacji!

Młody przyjął wiadomość o bezużytecznym zapisie z poczuciem ulgi. Komisarz przywitał go oschle i podziękował za plik dokumentów. Usłyszawszy wiadomość od Mazura, pokręcił jedynie głową z dezaprobatą, jakby nie mogło wydarzyć się już nic, co pogorszyłoby sytuację.

— Spałeś trochę? Widzisz, jesteś teraz jak nowy. Możemy zaczynać od początku. Dobry ten twój raport.

— Dzięki... I dziękuję, że wsparłeś mnie przed Tyszką.

— Nie wsparłem. Mówiłem, jak było. Spieprzyłem i koniec. Przed nami dużo roboty, więc weźmy się za tych skurwysynów...

Berg zanurzył się w otrzymanych przed chwilą papierach. Większość z zatrzymanych była chłopakami między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia. Karani za drobne wykroczenia. Kradzieże, zastraszenia, pobicia. Kilku z nich wymuszało haracze lub kradło samochody. Przesłuchania kilku z nich zaczęły się już dzisiaj, jednak Berg wstrzymywał się z tym do jutra. Chciał się do nich lepiej przygotować, wiedzieć, z kim rozmawia. Nie znał tych chłopaków. O większości słyszał po raz pierwszy. Byli to ludzie zwerbowani na chama, nagle, bez zbędnych pytań i zbyt wielu informacji. Opłaceni i zaopatrzeni. Mięso armatnie, jak to określił komisarz. Wśród nich znalazło się tylko kilku członków gangu, wielkich, dobrze strzelających ochroniarzy, którzy niewiele mieli wspólnego z samym handlem. Wizja wczorajszej porażki wróciła do komisarza. Co poszło nie tak? Podparł głowę ręką i wlepił wzrok w kartki. Nie czytał ich już. Odplynął myślami. Jakim cudem nie trafił w oponę?! Zaczął nerwowo uderzać długopisem o blat biurka. Jakim cudem pozwolił mu uciec?! Nagłym ruchem odrzucił długopis, który odbił się od komputerowego monitora. Oddychając ciężko, podszedł do okna i oparłszy się o parapet, wlepił czoło w szybę. W tej pozycji zastał go Chaber, który wszedł do pokoju. Berg się nie poruszył, więc aspirant spojrział na siedzącego przy biurku Młodego. Ten zapytał:

— Co jest, Chaber?

— Dostaliśmy telefon z komendy... — zaczął, cały czas spoglądając na Berga, który tkwił jak zamrożony. Młody zdał sobie sprawę, że Chaber, zaskoczony postawą szefa, sam traci pewność siebie. Podniósł się więc z krzesła i z rękami w kieszeni, stanął na przeciw aspiranta, żeby skupić na sobie jego nie mającą punktu zaczepienia uwagę.

— I co mówili?

— Zatrzymali jakiegoś gościa, który handlował koksem na Polach Mokotowskich. Milczy jak zakłęty, ale...

— Weź Impulsa i jedźcie. Jeśli to gość od Wilka, trzeba go przycisnąć, jak nie, niech komenda się z nim buja.

— Dobra. — Chaber wyszedł, obdarowując plecy komisarza ostatnim spojrzeniem. Młody przekręcił kołek żaluzji, oddzielając pokój od głównej sali, po czym podszedł do Berga. Otworzył obok niego skrzydło okna i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Zapalił jednego, a resztę położył na parapecie. Zdawał sobie sprawę z tego, że to on sam, poniekąd, wpędził komisarza w stan, w którym się teraz znajduje. W interesie wszystkich leżało, żeby Berg pociągnął swoje dochodzenie do końca i Młody szczerze chciał mu w tym pomóc.

— To nie będzie dla chłopaków zbyt motywujące, jak zobaczą, że szef się poddaje...

— Skończyły mi się pomysły.

— E tam! To tylko kwestia czasu, jak pojawi się kolejna okazja. Trzeba cierpliwie czekać...

— I ty to mówisz? — zapytał, w końcu odklejając głowę od szyby. Sięgnął po papierosa. Był to jego pierwszy od kilku lat.

— Uczę się od najlepszych... Wracając do sprawy: musimy po prostu zacząć od początku. Odpowiedzieć sobie na kilka podstawowych pytań. Prawdopodobnie będzie to po raz setny dla ciebie, ale to nie szkodzi... Wilk. Jaki on jest? Co go motywuje? Dlaczego handluje? Może miał spaprane dzieciństwo albo nad wyraz wymagającego ojca, przez co całe życie próbuje udowodnić ojcu czy sobie, że stać go na wiele, że teraz to on może wymagać od innych, że to inni go słuchają i się go boją. Przecież ilu on ludzi tam zgromadził?! Wszystkim płaci. I musi płacić im naprawdę dobrze! Choć pewnie interesy idą znacznie gorzej, od kiedy dopalacze są w obiegu. Pewnie ściągają też haracze. Może niektórzy są przy nim od tak, dla jakiegoś gangsterskiego prestiżu, chęci przynależności. Ale głównie musi chodzić o pieniądze. Zawsze chodzi. Dla niego pewnie też, choć to nie jedyna jego motywacja. Myśli, że ma misję, że oczyszcza świat ze słabych jednostek. Wysługuje się innymi, a sam cały czas się ukrywa. Gdzie? I jakim cudem tak dobrze? Muszą mieć jakąś główną siedzibę. Pomijając schowki, których, co wiemy od Mario, są trzy. Na pewno wie, że zawsze depczemy mu po piętach. Tylko skąd? Może mieć przecież wtyki w policji. Przyjrzałeś się kiedyś takiej możliwości? Trzeba by to zrobić. Pogadać z inspektorem... ale też z patrolami, zazwyczaj ci na dole wiedzą zaskakująco dużo. Tylko komu zaufać, żeby to nie wyszło...

Kiedy Młody kontynuował monolog, Berg usiadł na parapecie, wlepiając wzrok w podłogę. Poruszał jedynie stopą w bardzo rytmiczny sposób, jakby właśnie słuchał muzyki. Słuchał jednak wyłącznie własnych myśli i od czasu do czasu wyłapywał jakieś znaczące słowo z trajkotu partnera. Z myślowej hipnozy wyrwał go sygnał telefonu. Wyjął go z kieszeni, uniósł nieznacznie i beznamietnie przeczytał wiadomość: *dziesiąta. hydrauliczny przy słupeckiej*. Odłożył komórkę

i powrócił do palenia oraz wymachiwania rytmu stopą. Tymczasem Młody ani na chwilę nie wypłynął ze swojego strumienia świadomości.

— Dobrze byłoby mieć tam kogoś w środku. Jakiegoś przykrywkwowca. Może już ktoś jest i nawet o tym nie wiemy. Możliwe, żeby Tyszka ci o tym nie powiedział? Tacy ludzie są przecież dobrze chronieni. Jeśli nikogo nie ma, to może warto byłoby tam kogoś wprowadzić. Tyko teraz może już być na to za późno. To zajmuje tyle czasu... Wilk wie, że jesteśmy blisko. Tak blisko! Nie zaufa nikomu nowemu... Już prawie go mieliśmy! Pewnie sam się zastanawia, gdzie popełnił błąd, i bije się za to w piersi albo bije — wkurwiony — swoich ziomków, że tego nie dopatrzyli. Pewnie wkurwił się na maksa! A co się robi, jak się tak wkurwi? Czasami popełnia się błędy. Ale on nie tylko jest wkurwiony. Boi się też, bo już prawie go mieliśmy. Albo zachowa zimną krew i będzie siedział w jakiejś dziupli, z której nie wyściubi nosa przez kilka miesięcy, albo weźmie dupę w troki i najszybciej jak to możliwe, wypierdoli stąd i sajonara. Tyle żeśmy go widzieli... Trzeba rozesłać portret pamięciowy po lotniskach, postawić straż przy granicach, zamknąć dla niego wszelkie drogi ucieczki. Może spierdalać najwyżej pod ziemię i może to dla niego najlepsze miejsce. Wiem, że było ciemno, ale ktoś go chyba trochę wczoraj widział. I ty go znałeś! Więc zrobmy taki portret, artysta go postarzy i będzie... Berg?

Młody dopiero teraz zdał sobie sprawę z mało zaangażowanej postawy komisarza, który nawet nie uraczył go spojrzeniem. Nachylając się w jego stronę, dodał:

— Może podzielisz się ze mną tym, cokolwiek dzieje się teraz w twojej głowie?

Komisarz spojrzał na niego w milczeniu, jakby powoli wychodząc z transu. Westchnął ciężko i po chwili spokojnie odparł:

— Miałem kiedyś kolegę, Janka Chabielskiego. Pracował jako wtyka i wkręcił się w kartel narkotykowy w Warszawie.

— Czyli jednak trochę mnie słuchałeś...

— Bardzo niewiele... Janek zaczął jako najniższy z możliwych elementów półświatka, ale umiał zdobywać zaufanie. Wspinał się i bardzo dobrze mu szło. Byłem naprawdę pod wrażeniem! Wszyscy byli. Dostarczył nam mnóstwo, mnóstwo informacji! Ale to wszystko trwało bardzo długo...

— I co dalej? Siedzi tam jeszcze?

— I tak, i nie. Siedział pięć lat...

— Pięć?!

— I miał już dość. A góra nalegała, żeby czekał. I nie wchodzili, chcieli, żeby dotarł na samą górę piramidy, chcieli wiedzieć, kto trzyma te wszystkie smycze... Ale dla Janka to było już za dużo, za długo, postawił więc ultimatum, że albo policja przerywa akcję i rozwała siatkę taką, jaka jest, albo on wychodzi

sam...

— Weszli?

— Zwolnili go. Dyscyplinarnie...

— Że co?!

— Nikt mu w niczym nie pomógł, nie przerwano akcji. Nie mógł tak po prostu zniknąć albo oznajmić gangowi, że wychodzi z interesu. To przecież tak nie działa... Ale że pracował dla nich długo i wpływowi ludzie mu ufali, pozwolili mu na częściowe przecięcie sznurków. Tak, żeby zniknął z pola widzenia i nie mieszał się w bardziej ryzykowne interesy. Otworzył więc z dziewczyną kawiarnię przy Mińskiej na Pradze i chociaż nikt mu nigdy nic nie udowodnił, to oczywiste, że robi za ladą brudne interesy.

— Więc jakby zmienił front. Był nasz. Stał się ich. Skusiła go ciemna strona mocy?

— Raczej brak wyboru.

Berg wstał i wyrzucił peta do śmieci. Schował telefon do kieszeni, upewnił się, że w drugiej ma kluczyki do samochodu.

— To jedziemy go odwiedzić? — zapytał Młody, wyrzucając niedopałek przez okno.

— Ty nie. To nie miałyby sensu, on teraz nie przepada za policją. I nie dziwię mu się. Zresztą... popracuj jeszcze nad swoimi teoriami. Niektóre musisz dopracować... — doszedł do drzwi, ale zawrócił. — I daj znać, co z tym handlarzem z Mokotowskich. — Złapał za klamkę i zawrócił ponownie. — I powiedz Chabrowi, że już mi lepiej... I nie wyrzucaj petów na podjazd, załatw sobie popielniczkę.

Wyszedł, zostawiając Młodego za sobą.

Nie liczył na wiele, nie liczył w sumie na nic jadąc do Janka, ale czuł, po raz pierwszy od dłuższego czasu, że kończą mu się pomysły i środki. Przycisnął mocniej pedał gazu, przejeżdżając mostem na Pragę.

Wnętrze sali tonęło w świetle zachodzącego słońca. Właściciel kawiarni z niedowierzaniem zerkał na zegarek, że jest już dwudziesta. Wywiesił na drzwiach tabliczkę z napisem „Zamknięte. Rano obudzimy was najlepszą kawą w mieście!” i zaczął porządkować salę. Jego żona — Maria (podobnie jak inni przyjaciele i bliscy, zdrobniale nazywał ją Mary), krzątała się po zapleczu, zmywając naczynia. Byli ze sobą od tak dawna, że nawet nie pamiętał, jak wyglądało jego życie przed Mary. Pewnie nieciekawie, pusto i próżno. Kochał ją nad wszystko na świecie, więc kiedy dowiedział się, że szef wymyślił dla niego zadanie specjalne — wkręcenie się w najniebezpieczniejszy gang narkotykowy w mieście, był gotowy, z godnością, przyjął jej decyzję o odejściu. Gdy stanowczo oświadczyła, że nigdzie się nie wybiera i że przejdzie z nim przez ten trudny okres, pokochał ją jeszcze

mocniej. Mary oczywiście nie spodziewała się, że ten „okres” zajmie pięć lat, a i po nim ich życie nie wróci do normalności (tu i tam zawsze kręciły się podejrzone osobistości), lecz, nawet mimo tego, nigdy nie robiła mu wyrzutów. Kochała go takim, jakim był, choć on uważał, że za bardzo kocha w nim to, czego było coraz mniej.

Janek przecierał wilgotną ścierką oparcie każdego z krzeseł i obracając je do góry nogami, układał delikatnie na stolikach. Tuż przed wejściem do kawiarni zaparkował czarny taurus. Na widok twarzy mężczyzny, który z niego wysiadł, w głowie Janka momentalnie rozpętała się burza, a serce przyspieszyło tętno. Był jednak w pewnym sensie urodzonym aktorem, co nie znalazło ujścia ani na scenie, ani przed kamerami, ale podczas operacji policyjnych nieraz uratowało mu życie.

Ostatni raz rozmawiali ze sobą trzy lata temu. Tuż po rozsypaniu się operacji „Czerwony Drozd”. Tuż po tym, jak zwolniono go ze służby. Berg został wtedy wydelegowany do obserwowania Janka. Wyraźnie ani jednemu, ani drugiemu nie było to na rękę. Znali się jeszcze ze szkoły policyjnej. Kiedy nagle znaleźli się po przeciwnych stronach barykady, świat wydawał się stanąć na głowie. Nie było wiadomo, kto jest wrogiem, a kto sprzymierzeńcem. I do tej pory ciężko było to ocenić. Do komisarza żywił ogólną nieufność, nic osobistego — był gliną i to czyniło go „tym innym”. Janka stosunek do niego ocieplił się nieznacznie po miesiącu obserwowania. Warto dodać, że dość nieukrywanego — Berg ocenił bowiem, że nie ma sensu pajacować obserwowaniem z ukrycia kogoś, kto większość zawodowego życia sam ukrywa się i obserwuje. Zresztą jeśli Janek miałby zrobić coś nielegalnego, z pewnością nie wydarzyłoby się to podczas zmiany komisarza: zakładał, że obserwujący również może być obserwowany. Tak więc po miesiącu prowadzenia działań operacyjnych Berg stanął z Jankiem oko w oko i oznajmił, że zamierza skończyć ze śledzeniem go i przekaże górze, żeby zostawili go w spokoju. Dodał jeszcze, że gdyby Janek czegoś potrzebował, czegokolwiek, niech nie waha się odezwać. Janek dokładnie pamiętał, co mu wtedy na to odpowiedział: „Pierdol się, ty i ten cały cyrk, dla którego pracujesz...”. Berg przytaknął i odszedł w milczeniu, a Janek, chwilę później, żałował swoich słów. Czuł, że prawdopodobnie zamknął sobie nimi drzwi do ostatniego, przychylnego mu bastionu w obozie policji.

Były oficer kontynuował sprzątanie i nawet nie spojrzał na komisarza, kiedy ten wszedł do środka. Powiedział jedynie pod nosem, lecz wystarczająco głośno, żeby być słyszonym:

— Już zamknięte. Niech pan spróbuje szczęścia innym razem.

Berg zastanowił się przez ułamek sekundy, czy to aby nie jakiś rodzaj szyfru, czy Janek nie próbuje się go pozbyć, bo za chwilę, z zaplecza, wypadnie na niego uzbrojony gangster. Lecz spokój w jego zachowaniu i całkowity brak kontaktu wzrokowego świadczyły raczej o chęci wyproszenia go z czystej awersji.

— Nie dam się wyprosić tak łatwo, jak moi koledzy...

— Zawsze byłeś uparty. A oni i tak nigdy nie dali mi spokoju...

Berg ponownie przypomniał sobie wszystko, co spotkało Janka, i poczuł ogromne współczucie. Ulżyło mu znacznie na widok dobrze utrzymanego lokalu i tego, że mimo przejść i zmiany branży, jego były kolega zachował zdrowy, atletyczny nawet wygląd. Wszystko wskazywało na to, że radzi sobie nie najgorzej i być może, pomyślał komisarz, złagodziło to jego postawę wobec policji. Nie chciał go podchodzić. Błefowanie nie było nawet w jego stylu. Postanowił przejść szybko do rzeczy i wyłożyć karty na stół.

— Wiem, że nie całkiem skończyłeś interesy z gangiem...

— Wiesz? To pewnie wiesz też, że nie gadam z psami.

To stwierdzenie, w ustach byłego „psa”, wydało się komisarzowi bardzo drażniące. Nie dlatego, że użył tego określenia. „Pies” w środowisku policyjnym było nazwą ogólnie przyjętą, a nawet nobilitującą, bowiem na rangę „psa” trzeba było sobie zapracować. To sposób, w jaki wypowiedział to słowo zbił Berga z tropu. Grymas na twarzy; jakby brzydził się tym określeniem, jakby chciał je przeżuć i wypluć na podłogę. Najwyraźniej stosunek Janka do przeszłego zawodu i byłych kolegów do tej pory nie uległ zmianie.

W drzwiach zaplecza pojawiła się Maria. Przystanęła nagle, jakby wryta w ziemię, gdy zobaczyła z kim rozmawia jej mąż.

— Cześć, Mary — przywitał ją Berg, uśmiechając się subtelnie.

— Cześć — odparła, posyłając mu jeszcze delikatniejszy, niemal niedostrzegalny uśmiech. Podeszła do kasy i zajęła się rachunkami. Coś pisała, wybijała na kasie i co chwila zerkała ukradkiem w kierunku rozmówców. Nie zamierzała zostawić ich samych. O, nie... Była za bardzo ciekawa, o co chodzi tym razem. Zresztą i tak Janek mówił jej o wszystkim.

Berg zwrócił się do Janka ściszym głosem:

— Potrzebuję tylko informacji.

— Przecież to zawsze tylko o informacje chodzi, ha?! Najdroższy towar na rynku! Ile możesz mi za te informacje zaoferować, bo są ludzie, którzy nieźle mi płacą, żebym gębę trzymał na kłódkę?

Przybrał postawę bardzo nonszalancką i prostacką, ale Berg wiedział, że to jedynie gra. Jankowi nie chodziło o pieniądze, a o bezpieczeństwo, i tego akurat komisarz nie mógł mu zagwarantować.

— Muszę znaleźć Wilka — oznajmił bez ogródek.

— Wow! Tak prosto z mostu? Brzmi jak nóż na gardle... Góra cię ciśnie? Wiem, jak to jest...

— Janek, jestem już naprawdę blisko. Ty wiesz, jakie to dla mnie ważne, dla ciebie zresztą też... Możemy zapuszkować tego skurwysyna...

Były oficer poczuł nutkę nostalgii za pracą w policji. Stawanie po stronie

dobra i prawdy było dla niego niegdyś naturalną rzeczą. Niestety, jego rzeczywistość okazała się okrutna aż do granic i uwięziła go w świecie, do którego wszedł w celu zniszczenia go. Może Berg miał rację, może był już blisko, ale ryzyko pozostawało wielkie. Jeśli policja zacznie węszyć, jeśli Wilk się zorientuje, wyjdzie, że to Janek dał cynk. Od chwili, kiedy postanowił zejść na dalszy plan, w środowisku niemalże nikt mu już nie ufał. Prawdopodobnie ludzie Wilka już wiedzą, że właśnie teraz rozmawia z Bergiem. Wziął głęboki oddech i spokojnym tonem powiedział:

— Nie mogę ci pomóc. Już dawno nie jestem obeznany i skończyłem z tamtym życiem...

Komisarz wiedział, że to było kłamstwo, jednak postawa Janka i ton, który przybrał, były jak najbardziej naturalne i prawdziwe. Teraz był najlepszy moment, żeby do niego dotrzeć, do jego prawdziwego „ja”.

— Ten człowiek odebrał mi brata, a tobie, wam — normalne życie. Jesteśmy mu coś winni...

Berg sięgnął do kieszeni po portfel i wyjął z niego wizytówkę.

— Gdybyś jednak zmienił zdanie, zadzwoń. — Wręczył ją Marii, która ze smutkiem patrzyła na Janka. Wierzył, że ona ją lepiej przechowa i nie wyrzuci jej w złości, momentalnie do śmieci.

— Cieszę się, że ciągle trzymacie się razem — powiedział, kiedy chowała wizytówkę do szuflady.

— Dlaczego miałoby być inaczej? To przecież miłość mojego życia — odparła ze smutnym uśmiechem.

— Nie wątpię!

Wyszedł wolno, dając Jankowi czas do namysłu, jednak ten go nie zawrócił. Kiedy wsiadał do samochodu, zauważył przez okno kawiarni, jak Janek podchodzi do Marii i ją obejmuje. „A może zadzwoni. Jeśli nie on, to może ona” — pomyślał i odjechał. Tymczasem otrzymał telefon od Młodego, a że czekał na informacje, odebrał od razu. Z rozczarowaniem przyjął wiadomość o bezużyteczności zatrzymanego na komendzie handlarza z Pól Mokotowskich. Okazało się, że był to człowiek pracujący na rzecz grupy żoliborskiej.

— Z początku — opowiadał przez komórkę Młody — milczał jak zaklęty! Grał podobno takiego twardziela, że straszył ich swoimi znajomościami z Bóg-jeden-wie-kim... A jak Impuls na niego ryknął, to Chaber ponoć sam prawie spadł z krzesła, a koleś dostał łzy w oczach. No, ale niestety... Jedyne, co mógł powiedzieć, to to, że kilka dni temu napadł go jakiś osiłek i pobił za handel na terenie „grupy mokotowskiej”. Zapytali, czy chce złożyć doniesienie, ale nie chciał.

Berg rozłączył się zawiedziony tym, że kolejny szlak okazał się zakończony urwiskiem. Czekало go dzisiaj jeszcze jedno spotkanie i miał nadzieję, że będzie

ono o wiele bardziej owocne. Pozostały do niego prawie trzy godziny, więc postanowił wykorzystać je na odpoczynek. Przejechał zaledwie kilka kilometrów, pozostając na Pradze, i zaparkował pod skromnie, nieco niechlujnie wyglądającym barem. Nie wisiał nad nim żaden szyld, żadna nazwa nie widniała na oknach. Stali bywalcy nazywali to miejsce „Kwadratem”, nikomu nie przeszkadzała panująca tu ponura atmosfera, najważniejsze było, że ani podłoga, ani stoliki nie kleiły się od zaschniętego piwa. Komisarz przychodził tu kilka razy w miesiącu. Znał właściciela, znał barmana, znał stałych gości. W większości przychodzili tu drobni złodzieje i byli przestępcy, którzy postanowili przejść na legal. Wszyscy oni doskonale wiedzieli, kim on jest i czym się zajmuje, a mimo to traktowali go jak swego, z szacunkiem.

Jak tylko wszedł do środka, od razu zauważył kilka znajomych twarzy. Przy pierwszym od drzwi stole siedziało pięciu mężczyzn. Pili piwo i głośno nabijali się z nowo zatrudnionego w ich warsztacie samochodowym chłopaka. Ten, chudy i skromny, uśmiechał się lekko, nie wiedząc nawet, że jego towarzysze jeszcze kilka lat temu trudnili się kradzieżą aut. Ich szef, który śmiał się najgłośniej, podniósł się z krzesła na widok komisarza i przywitał go mocnym uściskiem dłoni. Berg klepnął go po ramieniu, po czym przeszedł w głąb lokalu. Usiadł przy barze obok dwóch innych klientów.

— Proca! — przywitał go jeden z nich.

— Cześć, Kapsel, co u ciebie?

Mężczyzna uśmiechnął się szczerze i zapewnił, że wszystko gra i tańczy. Upił łyk swojego piwa, a Berg przywitał barmana skinieniem głowy. Chwilę później otrzymał „to, co zawsze”, czyli setkę whisky. Kapsel przyjrzał mu się uważnie. Przypomniawszy sobie ich pierwsze spotkanie. Było to kilka lat temu, w barze podobnym do tego. Wtenczas Kapsel należał do niewielkiej grupy przestępczej, która ściągала haracze z kilkunastu sklepów, współpracując z pierwszą mafią mokotowską. W dniu wielkiej czystki, kiedy policja rozbiła kartel, znalazł się w niewłaściwym miejscu, o złej porze i wpadł prosto w ręce Berga. Dosłownie, bo rzucając się do ucieczki, wpadł na niego przy tylnym wyjściu. Dostał wyrok — dwa lata więzienia za liczne wymuszenia haraczu. Upiekło mu się, bo z początku groziło mu nawet pięć lat pozbawienia wolności. Poszedł jednak na ugodę z komisarzem. Sypnął mu kilku kolegów, opowiedział, jak te sprawy organizowano, i odsiedział znacznie mniej niż powinien. Fakt był jednak taki, że sam nigdy nikogo nie zastraszał, był raczej facetem na posyłki, haraczowym listonoszem, i po wyjściu z paki zawrócił z przestępczej drogi. Poznał, że komisarz nie jest w zbyt dobrym nastroju, więc sam przygasił nieco swój entuzjazm.

— Słuchaj, Proca, ja teraz pracuję w takim małym kebabie przy Grójeckiej. Wpadłbyś czasami, to ci zrobię nasz *special*.

— Z chęcią.

— Jak tam w robocie? Wilk ciągle po mieście bryka?

Berg nie odpowiedział, tylko upił łyk wódki. W tym czasie do baru wszedł młody chłopak. Na głowie nosił kaptur, na ramieniu plecak. Rozejrzał się dyskretnie po lokalu, po czym usiadł obok komisarza i zamówił małe piwo.

— Widzisz, Kapsel — zaczął wyjaśniać Berg — dilerów w tym mieście nie brakuje, ale jak próbujesz znaleźć takiego jednego, to jakby pod ziemię się zapadł.

— Jak chcesz — wtrącił cicho chłopak w kapturze, gładząc palcami otrzymaną szklanę piwa — to u mnie czysty bacior za pięć dych, ale koks też mogę załatwić.

Berg obrócił się ku niemu.

— Słucham? Jeszcze raz...

— No skręcik za pięć dych, czysty i świeży. — Komisarz patrzył na niego spokojnie, nawet lekko się uśmiechał, a siedzący obok Kapsel wybuchnął śmiechem.

— Kurczak, ty debilu! — wykrztusił z siebie po chwili. — To przecież Proca z narkotykowego jest!

— Ja pierdołę... — wydukał chłopak cienkim głosem i upił łyk piwa. Śmiech Kapsla dotarł też do innych gości i szef mechaników zawołał od swojego stołu:

— Czy ja dobrze słyszałem? Kurczak *stuff* Procy sprzedaje?!

— Chłopaku — powiedział Kapsel, gdy jego rozbawienie trochę osłabło — ty lepiej bierz dupę w troki, zanim w obrączki wskoczysz.

Kurczak, widząc, że policjant wciąż siedzi zajęty swoim drinkiem, zerwał się i ruszył do wyjścia. Berg upił kolejny łyk i uniósł do góry rękę, mówiąc:

— Poczekaj, chłopak!

Wtedy szef mechaników wstał z miejsca i zastąpił Kurczakowi drogę. Spojrzał na niego wzrokiem pozbawionym współczucia i oschle rozkazał:

— Jak cię Proca woła, to zapierdalaj do niego.

Chłopak zawrócił, pokornie ruszając ku policjantowi. Ten dopił swoją setkę i usiadł tyłem do baru. Westchnął ciężko, oparł się łokciami o blat i gdy Kurczak stał już przed nim, zapytał po chwili:

— Jak masz na imię?

— Kuba.

— Wyskakuj z towaru, Kubuś... — Chłopak ściągnął z ramienia plecak i wyciągnął z niego foliową torebkę wypełnioną gotowymi skrętami. Każdy umieszczony był w indywidualnej plastikowej fiolce. Berg nie wykonał ruchu, więc Kuba położył torebkę na barze.

— Od kogo bierzesz towar? Mokotów czy Żoliborz? — Chłopak zawahał się i spojrzał na Kapsla. Ten posłał mu uspokajający uśmiech i lekko przytaknął.

— Żoliborz... — odpowiedział Kurczak.

— A! — westchnął zawiedziony policjant i spojrzał mu prosto w oczy. — Zapamiętaj, jak wyglądam na drugi raz. Jeszcze pogadamy, ale nie dzisiaj...

Odwrócił się na powrót do baru i — jako że nieco poprawił mu się nastrój — zamówił jeszcze małe piwo. Kapsel skinął na chłopaka, dając mu znak, żeby się stąd zabierał. Tak też zrobił.

— Nie ma nic lepszego od nabijania się z takiego żółtodzioba — zaśmiał się były przestępca. — Prawie się posrał ze strachu.

— Szkoda chłopaka...

— To dzieciak z sąsiedztwa. Taki, co go się zawsze kłopoty trzymają. Ale wyjdzie z tego interesu, mówię ci. Jak sam widziałeś, w ogóle się do tego nie nadaje!

— Na szczęście.

— Czyje? Chyba nie tych, co mu ten towar do opchania dali! Ty go po prostu skroiliłeś, Proca! Teraz będzie się musiał tłumaczyć szefom, że go z baki okradziono...

— To najłżejsza kara, którą może dzisiaj dostać.

— Chyba masz rację — przyznał Kapsel i uniósł swoje piwo w geście toastu. — To żebyś w końcu dopadł tego skurwysyna! Mówię ci, że ten Wilk to straszny pojeb podobno. Jak ja w mokotowskiej siedziałem, za starych czasów, to też cisnęli, ale jakaś demokracja chociaż była, teraz, to jak praca niewolnicza, mówią. Nikt tam głosu nie ma. Robić, jak każe, i koniec! A wszyscy boją się go jak diabła! Dobrze, że im chociaż porządnie płaci...

Komisarz zamyślił się głęboko. Wilk Wilkiem, w końcu ta sprawa się skończy. Albo winny trafi do pierdła, albo prokurator będzie miał dość i przestanie przedłużać dochodzenie. Cokolwiek się stanie i tak czekają kolejne sprawy. Żoliborz się rozkręca i wyciąga ręce po kolejne dzielnice. „Zawsze coś” — pomyślał Berg. „Zawsze coś”...

+

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

PODZIEMIE

W innej części Warszawy, klub „Panama” przygotowywał się do nocnego życia. DJ podłączał laptopa do wzmacniacza. Niedługo przeprowadzi próbę dźwięku i niewielki lokal, służący odprężeniu i chwilowemu zapomnieniu, wypełni się głośną muzyką, aurą radości i bez troski, będąc tym samym przykrywką dla jego ukrytych, szemranych interesów. Podczas gdy w samym klubie działo się jeszcze niewiele, jego podziemne pomieszczenia tętniły emocjami, bynajmniej nie radosnymi i nie odprężonymi.

Żółte światło wypełniające pomieszczenie maskowało bladość strachu na twarzach dilerów, złodziei, morderców i innych członków gangu.

Wilk siedział przy masywnym, dębowym biurku. Dłonie trzymał splecione na blacie. Leżały na nim czerwone marlboro, pozłacana zapalniczka (prezent od jednej z tych, które kiedyś zdołały go pokochać), nożyk do otwierania korespondencji, dwa stosiki listów — otwartych i tych jeszcze nieprzeczytanych, „Tako rzecze Zaratustra” Nietzschego, srebrny MacBook i niewielka lampa w bankierskim stylu. Rodion Vlacic miał paradoksalnie wysmakowany gust i słabość do historii oraz piękna. Nie żywił jednak podobnej wrażliwości wobec ludzi. Uważnie słuchał stojącego przed nim rudego mężczyzny, który zdając sprawozdanie z poprzedniej, niefortunnej nocy, patrzył to na Rodiona, to na innego mężczyznę, stojącego w prawym rogu pokoju, wychudzonego, o zapadniętych policzkach, który ze względu na wygląd właśnie, posługiwał się pseudonimem Tarkin.

— Rodia, nie wiem, jak ubrać w słowa to, jak chujowo się teraz czuję — tłumaczył Rudy. — Wiem, że powierzyłeś mi ważną robotę, a ja spieprzyłem; biorę za to pełną odpowiedzialność. Ale też nie mam pojęcia, skąd psy wiedziały o akcji... Ktoś od środka musiał puścić farbę... Oczywiście nie oskarżam nikogo z tu obecnych, ale na pewno podzielasz moje podejrzenia. Nie chcę też wytykać nikogo palcem, ale może złamali Kozaka; w ciupie ludzie robią czasami dziwne rzeczy... — Rudy zawiesił głos, oczekując odpowiedzi Wilka, lecz ten milczał jak grób. — Oczywiście, nawet jeśli Kozak nas wydał, mogłem to przewidzieć i uznać, że miejsce nie jest już w stu procentach bezpieczne... Przyrzekam, że następnym razem będziemy dużo ostrożniejsi! Nie żebyśmy teraz już nie byli, ale... Kurwa... To się więcej nie powtórzy.

Rodia podniósł się z krzesła i napięcie w ciele Rudego nasiliło się jeszcze

bardziej. Zamilkł i spuścił oczy. Czuł się jak niesforny dzieciak, który właśnie przyniósł jedynekę ze szkoły i pozostawał teraz na łasce i niełasce surowego ojca.

— Rudy, Rudy, Rudy... nie wątpię, że się starałeś — zaczął Rodion niskim, lekko zachrypniętym głosem. — Zawsze się starasz najbardziej, jak to możliwe, i właśnie dlatego takie zadania powierzam tobie. Upewnienie się, że teren będzie bezpieczny, to niełatwa robota, wszyscy o tym wiedzą.

Rudy był wdzięczny za tę wyrozumiałość, a łagodny ton głosu szefa przyniósł mu cień ulgi. Tymczasem Rodia kontynuował:

— Wiedzą również, ile kosztowało nas to niedopatrzenie. Każdy na tym stracił. Finansowo. Nie wspomnę już o tym, ilu trafiło wczoraj za kratki, bo to wszystkich bardzo niepokoi i boli. Nie mogę sobie pozwolić na podobne sytuacje. — To powiedziawszy zacisnął pięść i wymierzył Rudemu mocny cios prosto w śledzionę. Rudy zgiął się wpół i padł na kolana. Poczł ogromny ciężar w klatce piersiowej i z trudem zaczerpnął oddechu. Rodion sięgnął po leżący na stole nóż. Dodał:

— Wiesz, że ciężko znoszę smród słabości i porażki w swoim otoczeniu — i pomagając Rudemu podnieść się na nogi, zatopił nóż po samą rękojeść w miejscu poprzedniego ciosu. Przekręcił ostrze o dziewięćdziesiąt stopni, po czym wyciągnął je szybkim ruchem. Rudy runął na ziemię, trzymając się kurczowo za zranione miejsce. Rodia sięgnął do kieszeni po bawełnianą chusteczkę i zaczął uważnie czyścić zbroczone krwią ostrze.

— Zabierzcie go, zanim wszystko zabrudzi... — powiedział z obrzydzeniem bijącym z twarzy. Nie znosił widoku krwi. Przypominała mu o własnej słabości i śmiertelności.

Stojący do tej pory w kącie Tarkin skinął na trzech innych, aby sprawnie wynieśli konającego jeszcze Rudego, i dał znać reszcie gangu, by opuściła pokój. Kiedy w pomieszczeniu został tylko on i Rodion, zapytał:

— Czy to było konieczne? Rudy był dość przydatny do tej pory.

— Czasami lider musi zaprezentować swoją siłę, żeby nie stracić posłuchu.

Piotr „Tarkin” był starszy od Rodiona o dziesięć lat i dużo bardziej doświadczony. Zaczynał jako klient, ćpun i nieudacznik. Był jednak mądrym facetem i miał w życiu dużo szczęścia. Diler, który sprzedawał mu towar, zaproponował mu pracę, oczywiście pod warunkiem, że Tarkin wyjdzie z nałogu. Ogólnie nie miał nałogowego usposobienia, więc kiedy oczyścił się na detoksie, nigdy więcej nie sięgnął po działkę. Szybko obracał towarem na ulicy i jego talent został wnet zauważony i doceniony. Blisko współpracował z Korkiem — bossem słynnej mokotowskiej mafii. Kiedy Korek trafił pod sądowy młotek, a interesy częściowo przejął Wilk, Tarkin zaadaptował się do nowej sytuacji i stał się doradcą nowego bossa. Jako jeden z nielicznych uchylił się od ręki sprawiedliwości podczas wielkiej mafijnej czystki i był niezwykle cennym kontaktem dla Wilka,

który nie tylko wykorzystywał jego wpływy, ale również opinię w wielu sprawach.

Rodia poczęstował Tarkina papierosem i podпалиł mu go złotą zapalniczką. Sam też zapalił i kiedy poczuł, że dym zaczyna odprężać jego płuca i trafia do krwiobiegu, kontynuował rozmowę.

— Pieprzony Berg... Zawsze tuż za nami...

— Wczoraj niestety był o krok przed nami.

— To za blisko. Stanowczo za blisko. I jeszcze ten Żoliborz nas ostatnio dobija. Rosną w siłę.

— Może mądrze byłoby, gdybyś zniknął na jakiś czas z pola widzenia. Zamrozimy interesy, wstrzymamy przerzut z Holandii, niech nic się nie dzieje przez jakiś czas. Dajmy psom moment, żeby pogubili wątki... Jest jeszcze jedna sprawa.

— Co jeszcze?

— Znalezliśmy naszego kreta.

— Same cioty albo zdrajcy. Kto?

— Mario.

— Kurwa! Skurwiel niewdzięczny... Wielka szkoda! Zajmij się tym najszybciej, jak to możliwe. Już bez ceregieli: skasujcie go po prostu.

Rodia spojrział na rozmówcę przez kłębek papierosowego dymu i Tarkin twierdząco pokiwał głową. Leżący na biurku telefon zawibrował, przerywając moment ciszy. Vlacic spojrział na wyświetlacz.

— To Szczena — poinformował, po czym odebrał. — Coś nowego?

Szczena, siedzący po drugiej stronie słuchawki, uśmiechał się sam do siebie na myśl o informacji, którą miał do przekazania. Długo już ślęczał w swoim samochodzie, nieopodal kawiarni Janka. Przez wiele dni obserwował i czekał, licząc na to, że w końcu znajdzie haka na Cienkiego, którego tak bardzo nie trawił, od kiedy Wilk pozwolił mu odsunąć się od interesów.

— Szefie, nie zgadnie pan, z kim przed chwilą rozmawiał Cienki! Odwiedził go sam komisarz skurwiel Berg. I to po godzinach pracy. Coś z tym zrobić?

— Przywieź go do mnie. Tylko Szczena — miło i normalnie.

— Oczywiście szefie, już się robi.

Rodion odłożył telefon i mocno zaciągnął się papierosem. Zmarszczył brwi i zapatrzył się na wiszącą na przeciwległej ścianie reprodukcję „Salome z głową Chrzyciciela” pędzla Caravaggia.

— O czym myślisz?

— Chyba mam alternatywne rozwiązanie naszego problemu. Możemy upiec kilka pieczeni na jednym ogniu...

Kiedy Berg odjechał spod drzwi kawiarni, Janek i Maria udali się na górę. Ich mieszkanie mieściło się nad kawiarnią, co zawsze uważali na niezmierne

udogodnienie. Może akurat dzisiaj, gdy czuli się rozbici i zaniepokojeni, woleliby pewnie mieszkać gdzieś daleko, w domu, do którego podróż zajęłaby godziny. Mogliby wtedy w ruchu oczyścić myśli i fizycznie odciąć się od miejsca, w którym panowała teraz ciężka atmosfera.

Maria, szykując kolację, pokonywała jedynie niewielką odległość między lodówką a kuchennym blatem. Janek usiadł przy stoliku obok i uważnie przyglądał się tej młodej, zapracowanej dziewczynie. Zasłużyła na lepsze życie, na lepszego partnera. Delikatną jak jedwab dłonią chwyciła za masywny kuchenny nóż i jednostajnymi ruchami kroić pomidory. Przerwała nagle i nie odrywając wzroku od deski, powiedziała:

— Może on ma rację. Może to jest dla nas szansa?

— To zbyt ryzykowne, Mary. Jeśli Proca chce się dobrać do Wilka, musi zrobić to sam. Nie będę się mieszał.

Wstał i ostrożnym, lecz zdecydowanym ruchem objął ją w pasie, jak gdyby była małym kanarkiem, mogącym w każdej chwili poderwać się do lotu.

— Jesteś bardzo nieszczęśliwa?

— Nie, skąd! — zapewniła, obracając się ku niemu i objęła dłońmi jego twarz. — Wiesz, że cię kocham! Boję się tylko, że ktoś mi ciebie zabierze. Tego bym nie zniosła...

— Mary...

W mieszkaniu rozległ się dźwięk domofonu. Nie oczekiwali nikogo, a w takim dniu jak dzisiejszy, ów niewinny dźwięk wydał się bardzo niepokojący. Janek nacisnął guzik łączący.

— Słucham?

— Cześć, Cienki. Mam nadzieję, że nie zakłócam wieczornego odpoczynku, ale Wilk chce cię widzieć. Masz pięć minut, czekam na dole.

Na dźwięk tych słów Marii zmiękły kolana i bezradnie usiadła na krześle. Janek podszedł do niej szybkim krokiem. Przykucnął, łapiąc ją za ręce. Wtedy zauważył, jak w jej oczach pojawiają się łzy.

— Nie bój się, proszę. Mary... proszę. To nie musi mieć żadnego związku, to na pewno tylko kolejna mała przysługa. Nic wielkiego. On chce pogadać... Uwierz mi, gdyby było coś nie tak, chmara gangsterów wparowałaby nam do domu i załatwiliby to inaczej — dodał z lekkim uśmiechem, ale szybko zdał sobie sprawę, że ten sarkastyczny żart nie był wcale na miejscu. Przytulił Marię mocno i ucałował ją w polik. — To nic wielkiego. Niedługo wrócę.

Wyszedł i kiedy zamknął za sobą drzwi, Maria zalała się łzami.

Na dole czekał już samochód z włączonym silnikiem. Szczena nie odezwał się słowem, gdy Janek usiadł w fotelu pasażera. Zmierzył go jedynie wzrokiem od stóp do głów i nacisnął pedał gazu. Co rusz zerkał we wsteczne lusterko, upewniając się, że nie są śledzeni. Pokonywali drogę spokojnie, średnim tempem,

a ruch wokół nich nie wzbudzał żadnych podejrzeń. Szczena przejechał dodatkowo wokół jednego z osiedli i utwierdziwszy się w przekonaniu, że są czyści, ruszył pod adres klubu.

Janek nie był ani zaskoczony, ani skrępowany trwającą w samochodzie ciszą. Wiedział, że od kiedy opuścił gang znajomy za nim nie przepadał. Zanim to się stało, Janek nazywany był Żuzłem, ponieważ przemieszczał się głównie motocyklem. To właśnie Szczena był tym, który przechrzczył jego pseudonim. Opuszczając zaszczytne towarzystwo wilczej mafii, zasługiwał jedynie na to, by nazywać go Cienkim.

Stres dopadł Janka dopiero, gdy zaparkowali pod klubem. Widok lokalu przywołał wiele nieprzyjemnych wspomnień i Cienki uświadomił sobie, jak słuszną decyzją było dla niego odcięcie się od gangu. Jednak gang nie odciął się od niego. Raz na jakiś czas zgłaszali się do niego po drobne przysługi — by przechowywał narkotyki albo kontaktował klientów ze sprzedawcami. Żadne z takich zleceń nie wymagało od niego przyjazdu do klubu, żadne z nich nie wymagało bezpośredniego spotkania z Wilkiem. Sam boss był mu zawsze przychylny, to przecież on sam pozwolił mu odejść bez żadnych konsekwencji, a nawet wręczył mu grubą pożegnalną kopertę. Jej zawartość pozwoliła na rozkręcenie kawiarni. Powód, dla którego Wilk zażyczył sobie tego spotkania, był dla Janka oczywisty. Chodziło o wizytę Procy.

Lokal tonął w dźwiękach muzyki. Ściany wibrowały od silnych basów. Szczena przeprowadzał Janka wąskimi korytarzami zaplecza. Tu i ówdzie mijali pojedyncze osoby. Wszystkie twarze rozpoznawał bardzo dobrze. Jedni witali go oschłym spojrzeniem, inni skinieniem głowy, jeszcze inni uściskiem dłoni lub poklepaniem po ramieniu. Dotarli do końca korytarza. Przed masywnymi drzwiami z metalu siedział potężny, barczysty mężczyzna, który — jak Janek zawsze uważał — przejawiał najwięcej objawów pacyfizmu ze wszystkich członków gangu. Uśmiechnął się do ochroniarza, a ten, rozpoznawszy Janka, objął go niedźwiedzim uściskiem.

— Cienki! Jak dobrze cię, kurwa, widzieć. Brakowało mi tu ciebie.

— Miło to słyszeć!

— Szef czeka już na ciebie — dodał, wskazując na wejście. Szczena ruszył przodem. Kiedy zamknięto za nimi drzwi, dudnienie muzyki gwałtownie ustało, a wokół zapanowała grobowa cisza.

Rodia podszedł do gości entuzjastycznie i ze szczerym uśmiechem podał Jankowi rękę.

— Nie zdałem sobie sprawy z tego, jak dawno się nie widzieliśmy — powiedział, po czym zwrócił się do Szczeny.

— Dziękuję, możesz już iść.

Szczena przyjął ten, nad wyraz miło sformułowany, rozkaz jak potwarz.

Dość niechętnie, ale zdecydowanie odparł: „Oczywiście, szefie” i wyszedł, wpuszczając przy tym do środka kilka wyrwanych z kontekstu dźwięków piosenki. Rodia zaprosił Janka szerokim gestem do wnętrza pokoju i wskazał mu jeden z dwóch foteli, stojących przy biurku.

— Napijesz się brandy?

— Z chęcią — skłamał Janek, wiedząc, jak ciężko Wilk przyjmuje wszelką odmowę.

Kostki lodu zabrzęczały ostro, uderzając o dno szklanek, a napełnianie ich wydawało się Jankowi trwać kilka minut. Szef postawił jedną szklankę na biurku, a drugą przytrzymał dla siebie. Ku zaskoczeniu Janka nie usiadł za biurkiem, lecz tuż obok i uniósłszy szklankę w geście toastu, rzekł:

— Za ponowne spotkanie!

— To zawsze niepewne w naszej branży.

— Ha! Żebyś wiedział! Co u ciebie słychać? Jak kawiarnia? Co u Mary?

— W porządku. Dziękuję, że pytasz.

— Jesteście dla mnie przecież jak rodzina.

— Ale nie zaprosiłeś mnie dzisiaj po to, żeby rozmawiać o sprawach rodzinnych, prawda?

— Tak... — Rodia spoważniał i jakby nawet posmutniał. — Tak, masz mi coś do powiedzenia?

— Nic mu nie powiedziałem Rodia, przyrzekam.

— Ależ skąd, oczywiście, że nie! Nie wątpię w to... O co pytał?

— Konkretnie o ciebie. Wydawał się dość zdesperowany i myślę, że zaczyna gubić trop.

— Mądrze zrobiłeś, wychodząc wtedy z interesów. Zaczynali deptać ci po piętach. Ale widzisz, ja nie mogę tak zrobić. To trochę bardziej skomplikowane. A mam ich na ogonie! Cały czas węszą... Słyszałeś o wczorajszej nocy?

— Tak, bardzo mi przykro...

— Widzisz, to się musi skończyć. Berg przyczepił się jak rzep i to już trwa za długo. Muszę poprosić cię o pomoc, o przysługę.

— Cokolwiek — zapewnił spokojnie Janek, z trudem opanowując bicie serca, które pragnęło wyskoczyć mu z piersi.

— Potrzebuję, żebyś kogoś do mnie przyprowadził.

— Berga?!

— Nie, nie... Zaskakująco, chodzi mi o kogoś innego innego. O kogoś, kto nie do końca gra *fair* w tamtej drużynie...

+

ROZDZIAŁ JEDENASTY

SIŁA ODRZUTU

Było już ciemno, kiedy Młody wyszedł z Biura. Wzmógł się silniejszy wiatr, taki, który zaprasza do tańca gałęzie drzew, ale nie podrywa w powietrze śmieci, porzuconych na chodnikach. Podkomisarz czuł się nieswojo z tym, że Berg zostawił go za sobą i w pojedynkę pojechał na spotkanie z tym byłym przykrywkowcem. Nie zdziwiłby się, gdyby komisarz wciąż miał do niego żal i maskował go tylko, żeby nie miało to negatywnego wpływu na ich współpracę. Przypomniawszy sobie ostatnią rozmowę telefoniczną z Olafem. Nie przyniosła mu ona ulgi. W żadnym wypadku. Tylko zmuszała do przedłużenia obecnej sytuacji. Kłamstwa i gry pozorów. Rześkie powietrze uderzyło w płuca policjanta i przyniosło mu to uczucie rozluźnienia, które zabrania powrotu do domu, a zachęca do spaceru. Sam nie wiedział dlaczego, nie zrobił tego intencjonalnie, raczej podświadomie, ale nogi poniosły go do restauracji „Beckett”, która o tej porze przybrała już formę baru. Światło w jej wnętrzu jarzyło się przytłumionym blaskiem. Na stolikach mrugały płomyki świec. Niewielu ludzi gościło tam tego wieczoru, wszyscy pogrążeni byli w cichych rozmowach, swoich kieliszkach i słuchaniu dźwięczącego w powietrzu jazzu.

Młody dostrzegł ją od razu. Stała za barem i rozmawiała z jednym z klientów, któremu przed chwilą podała szklankę piwa. Basia również go

zauważyła, gdy tylko przekroczył próg. Nie przerwała jednak rozmowy. Bardzo wdzięcznie i naturalnie pozostawiła klienta z domkniętym, lecz nie uciętym tematem i zbliżyła się do Młodego, siadającego przy barze.

— Dobry wieczór — przywitała go spojrzeniem radosnym, ale nie nachalnym. Spojrzeniem podobnym do tego, które dawała mu matka, kiedy przyjeżdżał do niej po kilku dniach niewidzenia.

— Cześć. Ostatnio chyba nawet nie zostaliśmy sobie normalnie przedstawieni, więc pomyślałem, że wpadnę i to naprawię — skłamał i podając jej rękę, przedstawił się z imienia. Basia odpowiedziała, dokonując formalności, a on kontynuował: — Jak się czujesz, Basiu?

— Dużo lepiej. Dzięki, że pytasz. Pierwszy raz byłam w podobnej sytuacji... Ale już dobrze. Naprawdę nie wiem, jak wy radzicie sobie z takimi sprawami na co dzień.

— No właśnie, czasami sobie nie radzimy. I na szczęście nie zdarzają się one codziennie... Należysz mi setkę whisky?

Basia podała mu szklankę i gdy upił pierwszy łyk, zapytała:

— Prawdopodobnie nie możesz odpowiedzieć, ale ja muszę zadać to pytanie: co ci leży na sercu? Bo ewidentnie coś cię tam gryzie...

Młody zmierzył ją swoim zawadiackim spojrzeniem, które dość często wykorzystywał wobec kobiet.

— Każdemu zadajesz takie pytanie?

— Tylko tym najbardziej przygnębionym.

— Aż tak ze mną źle? To niedobrze... — Pokręcił głową nieco teatralnie, ale po chwili na jego twarzy wystąpiło szczerze zatroskanie. — Ech... Czuję się, jakbym miał związane obie ręce, z tym, że każda z nich jest ciągnięta w przeciwnym kierunku... Jakbym był zawieszony między dwoma różnymi prawami... Okłamałem kogoś, kto mi zaufał.

— Dlaczego?

— Chyba nie miałem wyboru...

— Zawsze jest wybór, Julian. Wybrałeś okłamać. Pytanie, czy ze słusznych pobudek.

— Czy to by mnie rozgrzeszyło?

— Tylko, jeśli przyznasz się do kłamstwa.

— Tego właśnie nie wolno mi zrobić. Przynajmniej na razie. Tylko że mnie to zżera.

— Czujesz się rozdarty?

Młody uśmiechnął się smutno i rozłożył obie ręce na barze na znak bezradności. Patrząc na Basię z podziwem, powiedział cichym głosem:

— Jesteś bardzo wyjątkową osobą... W dzień próbujesz ratować ludziom życie, a wieczorami pracujesz jako psycholog i ksiądz w jednym...

— Miło, że tak to widzisz, ale jestem tylko kelnerką, która umie słuchać i czytać ludzi.

— Co przeczytałaś o mnie?

— Myślę, że o czymkolwiek skłamałaś, zrobiłaś to w dobrej wierze. Być może osoba, którą okłamałaś, podzielałaby twoje intencje. Być może konflikt, w którym jesteś, wcale nie istnieje i te obie strony, które ciągną cię za ręce, mają punkt wspólny.

— Tak myślisz?

— Obie zaufały właśnie tobie, prawda?

Zrozumiał, co Basia miała na myśli i bardzo pragnął, żeby miała rację, żeby Berg faktycznie podzielał jego intencje i wybaczył. Sam mówił, że kłamstwo w dobrej wierze jest uzasadnione, a Młody uważał swoje motywacje za całkiem przyzwoite...

Berg zjechał z drogi przed sklepem hydraulicznym. Na parkingu stał jeden samochód. Bordowy golf. Mario, tak jak ostatnio, czekał już oparty o maskę samochodu. Proca miał już do niego wychodzić, kiedy otrzymał telefon od Chabra.

— Co jest?

— Nie wiem, jak to powiedzieć szefie...

— Gadaj, bo nie mam czasu!

— Mówiłem już, że nie podobała mi się kartoteka Młodego. Że wszystko jakoś za czyste i dopracowane... No to odezwałem się do chłopaków z Katowic, gdzie niby to Młody stacjonował, a oni do mnie, że nie znają człowieka. Wrzucili go w system i nic... Szefie, ja nie wiem, skąd on się wziął, ale na pewno nie z katowickich narkotyków...

Berg milczał. Zaskoczenie związało mu język. Później przyszedł strach i gniew, a za nimi tona różnych myśli, na których weryfikowanie nie miał teraz czasu. Podziękował Chabrowi za informację i wyłączył się. Podeszedł do czekającego na niego Mario i bez słowa, wzdychając ciężko, stanął obok niego.

— Złe wieści? — zaczął ostrożnie informator.

— Nigdy nie jest idealnie...

— Pewnie. Miałaś zapuszkować Wilka, a tu chuj! Dobrze przynajmniej, że towar macie...

Komisarz spojrział na niego wymownie. Przez moment, jakby nie rozumiejąc, o czym Mario mówi. Jaki towar? Zaczął do niego docierać, co się wydarzyło. Zabłądził i odsunął się od wozu. Donosiciel, zaskoczony z początku jego reakcją, również zaczął dostrzegać prawdę.

— Ja jebię, Proca! Wy go nie macie! Ale cyrk... Ktoś wam obu dupę obrobił! No, no! Ciekawie się robi!

— Zamknij się, Mario... — pogroził mu palcem. Oddychał głęboko,

próbując się uspokoić. — Po co chciałeś się spotkać?

— Bo mam dla ciebie kilka adresów, ale jak jesteś taki niemiły, to nie wiem...

— Nie zaczynaj teraz, dobrze radzę...

— Dobra, dobra! — Mario zdał sobie sprawę, że Berg jest faktycznie na granicy cierpliwości. Miał już zacząć mówić, kiedy komisarz zauważył czarnego mercedesa, który jadąc wolno, pozbawioną innego ruchu ulicą, otworzył szeroko okno. W nim lekko połyskiwała broń. Nie zdążył ostrzec informatora, zanim z mercedesa padła seria strzałów. Rzucił się za samochód w poszukiwaniu schronienia. Po pięciu sekundach ostrzału mercedes odjechał z piskiem opon. Mario leżał przed otwartymi drzwiami golfa. Policjant wyszedł z ukrycia i podbiegł do leżącego. Chcąc zlokalizować ranę, rozpiął jego bluzę. Ran było sześć. Mężczyzna krwawił mocnymi strumieniami. Zaczynał kaszleć krwią. Złapał Berga za kurtkę i trzymając ją kurczowo, powiedział niewyraźnie:

— Fabryka... Włókiennicza... — podał pierwszą lokalizację, po czym rozluźnił pięść. Jego ręka opadła ciężko na kolana komisarza.

Młody dopił powoli swoją whisky, podziękował Basi za rozmowę oraz wsparcie. Wiedział już, co musi zrobić — powiedzieć partnerowi prawdę. Zdawał sobie sprawę z konsekwencji, mogących wynikać z niedostosowania się do zaleceń szefa, jednak, w tym przypadku, postanowił kierować się własną intuicją i rozeznaniem w sytuacji.

Gdyby okoliczności były inne, zostałyby w „Becketcie” znacznie dłużej. Poczekałby nawet, aż Basia skończy zmianę, odprowadziłby ją do domu albo zaprosił na wspólnego drinka. Musiał jednak porozmawiać z Bergiem, nie tracić więcej czasu i wyznać prawdę o straconym towarze. „Trzymaj przykrywkę do końca!” — rozkazał mu Olaf podczas ostatniej rozmowy telefonicznej. I miał rację — nikt nie powinien znać prawdy, aż do finału. Ale ani Olaf, ani „góra” nie poznali komisarza tak, jak poznał go Młody. Owszem, Berg zasługiwał na prawdę! Zadzwoił do niego, ale telefon pozostawał głuchy. Wrócił pod budynek Biura po swój rower i ruszył w kierunku domu Bergów.

Była dziesiąta, kiedy Młody zapukał do drzwi. Usłyszał, że ktoś schodzi ze schodów, a potem otwiera zamek.

— Julian? — zapytała zaskoczona Ewa. W jej oczach dostrzegł przerażenie.

— Muszę pogadać z Alanem... — wyjaśnił niepewnie.

— Nie wrócił jeszcze...

— Nie denerwuj się — uspokoił ją, rozumiejąc, że jego najście, połączone z nieobecnością męża, musiały nasunąć jej najgorsze z możliwych scenariusze. Pospiesznie dodał: — Miał wieczorem jeszcze spotkanie, pewnie się przedłużyło.

— Myślałam, że to on, a widzę ciebie i...

— Nie, nie. Wszystko jest w porządku. Nic mu nie jest... — zapewniał, choć sam nie był przekonany, bo przecież nie mógł się z nim skontaktować. Postanowił się teraz wycofać i być może podzwonić po chłopakach. — Może poczekam z tą rozmową do jutra.

— Nie! Możesz ze mną zostać? Aż Alan wróci? Już i tak nie zasnę...
Julian przytaknął i wszedł do domu.

Berg wpadł do swojego samochodu, rozglądając się za telefonem. Znalazł go na desce rozdzielczej. Wyświetlacz wskazywał nieodebrane połączenia od Młodego, które komisarz zignorował i zadzwonił po karetkę. Ta przyjechała kilka minut później. Do czasu przybycia ratowników dawało się wyczuć delikatne tętno na szyi postrzelonego, ale w drodze do szpitala serce przestało bić. Ratownicy podjęli reanimację. Serce ruszyło. Powoli. Zmuszone do działania. Berg pojechał za karetką samochodem i odprowadził Mario aż do sali operacyjnej. Siedział przed zamkniętymi drzwiami w oczekiwaniu na wieści.

Lokal „Panama” składał się z trzech części: dostępnego tylko dla członków gangu podziemia, sali muzycznej i baru. O dziesiątej cały budynek tętnił już życiem. DJ zdążył się rozkręcić i ludzie powoli wypełniali parkiet. Większość imprezowiczów podpierała jeszcze ściany. Sącząc piwo i drinki czekali, aż działanie alkoholu doda im śmiałości. Niektórzy próbowali podjąć rozmowę. Przekrzykiwali muzykę, a ich usta wyglądały jakby opętane niemymi grymasami. Ciała tańczących pulsowały rytmicznie. W części barowej znajdowało się osiem stolików. Wszystkie zajęte, osaczone roześmianymi, rozgadanyimi grupami.

Janek wdrapał się ociężale po stromych schodach prowadzących do baru. Nie żeby nie miał kondycji, to nie brak oddechu ciążył mu na piersi, a informacja, którą przed chwilą otrzymał. Wyznaczono mu zadanie, którego nigdy by się nie spodziewał i jakkolwiek desperacko pragnąłby je odrzucić, nie miał wyboru. Musiał spełnić wolę Wilka, jeśli chciał zachować życie i chronić tych, których kochał najbardziej. Przepisnął się przez tłum imprezowiczów i usiadł przy barze. Zamówił szota czystej. Spoglądał w umieszczone na całej długości baru lustro. Po co je tam zawieszono? Żeby optycznie powiększyć lokal czy żeby pijący w samotności oglądali swoje żałosne gęby? A może, żeby nie czuli się już tacy samotni? Janek rozpoznawał w lustrze nie tylko swoje odbicie, lecz również kogoś, kogo nie widział już od kilku lat i za którym towarzystwem wcale się nie stęsknił.

Borys był typem, który zawsze lubił znajdować się w samym sercu wydarzeń i odgrywać w nich istotną rolę. Nie przejawiał jednak zbytnej bystrości, więc takie okoliczności rzadko mu się przytrafiały. Rzucił swoje cielsko na krzesło obok Janka i spojrzał na niego z wyrazem obrzydzenia bijącym z twarzy.

— Ze wszystkich barów w tym mieście, wybrałeś akurat ten? — zapytał,

nachylając się ku Jankowi tak blisko, że ten poczuł na szyi jego śmierzący papierosami oddech.

— Cześć, Borys — westchnął były policjant, gapiąc się w otrzymany właśnie kieliszek. Zaczął obracać go palcami.

— Jesteś na tyle głupi czy na tyle odważny, żeby tu przychodzić? — Wypluł z siebie to pytanie, uśmiechając się ironicznie. Janek zbywał go cierpliwym milczeniem. — Jest tutaj kilku, którzy cię nie trawią, ty pierdolony tchórze, ale z nich wszystkich chyba ja najbardziej nie znoszę twojego smrodu.

— Możesz odejść, nie będę cię zatrzymywał.

— Będziesz martwy — parsknął Borys, odchylając lekko połąć bluzy, za którą trzymał nabitego makarowa. Janek zerknął na broń i po chwili na Borysa: z politowaniem. Wrócił do obracania kieliszka.

— Rozmawiałem przed chwilą z szefem. Puścił mnie wolno, a ty chcesz mnie załatwić? Borys... Lepiej najpierw skonsultuj z kimś swoje zamiary... — Borys podniósł się z krzesła, łapiąc Janka agresywnie za ramię.

— Nie muszę się przed nikim tłumaczyć, ty skur...

— Borys, Borys... — zatrzymał go Szczena, pojawiając się znienacka i przytrzymując jego dłoń gotową do ataku. — Przyjdzie czas na takie porachunki, ale nie dzisiaj. Cienki dostał bardzo ważną robotę i czas go goni. A ciebie chłopaki na dole wołają. Idź, idź.

Borys spojrzał gniewnie na Szczenę, po czym sięgnął po kieliszek Janka i wlał sobie jego zawartość do gardła.

— Do zobaczenia — parsknął i odszedł. Janek spojrzał z niesmakiem na opróżniony kieliszek i zwrócił się do barmana:

— Jeszcze raz to samo. Tylko w nowym kieliszku proszę.

— Musimy iść, Cienki — upomniał go Szczena. Janek powoli zapłacił za drinki, wypił szota i wstał, prostując spięte plecy.

Szczena odwiózł go do domu ponownie w milczeniu. Odezwał się dopiero, gdy stanęli przed kawiarnią:

— Dostarczysz go nad Narew. Masz czas do dziesiątej rano.

— Wiem.

— Tylko przypominam. Masz wszystko, czego potrzebujesz?

— Tak. Dzięki za podwiezienie.

Szczena odjechał, a Janek wszedł do garażu, umiejscowionego tuż obok drzwi kawiarni. Jasne światło jarzeniówek wypełniło pomieszczenie, ukazując granatowego volkswagena T5 (który zastąpił mu sprzedany motor) oraz nagromadzone na półkach graty, narzędzia, pudła. Janek wyjął z samochodu plecak i uważnie zaczął wypełniać go rzeczami. Rozpoczął od butelki chloroformu i szmatki. Dodał kilka opasek zaciskowych, rękawiczki, taśmę i mały zestaw wytrychów. Podłogę bagażnika wyłożył starym filcowym kocem. Sięgnął po leżącą

gdzieś między gratami czapkę z daszkiem i mocno wcisnął ją na głowę. Otworzył szafkę pod zlewozmywakiem i wszedłszy do niej do połowy, wydobył niewielką skrzynkę. W jej wnętrzu leżał walter p99, którego nie używał już od kilku lat. Powinien go wziąć na wypadek, gdyby coś poszło niezgodnie z planem. Jednak jeśli musiałby go użyć, to jeszcze bardziej skomplikowałoby sprawę. Nie chciał nikogo zabić. Nie chciał znów przechodzić przez wyrzuty sumienia i niekończący się strach przed konsekwencjami. Chyba wolałby sam stracić życie. Pewnie i tak byłoby lepiej. Dla niego. I dla Mary. Schował pudełko z powrotem do szafki. Powtórzył sobie w głowie otrzymane od Wilka informacje. Adres, rysopis ofiary... Był gotowy. Zawahał się przez moment, czy nie powinien jeszcze wejść na górę. Zapewnić żonę, że wszystko jest w porządku i że jutro znów wrócą do swoich spraw. Nie chciał się jednak rozżalić, oglądać jej łez czy słuchać naiwnych próśb o ucieczkę. Musiał zrobić to, co mu kazano, i chciał to zrobić szybko.

Mary zerwała się z fotela na dźwięk zamykającego się garażu i podbiegła do okna. Zobaczyła, jak Janek, w czapce, której tak nie znosił, wchodzi do volkswagena i odjeżdża. To będzie o wiele dłuższa noc, niż się spodziewała.

Julian co chwilę zerkał na zegarek. Ewa też.

— Napijesz się jeszcze jednej herbaty? — zapytała wstając z fotela.

— Tak, poproszę. Zadzwoń jeszcze raz, może tym razem... — zadzwonił parokrotnie, lecz telefon nie odpowiadał. Chciał skontaktować się też z Chabrem. Jeśli Berg powiedziałaby komukolwiek o swoich planach, to być może jemu... Ale wydzwanianie do innych policjantów w obecności Ewy dałoby jej wyraźny sygnał, że coś jest nie tak z jej mężem. A czy było? Młody pomyślał, że Berg mógł przecież zwyczajnie potrzebować trochę samotności, drinka na odprężenie albo czegoś takiego. Nazbierało mu się ostatnio dużo stresu, a dzisiaj w Biurze wyglądał na szczególnie przybitego.

Ewa stała przy kuchni. Zaparzała herbatę, ale całą uwagę skupiała na telefonie Juliana. Czy Alan odpowie? Nagle poczuła przeszywające ukłucie w podbrzuszu. Drugi skurcz zgiął ją w pół i wydobył z jej gardła jęk bólu.

— Ewa! — zerwał się Julian. — Co się dzieje?

— Coś jest nie tak... — powiedziała przerażona, wspierając się na ramieniu Juliana. Kolejna fala bólu zwała ją z nóg. — Zadzwoń po karetkę...

Syrena i światła ambulansu rozbudziły śpiącą dotąd głębokim snem ulicę Przy Parku. Ratownicy medyczni wbiegli do domu Bergów i szybko wynieśli z niego Ewę. Podkomisarz nie rozumiał, co się dzieje, widział jedynie, że sanitariusze chcą jak najszybciej dowieźć ciężarną do szpitala. Miał wrażenie, że mknęli przez miasto z pełną prędkością. Jedną ręką trzymał jej zaciśniętą od bólu dłoń, drugą zaś złożył na jej głowie. Pojękiwała przez pół drogi, aż w końcu opadła z sił, jej oczy zamknęły się, a ciało rozluźniło.

— Nie można trochę szybciej?! — krzyknął ratownik w stronę kabiny kierowcy. Detektorem tętna wodził po brzuchu Ewy.

Karetka stanęła tuż pod wejściem na ostry dyżur. Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Dwóch ratowników z kobietą leżącą na noszach biegiem wpadło do szpitala. Julian dotrzymywał im tempa, nie puszczając dłoni Ewy.

— Dalej nie może pan iść! — zarządził lekarz. Ewa zniknęła za skrzydłowymi drzwiami a Julian osunął się ciężko na najbliższe krzesło. Siedział przez moment z głową ukrytą w dłoniach, po czym zrezygnowany wyjął z kieszeni telefon.

Jako profesjonalny przestępca i były policjant zarazem, Janek postanowił uzbroić się w plan A i plan B. Plan A zakładał, że jeśli ofiary nie będzie w domu, Janek spokojnie dostanie się do środka i tam poczeka na powrót domownika, który nie spodziewając się niczego, zostanie obezwładniony chloroformem. Plan B musiał założyć, że mieszkanie nie będzie puste. Janek zaparkował więc przed przypadkową pizzerią i zamówił średnią margaritę na wynos. Dziewczyna przyjmująca zamówienie posłała mu zalotny uśmiech, bo był mężczyzną dość przystojnym, a on odpowiedział, wrzucając kilka monet do puszek na napiwki. Za pizzę zapłacił kartą.

Jadąc dalej, z aromatyczną pizzą na siedzeniu pasażera, poczuł, jak mimo stresu, zaczyna odczuwać głód. „Trzeba było wziąć sushi... Nie kusiłoby zapachem” — pomyślał i zignorował instynkt żołądka. Kiedy zajechał pod wskazany przez Wilka adres, nasączył ścierkę chloroformem, buteleczkę i komplet wytrychów schował do kieszeni i z pizzą w dłoniach, jako osłoną dla jego prawdziwych zamiarów, zadzwonił do domofonu. Po drugiej stronie — milczenie. Zadzwonił więc do sąsiada. Ten odezwał się zaspianym głosem, a Janek pewnie poinformował:

— Dobry wieczór! Pizza!

— Nie zamawiałem.

— Może pomyliłem numer na domofonie. Trzysta osiemnaście?

— Nie, to do sąsiada — odparł mężczyzna i otworzył drzwi budynku. Ten wyposażony był w windę, jednak Janek postanowił wejść schodami, co — niczym bokser przed walką — potraktował jako rozgrzewkę. Nacisnął dzwonek u drzwi. Raz i drugi. Wyteżał słuch, aby wychwycić, czy po drugiej stronie odbywa się jakiś ruch. Nic. Cisza. Odłożył więc pizzę na ziemię i przystąpił do realizacji planu A. Sięgnął po zawiniątko z wytrychami i uważnie obejrzał zamek. Wokół panowała cisza. Dla Janka było to zbawienne i na razie wszystko szło zgodnie z życzeniem. Pogrzebał w głównym zamku, ale ten okazał się otwarty. To górny zatrzaśk był zablokowany. Otwarcie go zajęło włamywaczowi pół minuty. Drzwi ustąpiły i z wnętrza mieszkania do uszu Janka doszła wiązka dźwięków. Wystraszył się przez

moment. Zdał sobie sprawę z tego, że to, co słyszy, to telewizor. Może jednak mieszkanie nie jest puste. Mocniej zacisnął dłoń na ścierce i powoli wszedł do środka. Podążał za dźwiękami, jak się domyślił, serwisu informacyjnego i badał każdy z mijanych pokoi. Wszędzie pusto. Na szczęście. Oznaczało to, że jego ofiara jest samotnym gościem, który nie znosi wracać do pustego, cichego mieszkania, dlatego pozostawia włączony telewizor. Żal — ale to nie pora na sentymynty. Janek zawrócił po pozostawioną na korytarzu pizzę i położył ją na kuchennym blacie. „Trzeba było wziąć sushi” — pomyślał ponownie, uświadamiając sobie, że za chwilę woń rozejdzie się po mieszkaniu i być może zaalarmuje wracającego domownika. Wystawił więc pudełko z pizzą na balkon, żeby uniemożliwić zapachowi roznoszenie się, i po uważnym zbadaniu mieszkania przysiadł w przedpokoju na szafce na buty. Miał stamtąd dobry widok na gadające w pokoju wiadomości. Pozostawało jedynie czekać. Było przed jedenastą.

W siedzibie gangu Rodion wypijał kolejną szklanekę brandy. Wielu pracujących dla niego ludzi załatwiała teraz interesy pod osłoną nocy. Starali się, żeby sprawy wróciły jak najszybciej do normy, kiedy Rodion zmuszony był siedzieć w ukryciu i czekać. Do pokoju wszedł Tarkin. W dłoni trzymał torbę z napisem „Chinese Restaurant”.

— Jezu! Tak tu cicho, że aż uszy bołą.

— Obsłuż się — odparł Rodion, wskazując na stojący pod obrazem Caravaggia gramofon. Tarkin położył torbę z jedzeniem na biurku. Rzucił zachęcające: „Ty też” i kiedy szef zaczął szeleścić foliówką, przykucnął przed adapterem, by przejrzeć okładki winyli. Przyglądał się kolekcji, jakby otrzymane wybory nie były żadnym wyborem. Wysunął dwie płyty i zrezygnowany zapytał:

— Czajkowski czy Prokofjew? Co za różnica w sumie... — odpowiedział sam sobie i puścił płytę w ruch. — Jak poszła rozmowa z Cienkim?

— Przyjął zlecenie, jak każde inne.

— Mhm, na tyle mu ufasz? Zrobi to?

— Jeśli nie, poniesie konsekwencje. Nie jest głupi.

— Jak długo chcesz go jeszcze trzymać? To przecież pies.

— Były pies. Teraz jest bardziej nasz niż ich.

— Gdyby reszta wiedziała...

— Ale nie wiedzą i niech to zostanie między nami.

— Wytłumacz mi, Rodia, bo nie rozumiem. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego nie skasowałeś go zaraz po tym, kiedy się zorientowaliśmy?

— Chciałem go użyć, oczywiście! I zrobiliśmy to przecież nieraz.

— Podejmując duże ryzyko.

— Czyżby? Cienki miał zawsze dużo do stracenia. Ta jego miłość do Marysi... Zresztą zawsze wydawał mi się taki tragiczny. Rozumiesz? Rozdarty

między tym a tamtym. Z każdej strony zagrożony. Chyba mi go żal. Nie śmieję się. Naprawdę!

— Pięknie, pięknie. Ale to nie powieść, Rodia, tylko życie. My też mamy dużo do stracenia i mam nadzieję, że się co do tego chłopaka nie pomyliłeś.

Berg wyszedł ze szpitala, trzymając w dłoni zakrwawioną letnią kurtkę. Zatrzymał się tuż za drzwiami i spojrzał w niebo. Było spokojne, czyste, wypełnione gwiazdami. Wyglądało, jakby świat dopiero co się narodził. Obok stał wielki kosz na śmieci. Wyrzucił do niego kurtkę i udał się do samochodu. Zamknął za sobą drzwi i oparł głowę o kierownicę. Ewa... Powinien do niej zadzwonić. Sięgnął po telefon, ale kieszenie spodni były puste. Rozejrzał się wokół i zobaczył, że komórka leży na siedzeniu pasażera. Kilka nieodebranych od żony, trzydzieści nieodebranych. Młody... Berg westchnął ciężko i oddzwonił.

— Czego chcesz, Młody?

— Chodzi o Ewę. Jest w szpitalu.

Poczuł, że serce przestaje mu bić.

— Banacha? Szpital przy Banacha?

— Ostry dyżur...

Wybiegł z samochodu i wrócił do budynku. Szybkim krokiem przemierzył główny korytarz, aż w końcu dojrzał Młodego, który siedział przed wejściem na salę operacyjną.

— Co się stało? Gdzie ona jest?

— Operują ją. Przyjechałem do ciebie, bo chciałem pogadać. Poprosiła, żebym z nią został. Nagle źle się poczuła.

— Co z nią? Co z dzieckiem?

— Nic nie wiem. Jeszcze nikt nie wychodził z sali... Byłeś akurat w szpitalu? Coś się stało?

— Spotkałem się z Mario przy Słupeckiej. Podjechali mercedesem... Zaczęli strzelać. Mario nie żyje.

— Tobie nic nie jest?

— Nie.

Podczas gdy Młody siedział w milczeniu, Berg kręcił się niecierpliwie po korytarzu. Z każdą minutą czuł, jakby zapadał się w coraz ciemniejszą, gęstą maź. Czekanie zabijało jego system nerwowy. Po godzinie otworzyły się drzwi sali operacyjnej.

— Panowie są rodziną Ewy Berg? — zwrócił się lekarz do policjantów.

— Jestem jej mężem — podszedł do niego Alan.

— Skończyliśmy operację. Pana żona jest w stabilnym stanie. Odkleiło się łóżysko. Niestety, nie byliśmy w stanie uratować ciąży... Bardzo mi przykro.

Lekarz spojrzał na Młodego, jakby dając mu do zrozumienia: „Ten człowiek,

będzie teraz potrzebował wsparcia”. Podkomisarz pomyślał, że jest prawdopodobnie ostatnią osobą na ziemi, od której Berg powinien teraz otrzymać wsparcie. Zasługiwał na kogoś lepszego. Szczerego. Niestety, wokół nie było nikogo innego.

Alan poczuł, jak krew z całego ciała spływa i zapada się w sercu. Zakręciło mu się w głowie. Zemdlaliby, gdyby Młody nie przytrzymał go za ramiona i nie pomógł mu usiąść. Jego ciało opanował nagły chłód. Do oczu napłynęły łzy. Kolega siedział obok, obejmując go ramieniem. W tym momencie wszelkie słowa wydawały się zbędne. Komisarz po raz drugi w życiu doświadczył, jak ból duszy staje się po chwili bólem fizycznym. Czuł się tak, gdy umierał jego brat, a teraz, gdy stracił nienarodzone nigdy dziecko, pamięć tego, niemalże zapomnianego, cierpienia powróciła na nowo.

Ojczy... Ojczy, słyszysz mnie? Straciłem dziś dziecko. Krew z mojej krwi. Kość z mojej kości. Ciało z mego ciała... Ty wiesz, jak to jest. Ojczy, straciłem dziś dziecko. Moje pierworodne... Pozwoliłeś mi umrzeć! Dales mi Boże zapach morskiej bryzy, lekki podmuch wiatru, co musnął mi powieki, i odebrałeś to wszystko nagle, stawiając przede mną pustynię, jałową i martwą. Napelniłeś serce nadzieją i odebrałeś ją. Dales mi radość i wyrwałeś ją z serca raptownie. Dales mi gwiazdę, przyszłość, a teraz wszystko, co widzę, to grób, dno i otchłań... Ojczy, straciłem dziś syna... Czy to moja wina? Czym zawiniłem, że tak mnie karzesz?! Słyszysz?! Czym...?

Dziesięć minut później ciało Alana przestało drżeć. Podeszła do niego pielęgniarka.

— Może pan zobaczyć się z żoną. Zaprowadzić pana? — Przytaknął, wstał i zwrócił się do Młodego.

— Dzięki, że byłeś przy niej.

— Nie ma sprawy. Zostanę jeszcze...

— Wracaj do domu...

Komisarz podążył za pielęgniarką, zostawiając Młodego za sobą. Biały, jasny od jarzeniówek korytarz ciągnął się w nieskończoność.

— Lekarz kazał podać pańskiej żonie coś na uspokojenie. Powinna niedługo zasnąć — powiedziała pielęgniarka. W końcu zwolniła kroku i otworzyła Bergowi jedne z drzwi, prowadzące do pokoju, do którego przewieziono Ewę po operacji.

Leżała na łóżku z głową odwróconą od wejścia. Ból, przez który przeszła w ciągu ostatnich kilkunastu minut, wymalował na jej twarzy nowe rysy. Gdy usłyszała otwierające się drzwi, wolno zwróciła głowę ku nim.

— Alan! — Zobaczyła męża i próbowała unieść się na łóżku. Podeszedł do niej szybko, aby ją powstrzymać. — Nic ci nie jest... — dodała, łapiąc w dłonie jego twarz. — Martwiłam się, że coś...

— Ciii... — Alan przytulił ją mocno. — Tak mi przykro, kochanie... Przepraszam, że mnie nie było, kiedy potrzebowałaś... Przepraszam...

Ewa odsunęła się lekko, by spojrzeć na niego. Przyglądała się mu dokładnie, jakby nie widzieli się od roku lub dłużej. Widział w jej oczach, że jest odurzona lekami.

— Wyglądasz okropnie... — oceniła. Poczwała, jak zamykają się jej oczy. Alan pomógł jej położyć się z powrotem na poduszce. Zasnęła, a mąż delikatnie trzymał ją za rękę.

— Śpi? — zapytała szeptem pielęgniarka, wchodząc do pokoju.

— Tak.

— Będzie spać minimum siedem, osiem godzin. Powinien pan jechać do domu. Odpocząć. Będzie potrzebowała pana w pełni sił rano. Proszę się nie martwić, jest tu pod dobrą opieką.

— Pani będzie na dyżurze?

— Aż do rana. Będę miała na nią oko.

Wiedział, że nie pomoże Ewie, jeżeli sam będzie wykończony. Teraz miał wrażenie, że nie byłby w stanie podnieść do góry nawet kubka kawy. Czuł się, jakby jego ciało miało osiemdziesiąt lat, ociężałe i niezgrabne.

Drugi raz tej nocy wyszedł ze szpitala. Otworzył drzwi samochodu i pomyślał, że niedługo słońce zacznie wychylać się znad horyzontu, gdy usłyszał za plecami swoje imię:

— Alan...

— Chryste, Młody! — obrócił się gwałtownie, wystraszony nagłym najściem. Wszystkie jego zmysły i instynkty były nadszarpnięte. — Mówiłem, żebyś pojechał do domu...

— Muszę z tobą porozmawiać.

— I naprawdę uważasz, że to najlepszy moment?

— Pozwól mi tylko...

— Dobrze! Chcesz rozmawiać? Może zaczniesz więc od tego, kim do cholery jesteś i dla kogo pracujesz?

Młody, zaskoczony pytaniem, zawahał się przez moment. Jednak Berg coś podejrzewał! Tylko skąd? Domyślił się czy ktoś mu o tym powiedział? Czy to, że ktoś spoza zaufanego kręgu odkrył tajemnicę podkomisarza, może jakoś zagrozić misji, którą podjął się wykonać? Nie to było teraz najważniejsze. Chciał powiedzieć partnerowi prawdę, tak czy siak. Milczenie Młodego zaczynało jednak niecierpliwie komisarza.

— Mówisz czy mam cię z miejsca zatrzymać?

— Pracuję dla CBA.

Na to wyznanie Berg, dotąd nastawiony agresywnie, a nawet obronnie, stał się teraz uważny. Splótł ręce na piersi i zaintrygowany przyglądał się Młodemu.

Ten z kolei kontynuował:

— Od kilku lat ktoś sukcesywnie okrada wydział narkotykowy. Wyciąga ze składu skonfiskowany towar i umożliwia mu powrót do obiegu...

Komisarz wyprostował się i położył obie ręce na biodrach. W myślach krzyczał ze złości. Jak to jest możliwe? Jakim prawem towar, który on sam przejął i zneutralizował, trafia jednak z powrotem na ulicę? Zamiast podzielić się z podkomisarzem swoim oburzeniem, oznajmił pretensjonalnie:

— Rozumiem więc, że jestem na waszej liście podejrzanych.

— Z tego, co wiem... jesteś pierwszy na liście departamentu...

— Aha, a na twojej?

— Mam inne typy, które obstawiam. Ja wiem, że to nie ty...

— Tyszka o tym wie? — zapytał wzburzony.

— Tak.

— I kazał mi z tobą pracować?! Nie do wiary...

— Kiedy po raz pierwszy przyszedłem do Biura, ty akurat też do niego wstąpiłeś...

— Minęliśmy się w drzwiach. Pamiętam.

— Tyszka powiedział, że jesteś jedyną osobą w Biurze, za którą może poręczyć głową. Dlatego podpisał mnie do „Szakala”. Nie wiemy, ile osób jest w to zamieszanych, ani na ile są połączeni z gangami narkotykowymi.

Proca potrząsnął głową rozpaczliwie i uśmiechnął się nerwowo. Prawdopodobnie rozbawiła go własna ślepotą. Otworzył szeroko drzwi taurusa i zawahał się.

— Jedno muszę ci przyznać... — powiedział po chwili z obrzydzeniem. — Jesteś kłamca wyborowy! Wychujałeś mnie tak, że nie mam pojęcia z jakim człowiekiem rozmawiam. Brawo! Mam nadzieję, że czeka cię awans. Skurwysyn... — dodał pod nosem.

— Nie chciałem cię okłamywać, ale to moja praca. Dostałem wyraźne wytyczne...

— Po co powiedziałeś mi to teraz?

— Bo teraz wiem, że mogę ci ufać. Nie chciałem dłużej tego ciągnąć...

— Nie pytam o powód! Tylko o cel! Po co? Chciałeś sobie ulżyć, a mnie dobić? Czy to kolejna jebana prowokacja?! Mam się przyznać?! Zgłosić do Biura?! Powiem ci coś, ty łgarzu pierdolony — ja każdego dnia oddaję życie dla tej roboty! Zdrowie i duszę, żeby czyścić ulice z tych mend i bydlaków! Życie, rozumiesz?! A ty mi dupę za plecami obrabiasz?! Donosisz na mnie?! Jezu! Nawet chłopaki ci zaufali. A ja?! Zaprosiłem cię do własnego domu, otworzyłem się przed tobą, kurwa! Nie do wiary... Jebane CBA...

Komisarz wsiadł do samochodu i przetarł dłonią zmęczony oczy. Młody bał się odezwać, widział, że ma do czynienia z człowiekiem załamany. I sam

przyłożył rękę do jego stanu. Nade wszystko chciał mu jeszcze powiedzieć o towarze, który tak naprawdę ani nie wrócił do Wilka, ani nie przepadł bez śladu, ale kiedy tylko otworzył usta, Berg mu przerwał:

— Uwierz mi, Młody, na dziś mam serdecznie dosyć niespodzianek. Muszę zadzwonić do siostry Ewy... — Odpalił silnik. — Pamiętasz, powiedziałem ci o moich dwóch przykazaniach w tej robocie? One są dla mnie święte, a ty złamałeś je oba. — To powiedziawszy, odjechał.

Młody stał na parkingu sam, zawiedziony tym, jak potoczyła się rozmowa. Wyobrażał sobie, że będzie ciężka, ale nie aż tak. Chciał powiedzieć Bergowi o towarze, lecz nie zdążył dojść do tematu. Dzisiejszej nocy tyle się wydarzyło. Mario, dziecko i teraz też to... Może Młody, ujawniając prawdę, rzeczywiście chciał bardziej ulżyć samemu sobie niż komisarzowi... Poczekaj ze szczegółami do jutra. Teraz muszą odpocząć. Wszyscy. Włożył ręce do kieszeni i mimo że był niewyobrażalnie zmęczony fizycznie, postanowił wrócić do domu na pieszo, fundując sobie tym samym ponadgodzinny spacer. Adrenalina dodawała mu energii. Za dużo myśli chodziło mu po głowie, za dużo wątpliwości i emocji. Musiał oczyścić umysł.

Berg zatrzymał się na światłach. Czerwona smuga obmywała jego twarz. Był wściekły. Na wiele rzeczy, ale teraz w szczególności na fakt, że towar wraca na ulicę. I po co cały ten trud? Ryzyko, zapierdalenie od świtu do nocy? Praca w weekendy i święta, kiedy powinien być z żoną? Po co cały ten cholerny stres, nieuległość i nieprzekupność. Gdyby chociaż brał w łapę, staliby lepiej finansowo... Jezu! Czy on naprawdę był aż tak ślepy, że nie zauważył, co dzieje się tuż pod jego nosem?! W napadzie złości uderzył trzy razy, pełną siłą w kierownicę. Wyszedł z wozu i skopawszy przednią oponę poczuł napływające do oczu łzy. Nienawidził tego stanu, kiedy nie panował nad sobą! Za jego plecami rozległ się dźwięk klaksonu, naciśniętego przez zniecierpliwionego kierowcę. Wskazał Bergowi dłonią na zielone światło, na co komisarz wrzasnął:

— Zaraz, kurwa! Objedź, jak ci się spieszy! — Kierowca objechał go, pokazując środkowy palec. Komisarz oparł się rękoma o wóz i próbował uspokoić nerwy. Wziął kilka głębokich oddechów, po czym wsiadł do samochodu. Wracał do domu całkowicie wyprany z emocji. Nie czuł już złości, żalu, rozczarowania, smutku ani wstydu. Był wewnętrznie pusty. Każda sfera jego życia wiała porażką. Chociaż wiedział, że ludzka egzystencja nie zna ślepych zaułków, a jedynie zakręty, czuł, że od tego dnia nic nie będzie już takie samo. Może sprawy się wyprostują, może rozwiążą, emocje opadną, ale coś zostanie zmienione. Wilk uciekł, towar zniknął, Ewa niemalże nie straciła życia, a dziecko... Komisarz próbował skupić się na jeździe, nie myśleć o tym wszystkim. Jego umysł nawet nie wiedział, na której myśli się zatrzymać, nad czym się najbardziej uzalić. A Młody? Kim w ogóle był ten człowiek? Czy wszystko to, co Berg o nim wiedział, było

kłamstwem? Czy Młody cały czas udawał? Nie... Berg przestał ufać swoim myślom. Wiedział, że jego zmęczony umysł nie będzie teraz analizował spraw ani racjonalnie, ani logicznie. Trzeba to wszystko zostawić. Przynajmniej do jutra.

+

ROZDZIAŁ DWUNASTY

CZYŚCIEC

Czas wydawał się stać w miejscu. Gdyby nie migające w telewizorze obrazy, Janek prawdopodobnie zasnąłby w oczekiwaniu na powrót domownika. Zdążył się już zirytować wiadomościami, zrelaksować domową atmosferą i znudzić siedzeniem w miejscu. Usłyszawszy szmery za drzwiami, rozbudził się nagle i poczuł przypływ adrenaliny do krwi. Ofiara otworzyła drzwi i weszła do środka. Janek gwałtownie zatrzasnął skrzydło ramieniem i z całej siły zacisnął szmatkę na twarzy mężczyzny. Ten walczył zawzięcie, próbując się uwolnić. Pchnął napastnika na ścianę, ale ten okazał się silniejszy. Ani na moment nie rozluźnił

uścisku. Mężczyzna w końcu poczuł, jak miękną mu nogi, jak pulsują ciepłem. Potem poczerniało mu w oczach, nastąpiło silne uderzenie w bark (prawdopodobnie o futrynę drzwi), a potem już nic.

Janek złapał głęboki oddech, próbując uspokoić roztrzęsione z nerwów i fizycznego napięcia ręce. Jego ofiara leżała już nieprzytomna na podłodze. Przyjrzał się dokładnie jego twarzy i upewnił się, że ma przed sobą właściwą osobę. Agent CBA — Juliana Sikorskiego. Podniósł go z podłogi i wywłókł z mieszkania. Sprawnie, choć nie bez wysiłku, załadował go na tył wana. Opaskami zaciskowymi skrępował mu dłonie za plecami i nogi. „Pizza!” — przypomniał sobie, wychodząc z bagażnika. Jeśli dobierze się do niej policja, znajdą pudełko z adresem pizzerii, a stamtąd już krótka droga do danych z jego karty płatniczej! „Głupi, głupi!”. Upewnił się jeszcze, że więzy na kończynach Młodego są dobrze zaciśnięte. Dodatkowo przywiązał go do haka, do którego zazwyczaj mocował transportowane towary i wyposażenie kawiarni, po czym zakleił mu usta srebrną taśmą. Pędem wbiegł do mieszkania, chwycił pudełko z jedzeniem i równie szybko wracał do wozu. Po drodze minął trzy osoby, które całkiem go zignorowały. Uświadomił sobie, że tej nocy miał naprawdę dużo szczęścia. Ułożył margaritę ponownie na siedzeniu pasażera i spojrzał na leżącego z tyłu Młodego. Wciąż był nieprzytomny.

— Przykro mi, że tak się sprawy potoczyły, panie Sikorski, ale niestety nie miałem wyboru — powiedział Janek, odpalając silnik. — Pewnie gdybyśmy poznali się w innych okolicznościach, jakieś pięć, sześć lat temu, zostalibyśmy przyjaciółmi. Ma pan naprawdę dobrą kolekcję płyt...

Sięgnął po kawałek zimnej pizzy. „Jak dobrze, że nie wziąłem sushi” — pomyślał.

Słońce zaczynało rozrzucać czerwone ramiona po ziemi. Volkswagen jechał już poza miastem od pół godziny. Młody zaczął powoli dochodzić do siebie. Podłoże pod nim dygotało irytująco, ciało miał lepkie od potu, a głowa bolała go tak, jakby upijał się przez całą noc. Leżał na tyłach jakiegoś wana. Oprócz niego w samochodzie był tylko kierowca, który właśnie zerknął w jego stronę.

— Obudziłeś się! Dobrze... Cieszę się, że nie odjechałeś za bardzo. Zdarza się, że ludzie mają po chloroformie ciężkie jazdy, ale uważam, że to nadal bezpieczniejsze niż ogłuszanie ciosem w głowę. Choć pewnie i tak głowa ci pęka... Chcę, żebyś wiedział, że to nic osobistego. Gdybym mógł, nie zbliżyłbym się do ciebie nawet na kilometr. Jakoś ciężko znoszę towarzystwo psów. Chociaż ty robisz w antykorupcyjnym podobno! Nie jest więc tak źle. Mógłbym nawet sypnąć ci paru, których przydałoby się przeświecić. Uwierz mi, gdyby to zależało ode mnie, siedziałbyś teraz w domu. Niestety, czasami musimy robić rzeczy, na które wcale nie mamy ochoty. Moje ręce i wola są związane przez Vlatica, Wilka czy

Szczura, jak go niektóre psy nazywają. Do niego cię zawożę. Choć podejrzewam, że nie chodzi bezpośrednio o ciebie. On chce w końcu pozbyć się Procy. Nie rozumiem tylko, dlaczego nie zrobi tego ot tak, po prostu. Choć cieszę się, że to nie Proca leży teraz w moim samochodzie. Bez urazy...

Janek nie wiedział, czy gada teraz bardziej do siebie, czy jednak coś dociera już do Młodego. Miał bowiem do powiedzenia mu coś jeszcze, co chciał, żeby Młody dobrze usłyszał i zrozumiał. Zatrzymał samochód na poboczu. Sięgnął po butelkę wody, leżącą pod siedzeniem, i przecisnął się między fotelami na tył wana. Pomógł Młodemu usiąść, bez ceregieli zerwał mu z ust taśmę i dostawił butelkę do ust.

— Pij!

Podkomisarz wziął kilka porządnych łyków i z każdym z nich czuł pragnienie coraz bardziej. Chloroform całkiem wysuszył jego organizm. Janek delikatnie klepnął go w polik, upewniając się, że Młody jest świadomy.

— A teraz słuchaj mnie uważnie! Niedługo będziemy na miejscu. Jeszcze jakieś dwadzieścia minut. Zawożę się do jednej z nor. To stara fabryka, trzydzieści pięć kilometrów od Warszawy. Jeżeli jakimś cudem udałoby ci się uciec, masz dwie drogi. Samochodem, szosą — dwa kilometry prosto, potem w lewo na drodze głównej, dalej łatwo do miasta. Albo tuż za fabryką płynie Narew — idealny sposób na pozbycie się towaru w razie nalotu, ale nigdy jeszcze nie wykorzystany; na brzegu stoi łódka. Pij jeszcze! — Młody wziął kilka łyków, po czym Janek zakleił mu ponownie usta. — Możesz też uciekać w las, ale tam łatwo stracić orientację. Nie wiem, jak to zrobisz, i szczerze wątpię, czy w ogóle będziesz miał okazję się wydostać. Mówię ci to chyba po to, żeby złagodzić własne wyrzuty sumienia. Dla ciebie to i tak nie ma znaczenia, co? Powodzenia!

Ruszyli dalej. „Już niedługo będzie po wszystkim” — powtarzał sobie w myślach Janek. Już niedługo wróci do Mary i znów będzie trudnił się parzeniem kawy i realizowaniem drobnych zleceń dla gangu.

Podobnie jak noc, dzień zapowiadał się bezchmurny i temperatura podnosiła się z minuty na minutę. Zza drzew zaczęły wyłaniać się fabryczne budynki. Kiedy się do nich zbliżyli, Janek zauważył kilku ludzi, siedzących na zewnątrz.

— Już czekają na nas, te hieny... — Nie widział wśród nich Wilka. Pewnie zadzwonią po niego później. Rozpoznał jednak Szczene, Borysa i sześciu innych chłopaków. Postanowił nie podjeżdżać zbyt blisko. Zaparkował sto metrów od nich. Znów przecisnął się do Młodego. Nożem wyswobodził mu nogi i odwiązał skrępowane dłonie od haka mocującego. Spojrzał Młodemu w oczy, jakby jeszcze chciał mu coś powiedzieć, ale wydobył z siebie jedynie:

— Zaczynamy.

Mocny snop światła wypełnił wnętrze wana, kiedy Janek otworzył drzwi od środka. Trzymał mocno Młodego za ramię i prowadził w stronę gangu. Chłopaki

ożywili się na widok Janka i nowej karty przetargowej. Wyszli im naprzeciw. Trzech z nich od razu przejęło Młodego i ruszyli z nim ku drzwiom, prowadzącym do fabryki. Tymczasem Szczena, Borys i trzech innych zostali przy Janku. Borys patrzył na niego spokojnie i nawet lekko się uśmiechał. To jednak Szczena odezwał się pierwszy:

— Dobra robota. Nie myśleliśmy w sumie, że dasz radę, ale wychodzi na to, że szef ma zawsze rację.

— Ewidentnie — odparł Janek. — Chłopaki, to była bardzo długa noc, pozwolicie, że wrócę już...

— Tak, tak, oczywiście — przerwał mu Szczena, a inni przytaknęli na zgodę. — Chcieliśmy ci tylko pogratulować.

— Dzięki — odparł niepewnie Janek. Dodał jeszcze „do zobaczenia” i ruszył w stronę samochodu.

— Cienki! — dobiegł go głos Borysa, odwrócił się więc ku gangsterom. — Rozmawiałem z szefem i powiedział, że nie ma nic przeciwko! — mężczyzna wyciągnął broń. Na jej widok Janek, próbując uciekać, wykonał kilka spazmatycznych kroków w tył, ale było już za późno. Borys oddał trzy strzały, z czego jeden dosięgnął Janka, powalając go na ziemię. Postanowili, że tak go zostawiają.

— Niech zdycha jak pies — wypluł z siebie Szczena.

Janek czuł gorące pulsowanie w prawym boku brzucha. Nie był w stanie ocenić, ile razy oberwał ani jak poważnie. Wiedział tylko, że żyje i dopóki tak jest, nie podda się. Mary, musi myśleć o Mary... Zorientował się, w którym kierunku stoi samochód. Kluczyki zostawił w stacyjce. Musi jechać dwa kilometry szosą, potem w lewo na trasie... Wstał i chwiejnym krokiem, lecz najszybciej jak mógł, ruszył do samochodu. Borys obejrzał się za siebie, żeby jeszcze raz upoić się widokiem swojego osiągnięcia.

— O żesz, kurwa! — zaklął, plując sobie na brodę, i ponownie wymierzył w Janka. Szczena powstrzymał jego zamiar. Spokojnie patrząc, jak ranny ledwo powłóczy nogami, powiedział:

— Zostaw. Zdechnie zanim dojedzie do najbliższego miasta.

— A jak psy będą węszyć...?

— To jeden z nas. Psy nie kiwną palcem. Swoją drogą, zawsze byłeś chujowym strzelcem.

Trzech gangsterów prowadziło Młodego ku tylnemu wejściu do fabryki. Gdy powietrze przeciął huk trzech wystrzałów, drgnęli i obejrzel się za siebie. Młody, niewiele myśląc, uznał to za okazję. Z całej siły pchnął barkiem jednego z oprawców, a drugiemu przyłożył głowę między nosem a oczami. Rzucił się pędem do ucieczki, rozglądając się za wspomnianą przez Janka łódką. Związane

ręce utrudniały bieg i Młody powoli zaczął zdawać sobie sprawę z beznadziejności sytuacji, w której się znajduje. Jedyne nietknięty przez niego gangster uniósł ku niemu broń.

— Nie! — wrzasnął na niego drugi, który wcześniej otrzymał cios barkiem. — Szef chce go mieć żywego!

Wszyscy trzej rzucili się w pogoń, jak wygłodniałe bestie. O dziwo, jako pierwszy dopadł Młodego gangster z zakrwawionym nosem. Powalił go na ziemię i mówiąc: „Tak chcesz ze mną zatańczyć?”, sprzedał mu mocny lewy sierpowy. Podkomisarzowi zadźwięczało w uszach i chyba na moment stracił przytomność, bo następne, co pamiętał, to widok zardzewiałych drzwi, prowadzących do wnętrza fabryki.

Volkswagen pędził znacznie szybciej niż powinien z uwagi na stan jego kierowcy. Janek trzymał prawą rękę na kierownicy, a lewą próbował uciskać ranę postrzałową. Z ulgą stwierdził, że nie podąża za nim żaden pościg. Prawie żaden. Uciekał przed najniebezpieczniejszym teraz wrogiem — czasem. Krew ściekała mu między palcami. Jęknął z bólu i dotknął dłonią pleców — znalazł tam kolejną ranę. Kula przeszła więc na wylot. Przynajmniej tyle... Miał nadzieję, że penetrując jego ciało, ominęła wszystkie istotne narządy. Opanowało go gorące, palące wręcz uczucie, przez moment pociemniało mu w oczach i usłyszał przeciągający się pisk. Uderzył się ręką w głowę, żeby nie odpłynąć i szeroko otworzył oczy. Musi jechać dalej. Musi wrócić do domu. Trasa trwała w nieskończoność. Przypomniawszy sobie swoich rodziców, obdarzone kolano po pierwszej próbie jazdy rowerem, matkę tulącą go do snu i ojca, który tłumaczył, jak prawidłowo nakładać przynętę na haczyk. Miał przed oczami siostrę, która nalegała, żeby zamiast do szkoły policyjnej, wyjechał z nią na studia zagraniczne. Widział Mary. Zobaczył ją roześmianą pośród rozbawionego na koncercie tłumu. Miała wtedy blond włosy, a z jej twarzy zawsze promieniowała bez troska i szczęście. Nigdy nie zapomniał ich pierwszej wspólnej nocy. Jaka była wtedy bezbronna i poddana jego woli. Chciał ją wziąć mocno, z pełnią pożądania i agresji, ale bał się, że dziewczyna rozpadnie się w jego ramionach. Była tak delikatna, tak krucha. Pamiętał, jak zaczynała twardnieć, dzieląc z nim życie, jak nauczyła się zachowywać spokój w obecności policjantów i gangsterów. Prosiła błagalnie, żeby nie brał tego zlecenia, żeby nie wchodził między wilki. Ostrzegała, że to może być droga bez powrotu. Ciepło jej drżącego ciała, kiedy zapewniała, że nigdy go nie opuści, nawet jeśli przyjmie tę pracę. Jej oczy. Jej piękne niebieskie oczy... Pachnące lawendą i miodem włosy... Ciało nasączone życiem...

Mary przygotowywała lokal do otwarcia. Ekspres do kawy był już dawno nagrany, stoliki przystrojone kwiatami. Przeciągała jednak ten proces. Janek nie

wrócił jeszcze do domu, co odbierało jej dech i podnosiło tętno. Pamiętała jednak, co zawsze powtarzał: „Nieważne, co się stanie, zawsze masz otwierać. Chcę czuć, że po każdym zleceniu wracam do naszej normalności”.

Czwartek, ósma rano. Alan przespał tej nocy zaledwie parę godzin. Wziął szybki prysznic, po czym pojechał z powrotem do szpitala. Siedział teraz na krześle obok łóżka. Obserwował żonę. Była spokojna. Spała. Widocznie miała dobry sen. O wiele lepszy od rzeczywistości, która tu na nią czekała, która miała ją zaatakować smutkiem i rozczarowaniem zaraz po przebudzeniu. Gdy zauważył, że Ewa powoli wychodzi ze snu, od razu przesiadł się na materac. Nie wiedział, jak najlepiej się z nią przywitać. „Dzień dobry” nie byłoby na miejscu. Przecież na pewno nie będzie to dobry dzień. „Cześć” wydało się pozbawione wszelkiej wrażliwości. Najlepiej będzie, jeśli się nie przywitają i płynnie przejdą od dnia do dnia, jakby noc nigdy się nie wydarzyła...

— Długo spałaś, kochanie.

— Miałam mocny sen.

— To dobrze... Szpitalna kuchnia nie wydaje frykasów, ale mogę ci załatwić cokolwiek, na co masz ochotę.

Spojrzała na niego przez moment. Zobaczył w jej oczach wielki ból i żal, potem spuściła wzrok i błędząc nim po podłodze, odparła:

— Nie jestem głodna... Raczej jeszcze zmęczona.

— Przywiozłem ci trochę rzeczy z domu.

Nie odpowiedziała. Jej warga zadrżała lekko, więc Alan położył dłoń na jej ramieniu. Chciał powiedzieć jej kilka słów otuchy, że przejdą przez to razem, że wszystko będzie dobrze, ale ona wzdrygnęła się i szybko powiedziała:

— Wiesz, może jednak przynieś mi coś do jedzenia.

— Dobrze. To zaraz wrócę.

Miał mieszane uczucia. Z jednej strony chciałby nie opuszczać Ewy na krok. Dbać o nią, towarzyszyć, przytulać i łagodzić jej cierpienie. Z drugiej jednak z ulgą przyjął myśl o wyjściu z pokoju. Czuł się winny. Winny wszystkiemu. Poszedł do szpitalnej stołówki, gdzie otrzymał dla Ewy porcję śniadania. Kiedy wrócił, znowu spała. Odstawił więc jedzenie na szafkę obok łóżka i wyszedł z budynku. Musiał się przewietrzyć.

Świat nie rozumiał, nie wspierał przygnębionego nastroju, który rozpierał umysł i serce komisarza. Świeciło słońce, ptaki śpiewały poranne hymny pochwalne. Tym dziwniej czuł się Berg. Chyba byłoby lepiej, gdyby pogoda była szara i deszczowa. Bardziej adekwatna i właściwa. Wtedy wydawałoby się, że świat ma sens i porządek. A tak? Wszelkie nieszczęście wydawało się nienaturalne, pozbawione sensu. Pomyślał o Rodionie, towarze, który nie wiadomo gdzie się podział, narkotykach wyprowadzanych z policyjnego składu, śledztwie CBA...

Wszystkie niezłatwione sprawy... Musi odsunąć je teraz na bok. Postawić Ewę na pierwszym miejscu. Gdyby zeszłej nocy coś jej się stało, gdyby ją stracił, nigdy by sobie tego nie darował.

Kiedy wrócił i otworzył drzwi szpitalnej sali, Ewa płakała w objęciach swej siostry. Zadzwoił do niej ostatniej nocy. Klara była starsza od Ewy o sześć lat. Wychowywały się w bliskich relacjach. Starsza siostra uczyła młodszą o życiu, wartościach, chłopakach... Była dla niej przyjaciółką i wzorem przez wiele lat. Ich osobowościowe drogi nieco się rozeszły, gdy Ewa poznała Alana. Klara nie żywiła do niego niechęci. Nic z tych rzeczy. Podziwiała go i szanowała. Obawiała się jednak, że jego zawód będzie kosztował siostrę zbyt wiele stresu i łez. Nie myliła się. Ewa, choć żaliła się rzadko, nie umiała ukrywać obaw i niepewności. Siostra ciągnęła ją wtedy za język, ta się wyplakiwała, dziękując Bogu za wyrozumiałość, nieoceniającą siostrę. Klara pragnęła szczęścia dla nich obojga, choć nieraz dała Alanowi do zrozumienia, że — w jej opinii — szczęście jego i Ewy nie zrodzi się pod jednym dachem.

Mąż Klary, Marcin, stał przy oknie. Gdy do pokoju wszedł komisarz, mężczyzna spojrział na niego rozżalonymi oczami. Podszedł i klepiąc go po ramieniu, powiedział, jak bardzo mu przykro... Berg nie wątpił w szczerość współczucia, ale wiedział też, że Marcin nie zdaje sobie sprawy z tego, co on i Ewa czują, przez co przechodzą i będą przechodzić przez najbliższy czas. Może nawet przez całe życie. Klara i Marcin nigdy nie chcieli mieć dzieci. Postanowili, że lepiej będzie dla szczęścia ich obojga, jeśli pozostaną pracowici, spontaniczni i bezdzietni. Z Ewą i Alanem było inaczej. Ona chciała dziecka, od zawsze. Na początku nie była pewna, czy Alan jest tym, z którym chciałyby je mieć. Kiedy zdała sobie sprawę, że nie wyobraża sobie życia bez męża, pogodziła się z faktem, że potomstwa nigdy nie będą mieli, bo byłoby to dość nierozsądne. Uważała, że jego profesja stawiałaby rodzinę w zbyt dużym niebezpieczeństwie. Bała się o jego późne powroty do domu, o ciągłą nieobecność fizyczną lub mentalną. Bała się o samą esencję zawodu, o ryzyko, które za sobą niesie. Przez lata małżeństwa ignorowała prośby Alana, który dziecka bardzo pragnął. Chciał być ojcem, chciał być dobrym mężem. Dla niego powroty do żony rekompensowały trud dnia. Gdyby jeszcze mieli dziecko... Byłby najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Przez rozległe okno kawiarni Mary zobaczyła, jak granatowy wan stanął pod garażem. Nie wjechał do środka, nawet nie wykonał manewru parkowania. Po prostu zatrzymał się na podjeździe. Wybiegła Jankowi na spotkanie. Gdy go tylko zobaczyła, zrozumiała, że powinna bardziej na niego naciskać, żeby w to nie wchodził, żeby wyjechali, cokolwiek, tylko nie to. Teraz było już za późno. Janek oparł się o maskę samochodu. Jego mokra od potu twarz przerażała trupią bladością. Koszulę miał przesiąkniętą krwią.

— Obiecałeś, że już nigdy więcej! — warknęła Mary, pomagając mu dowlec się do środka. Zamknęła drzwi na zamek. Janek usiadł na krześle obok kasy, a Mary chwyciła słuchawkę telefonu, lecz mąż powstrzymał ją, mówiąc:

— Ja zadzwonię po karetkę. Biegnij na górę po apteczkę. Trzeba coś z tym zrobić, zanim przyjadą...

Zawahała się przez moment, po czym przekazała mu telefon. Ze względu na ryzyko, które niosła za sobą nieoficjalna praca Janka, jego apteczka była dobrze zaopatrzona. Wiedział, że za chwilę Mary poda mu zastrzyk morfiny i ból częściowo ustąpi. Jeszcze chwila... Otworzył szufladę pod kasą i wyjął z niej wizytówkę otrzymaną od Berga.

Zmusił się, żeby brzmieć jak najbardziej normalnie, a przede wszystkim wyraźnie.

— Halo?

— Muszę się przyznać do paru rzeczy, Proca...

— Janek? Cieszę się, że zadzwoniłeś. Mogę być u ciebie za pół godziny.

— Chyba nie mam niestety aż tyle czasu.

— Daj mi dwadzieścia minut.

— Lepiej porozmawiajmy teraz.

— Przyjadę — uparł się komisarz, zrywając połączenie. „Dwadzieścia minut to chyba jeszcze pociągnę” — pomyślał Janek, gdy usłyszał dudnienie schodów pod szybkimi krokami Mary. Wracła z apteczką.

Berg rozłączył się i wrócił do sali, w której Klara namawiała siostrę do zjedzenia śniadania. Ewa od razu poznała po nim, że wydarzyło się coś, co zmuszało go do odejścia. Znała ten wyraz twarzy bardzo dobrze. I rozumiała jego znaczenie i ważność.

— Powinieneś jechać.

— Jesteś pewna? — zapytał, choć wiedział, że Ewa nie będzie go zatrzymywać.

— Jedź. Jestem w dobrych rękach. Tylko uważaj na siebie...

Ucałował ją na pożegnanie i wyszedł. Zdawał sobie sprawę, że po jego wyjściu rozpocznie się zacięta rozmowa na jego temat. Klara powie Ewie, że powinna być bardziej egoistyczna, że to niezrozumiałe, dlaczego w takim momencie on wychodzi, co może być na tyle ważne?

Sam nie wiedział, o co dokładnie chodzi. Ale jeśli Janek zdecydował się na telefon i rozmowę, musiało się coś wydarzyć. Coś poważnego. Tak, miał się odseparować chociażby na kilka dni od pracy, ale musiał się przecież czymś zająć! Ewa ewidentnie go unikała, wypychała go subtelnie, nawet nie patrzyła mu w oczy! Prawdopodobnie czerpała teraz więcej komfortu z towarzystwa swojej siostry niż z jego... Kiedy doszedł do samochodu, jego telefon zadzwonił

ponownie. Spodziewał się usłyszeć po drugiej stronie Janka, bo, tak jak poprzednio, komórka wyświetliła numer zastrzeżony.

— Tak?

— Witaj, Alan — odezwał się głos znacznie bardziej zachrypnięty od głosu Janka.

— Kto mówi? — zapytał komisarz, chyba tylko po to, by zachować pozór dystansu. Doskonale wiedział, do kogo ten głos należy. Ostatnim razem słyszał go wiele lat temu i już wtedy wiedział, że umysł nigdy nie pozwoli mu go zapomnieć.

— Powinieneś bardziej ufać swojej intuicji, komisarzu.

— Rodia... Jak miło, że dzwonisz... — odchrząknął i rozejrzał się wokół, zastanawiając się, czy nie jest obserwowany.

— Czyżby? Tak miło?

— Wiesz, dzięki tobie nie grozi mi bezrobocie.

— Ja też mam ostatnio przez ciebie pełne ręce roboty! Wiesz, ilu ludziom musiałem się tłumaczyć ze straconego towaru? Dorobiłeś sobie wielu nowych wrogów do kolekcji.

— Czuję się zaszczycony.

Berg ogromnie żałował, że nie znajdował się teraz na posterunku, że nie ma przy nim Mazura, który mógłby namierzyć ów telefon. Podejrzewał jednak, że Rodion zapobiegawczo dzwoni z aparatu satelitarnego — o wiele trudniejszego do namierzenia.

— Dlaczego dzwonisz, Rodia? — dodał, gdy rozmówca przestał się śmiać.

— Chciałem się z tobą podzielić refleksją i pogadać z kimś, kto mnie dobrze zna i rozumie.

— Myślisz, że ja cię rozumiem?

— Wiele razem przeszliśmy, Alan! I wnioskuje to po twoim ciągłym siedzeniu mi na ogonie. Może mógłbym cię nawet pozwać do sądu za prześladowanie?

— W dzisiejszym świecie może to nawet możliwe.

— Dużo ostatnio myślę o Maksie — wyznał Rodion zmienionym tonem. Berg mógłby go ostrzec, że poruszając ten temat, wchodzi na grząski grunt i ryzykuje, że zostanie uduszony przez słuchawkę, ale ugryzł się w język i zamiast tego zapewnił:

— On ci bardzo ufał... Zaufali ci też inni młodzi chłopcy, którzy we wtorek oddali życie za twoje narkotyki.

— Daj spokój, Alan! Byli dobrze opłaceni i zdawali sobie sprawę z ryzyka. To ty możesz ich mieć na sumieniu, nie ja. A skoro poruszyłeś już temat zaufania... Na tobie też polega wielu ludzi, prawda? Niestety, wiesz, że czasami nie oddają ci tym samym i zawodzą, kłamią, oszukują...

— Do czego zmierzasz?

— Ty mi powiedz, Alan. Co mam zrobić z agentem Sikorskim?

Berg nie był pewny, czy dobrze usłyszał. Naprawdę Rodia zadał mu to pytanie? Przecież jeszcze kilka godzin temu, na tym samym parkingu, na którym teraz stał, usłyszał od Młodego prawdę i wykrzyczał mu prosto w oczy, co o nim myśli.

— Wnioskuje, że jesteś zaskoczony moim pytaniem. Ujmę to inaczej. Agent Sikorski zaszczycił mnie dzisiaj swoim towarzystwem. I brzydę się tym jego kłamstwem wobec ciebie. Zaufałeś mu, a on obrabiał ci dupę za plecami. Bardzo nie lubię czegoś takiego. Dlatego też Mario zapłacił wczoraj najwyższą cenę za brak lojalności wobec mnie. Przy okazji, przykro mi, że znalazłeś się na linii strzału — tego nie przewidziałem, a chłopaki nie przebierają w środkach i nie są zbyt subtelni... Ale przechodząc *ad rem*... Poddaję dzisiaj Sikorskiego próbie — podobnej do tej, której nie przetrwał twój brat, choć o wiele bardziej opracowanej. Przez lata nauczyłem się, jak odpowiednio dozować dawki, żeby polepszyć efekty i zmniejszyć ryzyko zawału serca w pierwszej dobie próby. Tak, że ma szansę. Pod warunkiem, że do nas dołączysz. W porę...

— Dlaczego, Rodia? Dlaczego robisz to w ten sposób? Po co mieszasz w to Młodego?

— Robię to dla ciebie, Alan! Nie udało ci się ocalić Maksa i masz teraz drugą szansę. Szansę na odkupienie!

— Jeśli przyjadę, zabijesz nas obu.

— Jeśli nie przyjedziesz, Sikorski umrze na pewno. Jeśli nie z przedawkowania, to od kuli w łeb. Rozumiesz? Jeśli przyjedziesz wystarczająco szybko — on prawdopodobnie przeżyje... Ocalenie! Później ty poddasz się próbie — to będzie twoje odkupienie. Alan, wiele lat na to czekałem, nie zawieź mnie!

— Gdzie mam przyjechać?

— Chyba nie sądziłeś, że będzie aż tak łatwo?

Głos Rodiona zastąpiła głucha cisza. W głowie Berga tłoczyło się milion myśli, a w sercu tona uczuć. Poczucie winy mieszało się ze złością, żalem i strachem. Znajdował się teraz na przegranej pozycji i choć wiedział, że w tych policyjno-gangsterskich grach wszystko może ulec szybkiej zmianie, pozytywne perspektywy wydawały się znikome. Jak najszybciej musiał dostać się do Janka i wydusić z niego, choćby siłą, gdzie znajduje się Wilk. Jednak Janek sam go wezwał, albo więc ruszyło go sumienie, albo Berg wpadnie w najgłupszą pułapkę na świecie.

Piętnaście minut temu Maria podała Jankowi dawkę morfiny. Odczuwał już jej działanie. Przez jego ciało przeszło uczucie odprężenia, ból ustawał, a w jego miejsce pojawiała się senność. Był za słaby, żeby wspiąć się schodami do mieszkania, więc Maria kazała mu położyć się na zapleczu.

Usiadła obok i pilnowała, aby nie zasnął do przyjazdu karetki, po którą wierzyła, że zadzwonił. Z każdą minutą coraz mniej przypominał jej ukochanego Janka. Nie był już tym silnym, pełnym życia i humoru mężczyzną, który zawładnął jej sercem. Był bezbronny, słaby, zdany wyłącznie na nią. Teraz to ona musiała go chronić. Ucisnęła bandażem obie jego rany, zdjęła lepka od krwi koszulę, otarła kurz z jego twarzy i delikatnie gładziła mokre od potu włosy. Przysięgła sobie i Bogu, że jeśli Janek przeżyje, już nigdy, przenigdy nie pozwoli mu odejść. Wyjadą razem daleko, gdzie nikt ich nie znajdzie, nikt ich nie skrzywdzi.

Rozległo się nagłe walenie do drzwi kawiarni. Maria zerwała się, by otworzyć. Zaskoczona, spostrzegła za szybą Berga. Pragnęła zawrócić, schować się z Jankiem na zapleczu i udawać, że ich nie ma, lecz on już ją zauważył i podpierając ręce na biodrach, czekał aż wpuści go do środka. Mary tylko lekko uchyliła drzwi.

— Gdzie on jest? — ostro zapytał komisarz. Biło od niego zniecierpliwienie i wściekłość. Mary odpowiedziała łagodnym, lecz zdecydowanym tonem:

— To nie jest najlepszy moment, Alan...

— Przecież sam do mnie zadzwonił!

Zmieszała się i już miała odpowiedzieć, że nie ma pojęcia, o czym on mówi, kiedy usłyszała za plecami słaby głos Janka.

— W porządku, Mary. Zadzwoniłem po niego.

Berg dostrzegł go w drzwiach prowadzących do zaplecza. Wyglądał jak cień człowieka lub nocna zjawa otoczona łuną światła. Coś nie było z nim w porządku, więc spuścił z tonu. Mary wpuściła komisarza do środka i ponownie zamknęła drzwi na zamek. Rozejrzała się zniecierpliwiona po ulicy.

— Gdzie jest ta karetka?

— Mogło się zdarzyć, że zapomniałem zadzwonić — wysapał Janek. Nie wezwał ambulansu, ponieważ chciał mieć pewność, że Berg dotrze do niego pierwszy, że zdążą porozmawiać w spokoju. Osunął się. Policjant przytrzymał go i wprowadził na zaplecze.

— Nie pozwól mu wstawać — rozkazała Mary. — Dostał morfinę i znowu udaje bohatera — powiedziała już ze łzami w oczach i wezwała karetkę. Janek położył się na małej, wąskiej kanapie, a komisarz usiadł na krześle obok i nachylił się nad rannym.

— Co się stało?

— Popełniłem dzisiaj krytyczny błąd. Chyba wyszedłem z wprawy.

— Janek, Wilk ma jednego z moich. Muszę go znaleźć.

— Wiem, wiem... Obawiam się, że to moja robota... Przykro mi, Proca... Nie miałem wyboru... — Janek odchrząknął, coraz trudniej łapał oddech. Komisarz pokręcił głową z niedowierzaniem, ale wciąż patrzył na byłego kolegę ze współczuciem. Widział, że ten człowiek jest już jedną nogą na tamtym świecie.

Czuł jednak, że współczuciu zaczyna towarzyszyć też obrzydzenie.

— I tak ci za to zapłacił?

— Zawsze byłem lepszy w robieniu sobie wrogów, niż zachowywaniu przyjaciół.

— Gdzie go zawiozłeś?

Ciało Janka opanowała nagła fala gorąca. Wariackie bicie serca znajdowało ujście w spazmatycznym kaszlu. Stał się teraz niewolnikiem swojego ciała, które objęło pełną kontrolę nad wolą. Kiedy Mary wbiegła do środka, Janek kaszlnął krwią. W ostatnich sekundach życia były policjant stał się manifestacją śmierci w jej najgorszej odsłonie. Umierał w objęciach purpury. Jego oczy wybałuszyły się, a całe ciało i twarz wyglądały, jakby w ostatnim akcie desperacji próbowały pochwycić jeszcze jeden oddech życia. Mary wydawała się nie dostrzegać tego wszystkiego. Rozpaczliwie tuliła ukochanego, chciała być jak najbliżej niego, aż do ostatecznego momentu, w którym uleci z niego ostatnia iskra życia. Kilka minut później pod kawiarnią pojawił się wóz policyjny i ambulans. Wokół zebrało się kilku ciekawskich ludzi. Lekarze orzekli zgon, nie pozostawiając Mary żadnej wątpliwości ani cienia nadziei. Policjanci przystąpili do swoich obowiązków i zadawania pytań. Mary patrzyła błagalnie na Berga, prosiła, żeby z nią został i pomógł w rozmowie z policją. Jakkolwiek pragnął jej pomóc, wiedział, że ściga się teraz z czasem. Musiał jak najszybciej odnaleźć Młodego. Jego umysł pozostawał nieco zdezorientowany i oszołomiony makabrycznością sytuacji, której przed chwilą był świadkiem. Gdy zamknął za sobą drzwi samochodu, zadzwonił jego telefon. Zobaczywszy na wyświetlaczu imię inspektora Tyszki, poczuł, że jego zmysły wracają do rzeczywistości.

Inspektor wzywał go do biura. Wiedział już o porwaniu Młodego, nie powiedział jednak skąd. Berg zastanowił się, czy on sam powinien poinformować Tyszkę o telefonie, który otrzymał od Wilka. Wiedział, że nie zdoła uratować Młodego, rozbroić gangu i zaaresztować Wilka w pojedynkę, potrzebował do tego wsparcia, i to nie małego. Z drugiej strony miał przecucie, że jeśli Tyszka dowie się o prawdziwych motywacjach Wilka, o tej jego psychopatycznej stronie, jego misji i planie „odkupienia” Berga, będzie próbował trzymać komisarza na dystans. A przecież ten nie mógł oddalić się od sprawy. Właśnie dlatego, że była aż tak osobista.

Wszedł do Biura. Wszyscy pracownicy zerkali na niego z ukosa. Oczami, które jak wydawało się Bergowi, wiedziały o czymś, o czym on jeszcze nie miał pojęcia. Zajrzał do pokoju swojej grupy operacyjnej. Zastał w nim tylko Mazura. Impuls i Chaber wciąż tkwili przy Rakowieckiej, prowadząc przesłuchania zatrzymanych.

— Zadzwon do czarnych. Będzie wyjazd do fabryki przy Włokienniczej...

— Jedna z nor? — Komisarz przytaknął.

Zaraz potem udał się do biura inspektora Tyszki, które, jak zauważył przez szyby, wypełnione było ludźmi. Wszedł do środka i przecisnął się przez tłum w kierunku szefa. Trzech pracowników Biura Informatyki i Techniki podłączało komputery, kable i sprzęty służące lokalizacji. Na biurku stał laptop odtwarzający relację wideo na żywo. Berg rozpoznał na ekranie Młodego, który siedział na podłodze pośrodku pomieszczenia wypełnionego rurami. Jego ręce były skrupowane, a usta zaklejone taśmą. Z prawego łuku brwiowego ściekła stróżka zakrzepłej już krwi. Inspektor splótł ręce na piersi i z wyrazem zatroskania na twarzy, patrzył na monitor. Spostrzegłszy Berga, wyprosił wszystkich z pokoju, z wyjątkiem techników. Komisarz nie wydawał mu się zaskoczony, jedynie bardzo przejęty. Domyślił się więc, że musiał już wcześniej wiedzieć o porwaniu.

— To idzie na żywo? — zapytał Proca.

— Nie mamy wątpliwości, że tak — odparł jeden z techników. — Uprzedzając pana pytanie, nie jesteśmy w stanie go namierzyć.

— Z otoczenia też niewiele można wydedukować — dodał komisarz, siadając naprzeciw monitora. Pokręcił głową zrezygnowany. — Robi z tego teatr...

— Skąd dowiedziałeś się o porwaniu? — zapytał inspektor po chwili milczenia.

— Od Janka Chabielskiego.

— Żużła? Byliście w kontakcie?

— Powiedzmy. Ruszyło go sumienie. Niestety, zmarł godzinę temu.

— Jezu... Co się stało?

— Rana postrzałowa. Jest coś jeszcze... Wilk nie ma towaru.

— Jak to?

— Myśli, że my go mamy. Wygląda na to, że ktoś jeszcze jest zamieszany w to wszystko, co nasuwa mi jedno pytanie... CBA, inspektorze?! Naprawdę?

Głos Berga był pełen pretensji. Tyszka złapał go za ramię i odciągnął w róg pokoju. Zapytał szeptem:

— Skąd wiesz?

— To chyba nie jest najważniejsze — odparł głośno, więc inspektor pogroził mu palcem.

— Uspokój się, zanim obaj się wkurwimy.

— Jak mogłeś postawić mnie w takiej sytuacji? — kontynuował Berg, ścisząc głos. — Kazałeś mi pracować z agentem! Ciekaw jestem jakimi jeszcze środkami posłużyło się wobec mnie Biuro...

— Z tego, co mi wiadomo, to żadnymi. Młody miał jedynie obserwować. Nie tylko ciebie, a całą grupę. Nie wydano zezwolenia ani na podsłuchy, ani na bilingi, na nic innego...

Komisarz przypatrzył się uważnie rozmówcy. Znał go na tyle dobrze, żeby ocenić, że to, co usłyszał, było prawdą. Nie zmieniało to faktu, że miał do

inspektora żal o zatajenie czegoś podobnego. Po chwili wyjaśnił:

— Młody sam się przyznał.

— To musiał ci bardzo zaufać... Alan, wiesz, że to nie była osobista decyzja. Rozkazy były niepodważalne. Chodzi o wyciek towaru. To poważna sprawa... Przecież rozumiesz.

Rozumiał, ale nie pochwalał. Sam postąpiłby inaczej. Była to jednak kwestia drugoplanowa, z którą rozprawią się później. Zapatrzył się na ekran, próbując wydobyć z niego jakiegokolwiek wskazówki. Żadnych sugestii, żadnych informacji. W pewnym momencie Młody drgnął i obejrzał się za prawe ramię. Tyszka nachylił się nad monitorem.

— Coś się dzieje.

Podkomisarz siedział na podłodze. Jego ręce pozostawały skrępowane. Plecy oparte o ścianę. Bolała go głowa, a obraz przed oczami, jeszcze przez kilka sekund po przebudzeniu, pozostawał zamazany. Potrząsnął lekko obolałą głową, próbując odzyskać przytomność w pełni. Rozejrzał się wokoło. Pod ścianą stało jedno krzesło, kilkanaście rur łączyło ze sobą podłogę z sufitem, pod którym wisiała niewielka kamera. Siedział tak w ciszy, próbując na próżno poluzować opaskę na rękach. Miał wrażenie, że mijają godziny. Nagle otworzyły się drzwi. Do środka weszło trzech dryblasów, dwóch z nich rozpoznał — to oni wprowadzali go do fabryki. Tuż za nimi wszedł czwarty, smukły, wysoki brunet, którego mógł rozpoznać jedynie po sylwetce i ruchach. Mężczyzna sięgnął po krzesło, obrócił je oparciem ku Młodemu i usiadł na nim okrakiem:

— Wiesz, kim jestem?

— Nazywają cię Wilkiem — odparł podkomisarz, nie zdradzając, że zna prawdziwą tożsamość gangstera. — Zdaje się, że przejeżdżaliśmy ostatnio trochę twojego towaru. Hera czysta jak złoto...

Rodion uśmiechnął się, ale wyraźnie był to uśmiech maskujący złość.

— Robicie znacznie więcej, żeby mnie wkurzyć. Wiem, że pracujesz dla CBA. Próbujesz naprawić to, czego Berg nie dopilnował. Jest chyba zbyt zaabsorbowany moją osobą i inne sprawy traci z pola widzenia. Normalnie nie interesowałbym się korupcją wewnątrz tej zgniłej już psiarni, ale tak się składa, że towar, który od nich wycieka, trafia do mojej konkurencji z Żoliborza...

— To niefortunnie.

— Cieszę się, że się rozumiemy. Więc, agencie Sikorski... kto jest tym szczurem w CBS-u?

— Nie wiem, śledztwo jest w toku — zapewnił podkomisarz, co rozżłościło Wilka. Nie trawił stawiania mu oporu. Potrzebował poznać tożsamość tej policyjnej gnidy, złamać go i wyciągnąć z niego wszystko, co tylko możliwe, żeby dotrzeć przez niego do grupy żoliborskiej i rozsadzić ją od środka. Poprawił się

nerwowo na krześle, a Młody dodał z aroganckim uśmiechem: — Chyba zgarnęliście mnie trochę za wcześniej.

— Zawsze macie swoje typy. Zaufam więc pańskiej intuicji. Kogo pan podejrzewa?

Młody milcząc, spojrzał Wilkowi prosto w oczy. Podjął już decyzję, że nie da przeciwnikowi żadnych informacji. Nastawił się na czekanie. Bolesne czekanie. Dopuścił nawet do siebie myśl o śmierci. Wiedział jednak, że zachowa dla siebie wszystkie sekrety policji.

— Dobrze, w takim razie jeśli pan nie chce ze mną współpracować, może zrobi to komisarz Berg.

— Obawiam się, że jego nienawiść do ciebie jest zbyt silna, żeby poszedł na jakąkolwiek współpracę.

— Po pierwsze, mało pan jeszcze wie o pracy w policji. Po drugie, wiele cech Berga mnie irytuje — nienawidzę skurwysyna. Ale nawet on ma słabości. Na przykład próbuje wszystkim pomagać.

Wilk wstał i zniknął za metalowymi drzwiami. Dwóch gangsterów chwyciło Młodego za ramiona, przycisnęli do ściany i unieruchomili. Ruszali się pewnie i szybko. Serce wyskakiwało Młodemu z piersi. Bicie osiągnęło szczyt, gdy poczuł na rękę nagłe ukucie. Coś mu podali. Truciznę? Narkotyk? Co się teraz stanie? Mężczyźni rozluźnili uściski i szybko opuścili pomieszczenie.

Poczuł, jak jego ciało oblewa fala ciepła. Otulała go miłym puchowym kocem. Opaska, ciasno opleciona wokół jego nadgarstków, przestała uwierać. Groza sytuacji, w której się znalazł, nagle przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Czy umrze w tej śmierdzącej norze? Czy może liczyć na ratunek? Wszelkie pytania wydawały się zbędne, bezcelowe i błahe. Zdał sobie sprawę, że nie jest sobą. W jego żyłach nie płynęła już ta sama, co przed kilkoma minutami krew.

Serce zaczęło bić mu znacznie szybciej, oddech przyspieszył. Po kilku chwilach w ustach zrobiło mu się tak sucho, że wydawało mu się, że wyczuwa piasek między zębami. Próbował się podnieść, ale pokój ruszał się nieustannie, jakby był tratwą dryfującą na wodzie. Żołądek buchał gorącem, palił ostrym kwasem. Młody skurczył mięśnie brzucha, po czym zwymiotował. Nie wiedział, skąd taka reakcja organizmu. Co nastąpi po tym? Miał przeczucie, że to, co się z nim dzieje, długo jeszcze nie ustąpi.

— Musimy go znaleźć... — wyszeptał Tyszka, patrząc z niesmakiem na to, co działo się z młodym funkcjonariuszem.

— Wilk myśli, że mamy towar. Nie może dowiedzieć się prawdy — dodał Berg.

Inspektor przytaknął. Posiadanie towaru było ich jedyną kartą przetargową. Jeśli Wilk dowie się, że heroina przepadła, Młody nie będzie miał dla niego żadnej

wartości, wtedy nic nie zatrzyma go przed zabiciem agenta.

— Pojadę na Rakowiecką — oświadczył komisarz po chwili. — Zobaczę, jak idą przesłuchania tych gnojków z przerwotu.

Czuł, jakby ktoś zacisnął dłonie na jego gardle. Musiał wyjść z biura, odetchnąć. Próbował odsunąć od siebie obraz, który przed chwilą zobaczył, żeby nie stracić przejrzystości oceny sytuacji. Było to jednak niemożliwe, zbyt prywatne, bo przywoływało za dużo wspomnień. Nigdy dotąd Wilk nie miał nad nim tak wielkiej przewagi, tak silnej karty przetargowej. Jak bardzo wolałby być teraz na miejscu Młodego! Odpokutować za wszystkie niepowodzenia i ból, do którego przyłożył rękę. O ile łatwiej byłoby znosić goręcy poniżenia i porażki, jeśli cierpienie dotykałoby jego samego! Musiał jednak pozostać przy zdrowych zmysłach i wziąć pełną odpowiedzialność za otaczającą go, nieprzychylną rzeczywistość. Dużo spoczywało na jego barkach i nie mógł się ugiąć pod tym ciężarem. Czuł, że już niedługo przyjdzie mu stanąć oko w oko z Rodionem i zrobić to, co powinien zrobić już wiele lat temu. Upewnić się, że Wilk nie będzie bezkarnie chodził po ziemi. Żeby tego dokonać, może wiele poświęcić. I gotów był to uczynić.

+

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

LUSTRO

Berg udał się do pokojów przesłuchań. Wszystkie sale były wypełnione. Policjanci wobec aresztowanych stosowali groźby, dobitne sugestie, nawet szantaże w kilku wypadkach. Na korytarzu panował spory, choć uporządkowany ruch. Jednych przestępców wyprowadzano, po kilku minutach na ich miejsce pojawiali się kolejni. Z jednego pokoju wychodził właśnie Chaber. Berg dostrzegł go z drugiego końca korytarza i podszedł bliżej.

— Jak idą przesłuchania?

— W toku, komisarzu. Na razie nikt nie puścił pary... Kilku podało już przedawnione informacje. Trudno cokolwiek od nich wyciągnąć. Większość to młode chłopaki. Jeszcze mało wiedzą o świecie i myślą, że jest coś szlachetnego w ich zмовie milczenia. Ale nasi bardzo się starają...

— Na pewno, tylko czas nam się kończy. Daj mi kogoś — powiedział, kiwnąwszy na trzymany przez Chabra plik kartotek.

— Trochę tego jest, może szef sobie wybierać.

Komisarz przejął akta, rozłożył je na najbliższym parapecie i chwilę później zarządził:

— Sieradzki. Tamtej nocy był kierowcą. Jeśli ktoś ma znać adresy nor, to najprędzej on.

— Wezwę po niego, ale był już przesłuchiwany.

Chaber zgłosił dyżurującym strażnikom, że mają jeszcze raz przyprowadzić Sieradzkiego do ósmego pokoju przesłuchań. Gdy wprowadzili go do środka, komisarz już na niego czekał.

Aspirant Kacper Chaberski zaczynał pracę w policji zaraz po ukończeniu pełnoletności. Po dziesięciu latach trafił do cebosiu, a po kolejnym roku do grupy Berga. Od zawsze miał poczucie, że ta praca, to wielka odpowiedzialność i honor,

jednak rzeczywistość próbowała to szybko zweryfikować. Już w pierwszych miesiącach zaoferowano mu łapówkę, a gdy odmówił, usłyszał: „Przecież wszyscy biorą”. Ulżyło mu dopiero, gdy trafił do Tyszki i Procy. Czuł, że tych dwóch podziela jego ideały, byli dla niego przykładem, choć oni sami pewnie nie byłiby tym zachwyceni. Oczekiwali od niego jedynie wykonywania poleceń i skuteczności. Nie zmieniło to jednak faktu, że zawsze oglądał się na Berga. Mimo że czasami się z nim nie zgadzał, zawsze pozostawał wierny i gotowy wykonać niejedno niekonwencjonalne zadanie.

Dwadzieścia minut po rozmowie z komisarzem zakończył kolejne przesłuchanie. Gdy opuścił pokój, minęli go dwaj umundurowani policjanci, którzy prowadzili zgiętego wpół Sieradzkiego. Miał rozcięty łuk brwiowy i ciężko oddychał. Chaber przystanął na korytarzu, odprowadzając go wzrokiem, po czym zawrócił do pokoju ósmego. Był otwarty i pusty, natomiast w sali obok, za lustrem fenickim znalazł komisarza, który stojąc tyłem do wejścia, oplukiwał ręce w niewielkiej umywalce.

— Komisarzu... — Chaber wszedł do środka i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

— Co?

— Nie powinieneś tego robić, nie teraz i nie tutaj...

— Pouczasz mnie, Chaber?

— To nie pouczenie, tylko ostrzeżenie.

— Jeszcze lepiej!

— Jest tu kilku takich, co patrzą komisarzowi na ręce. Nie warto beknąć za pobicie takiego gnoja.

Berg milczał, więc Chaber zapytał po chwili:

— Powiedział coś chociaż?

— Tak, miał dostarczyć towar na Włókienniczą.

— Na niewiele się to przydaje... Niech komisarz wraca do Biura. Obiecuję, że chłopaki przycisną ich do granic protokołu.

— Chaber, jeśli ktoś czegoś na mnie szuka, to znajdzie cokolwiek prędzej czy później. A ty... jesteś za dobry do tej roboty. Obawiam się, że możesz przez to wylecieć, a szkoda.

Berg minął go i stał już za drzwiami, kiedy Chaber odparł:

— Komisarzu, tylko wiara w to, że stoję po tej dobrej stronie, trzyma mnie przy zmysłach. Nie chcę pewnego dnia spojrzeć w lustro i nie rozpoznać człowieka, którego w nim zobaczę.

Berg wyszedł bez słowa, lecz to, co usłyszał, dźwięczało mu w głowie jeszcze przez długi czas. Z trudem opanowywał rosnący w nim gniew wobec Wilka, który zostawiał za sobą istne pogorzelsko. Trup słał się coraz gęściej i również życie Młodego wisiało na włosku. Przeciwnik pogrywał z nim

bezdusznie, rozdawał Bergowi same bezużyteczne karty i nabijał się z jego nieporadności. Wykorzystywał, mordował, okradał ludzi z pieniędzy i woli. Musiał za to zapłacić, za wszystko i wszystkich, za Janka, Mario... za Maksa. I za wielu innych, o których oficer może nawet nie miał pojęcia. A bliscy, którzy zostali? Dzieci, matki, żony? Oczekiwali zemsty i bezpieczeństwa. Komisarz mógł im to zapewnić, mógł w ich imieniu rozliczyć się z Wilkiem.

Ten natłok myśli przechodził mu przez głowę podczas powrotu do Biura. W pewnym momencie poczuł, jak jego oddech przyspiesza, a żołądek wypełnia się żółcią. Zjechał więc z obranej trasy i obrał nowy kierunek — ku Włodarzewskiej. Zaparkował pod kościołem i kiedy wszedł do środka, z poczuciem ulgi dostrzegł księdza Medera, klęczącego w pierwszych ławkach nawy, pogrążonego w modlitwie. Oprócz nich, w kościele nie było nikogo innego. Alan podszedł bliżej i ostrożnie uklęknął tuż obok kapłana.

— Potrzebuję spowiedzi... — wyszeptał.

— Alan? — ksiądz nie ukrywał zaskoczenia jego obecnością. Komisarz, owszem, korzystał z sakramentu, ale robił to raczej regularnie, pod koniec każdego miesiąca. — Coś się stało?

Milczał. Duchowny zauważył, jak jego splecione dłonie lekko drżą. Nie był to jednak efekt ani stresu, ani wstydu, a nieopuszczającej go złości. Berg odetchnął głęboko i lekko drżącym głosem zaczął:

— Przebacz mi Ojcze, bo zgrzeszyłem... chcę zabić człowieka. Pozwalam, żeby opanował mnie gniew, nad którym tracę panowanie.

Spowiednik podniósł oczy na komisarza, złapał go za ramię i kazał usiąść.

— Czucie nienawiści nie jest grzechem, Alan. To karmienie jej i dawanie jej upustu nim jest. Nie potrzebujesz spowiedzi, nikomu nie odebrałeś życia. Twierdzisz, że chcesz zabić, a jednak zamiast tego, przyjechałeś tutaj. Nie szukasz rozgrzeszenia, a pocieszenia, siły, i tylko sam Bóg może ci je dać.

— To, co teraz czuję, ta ciemność, gniew, jak to może nie być grzechem?

— Jesteśmy tylko ludźmi, nikt z nas nie jest wolny od złych emocji. Szczególnie ludzie jak ty, każdego dnia otoczeni przez zło, słabość, pokusy... Przyjdzie czas, kiedy staniesz oko w oko z tym człowiekiem, kiedy staniesz oko w oko ze swoją nienawiścią, i wtedy będziesz musiał opowiedzieć się po stronie życia. Zawsze stawaj po stronie życia, Alan, bo śmierć nigdy nie jest rozwiązaniem. Tylko drogą na skróty. Oczywiście, że nie dasz rady unieść tego sam, dlatego tutaj przychodzisz.

Komisarz podniósł oczy na twarz Ukrzyżowanego, na jego pełne godności i siły cierpienie. Obejmował on zakrwawionymi rękami cały kościół. Cały świat. Kapłan nachylił się i szepnął:

— Módl się do Boga, żeby nie zabrakło ci sił. Zrobimy to razem. — Po tych słowach wrócił do postawy klęczącej a Berg poszedł w jego ślady. Czuł, jak

z każdym słowem modlitwy wyrzuca z serca kolejny kamień gniewu.

Pół godziny później wracał do Biura. Dawno nie widział tam podobnego ruchu. Sprawa zaangażowała wszystkich. Nie był teraz jedynym, któremu zależało na złapaniu Wilka. To, co spotkało podkomisarza Sikorskiego, mogło spotkać każdego policjanta. Wprawdzie, dla dobra Młodego, Berg i jego najbliżsi współpracownicy starali się trzymać sprawę w dyskrekcji. Wieści o nieudanej akcji i porwaniu podkomisarza szybko się jednak rozeszły.

Kiedy wjeżdżał na parking, jego uwagę przykuła znajoma twarz. Robert stał przy budce dyżurującego policjanta. Mówił do niego coś z przejęciem, jednak oficer tylko kręcił głową. Berg zatrzymał się przed szlabanem i opuścił szybę.

— Co tu robisz, Robert?

— Panie komisarzu! Musimy porozmawiać. Chodzi o Grześka... Zastrzeliliście go! On w ogóle nie powinien tam być!

Oficer dyżurny patrzył na Berga alarmująco, jednak komisarz uspokoił go gestem dłoni i zawołał chłopaka do samochodu.

— Grzesiek to był twój kolega, prawda? — zapytał, kiedy Robert zatrzasnął drzwi. Szlaban uniósł się do góry.

— Tak. Widział go pan w parku...

— Pamiętam. Bardzo mi przykro, że tak się stało. Nikt nie chciał go skrzywdzić. To nie my pierwsi otworzyliśmy ogień.

— Wiem, ja to wszystko wiem, komisarzu...

— Robert... Mam wrażenie, że może wiesz więcej niż ja... — powiedział z zainteresowaniem, parkując wóz. — Opowiadaj.

— Trzy tygodnie temu chłopaki zagadali mnie o nowej robocie. Powiedzieli, że można zarobić dużo hajsu. Wie pan, że u nas to się nie przelewa. Pomyślałam, że nie zaszkodzi się chociaż dowiedzieć, co to za robota. Choć od razu czułem, że to nie będzie nic lekkiego, a już na pewno nie do końca legalnego. Z chłopakami pojechaliśmy na spotkanie z gościem, który miał wszystko zorganizować. Powiedział, że jego szef spodziewa się dostawy ważnego i drogiego towaru i potrzebuje ochrony na czas transportu. Wkręciłem się na początku, bo brzmiało to typowo i chcieli dużo zapłacić. Jak jednak powiedzieli, że musimy nosić ostrą broń, to strefiłem. Powiedziałem, że nie umiem strzelać, boję się broni i rezygnuję. Jak mnie komisarz z chłopakami widział, to jeszcze raz chcieli się upewnić, czy nie zmieniłem zdania, ale powiedziałem im „nie”. Oni dalej w tym siedzieli... Mówiłem im, że to nie zapowiada się dobrze, ale nie słuchali! Dzisiaj po osiedlu chodzą słuchy, że Grzesiek nie żyje. Matkę jego całą we łzach widziałem!

Robert skończył nieco zziąjany. Komisarz wyjął z kieszeni wibrujący telefon. Po drugiej stronie odezwał się Impuls:

— Szefie, poinformowali nas z Włókienniczej... Nie znaleźli nikogo, ale

wszystko było przygotowane na przyjęcie i rozporządzenie towarem. Wagi, torebki...

— Dzięki — odpowiedział Berg. Przerwał połączenie i wlepił wzrok w drzwi prowadzące do siedziby CBŚP. Otwierały się i zamykały nieustannie. Zastanawiał się, jakie pozostały mu opcje. Gdzie jeszcze może szukać Młodego?

— Próbujemy znaleźć tych, którzy uciekli ze strzelaniny. Próbujemy znaleźć tego, który za to wszystko odpowiada... Czy chłopaki podawali ci jakieś adresy? Wiesz, gdzie możemy ich szukać? Gdzie mieli jechać z odebranym towarem?

— Wiem tylko, że drugie spotkanie miało być w jakimś klubie... albo barze. Gdzieś na Wilczej.

Oczy Berga wyraźnie się zaokrągliły.

— Dziękuję, że przyszedłeś do mnie z tym wszystkim, to może mi pomóc. Muszę już iść, a ty z nikim więcej o tym nie rozmawiaj, ok? I broń Boże nie mów nikomu, że mi cokolwiek powiedziałeś.

— Oczywiście — zapewnił chłopak wysiadając. Komisarz pędem udał się do biura swojej grupy. Zastał tam Impulsa i Mazura, który niedawno wrócił z Rakowieckiej. Spojrzeli na niego z wyczekiwaniem, a on rzucił: — Lista barów i pubów przy Wilczej, na już!

Mazur przeleciał palcami po klawiaturze i po chwili poinformował:

— Tylko jeden. „Panama”. Wilcza 28.

Komisarz chwycił za telefon i po chwili usłyszał w słuchawce głos dyżurnego jednostki szturmowej. Przekazał mu komunikat:

— Siwy, mówi Berg, mam potencjalną lokalizację przetrzymywania podkomisarza Sikorskiego. Potrzebuję czarnych zaraz, teraz, na Wilczej 28.

Piętnaście minut później jednostka taktyczna wyjechała z policyjnego garażu. Komisarz, ubrany w kamizelkę kuloodporną, podążał swoim taurusem tuż za nimi. W typowej sprawie, zanim oddział wkroczyłby do akcji, wystawiono by obserwatora, zapoznano się z terenem, planami klubu. Jednak w tej sprawie chodziło o życie oficera, dla którego zegar tykał bezlitośnie i każda kolejna sekunda mogła być dla niego ostatnią. W drodze do „Panamy” jednostka zapoznała się jedynie ze zdjęciami satelitarnymi, na których dostrzeżono dwa wejścia do lokalu. Podzielili się więc na dwie grupy i zaplanowali wypad szturmowy. Nie było mowy o podchodach, bo przeciwnik znał teren lepiej od nich.

— Panowie, wchodzimy tam na pełnej kurwie — poinstruował dowódca jednostki. — Zanim zdążą się zorientować, już będzie po imprezie. Jest wcześniej, frontowe drzwi będą zamknięte. Jedyńka, wyważacie taranem, granat i wjazd, Dwójka od tyłu, uważajcie bo pewnie czujkę wystawili, czyścimy, spotykamy się w środku.

Gdy dojechali na miejsce, wszystko potoczyło się bardzo szybko. W przeciągu minuty Jedyńka była już w środku, w przeciągu półtorej weszła też

Dwójka. Wewnątrz klubu znajdowało się dziesięciu figurantów. Ośmiu z nich udawało pokornych głupków, którzy pytali: „Ale o co chodzi?” i „To jest pomyłka!”, dwóch natomiast przybrało pozycję obronną i sięgnęło po spluwy. Padło kilka strzałów, lecz żaden z nich nie dosięgnął celu i dziesięć minut później akcja została zakończona. Zatrzymanym skrupowano ręce i rozkazano leżeć twarzami do ziemi. „Czysto”, „czysto” — padały meldunki ze wszystkich pomieszczeń, gdy jednostka zabezpieczała teren. W jednym z pokoi znaleziono trzydzieści sztuk broni, dziesięć kilo kokainy i jeden niewielki krzaczek konopi indyjskiej. Berg kontrolował właśnie przechwycony towar, kiedy do pomieszczenia wszedł jeden z oficerów.

— Komisarzu, to chyba pana zainteresuje.

Podążył za oficerem, a ten wprowadził go po pokoju na końcu długiego korytarza. Drzwi do niego prowadzące były pancerne i jednostka musiała je wcześniej wyważyć. Komisarz wszedł do środka i znalazł się w biurze Wilka. Poruszał się po nim powoli i uważnie oceniał każdy napotkany centymetr. Usiadł za biurkiem i przez moment spojrzał na świat oczami przeciwnika. Otaczały go wysmakowane przedmioty, w biurku znajdowało się kilka papierów, notatek, rzeczy osobiste, jak zegarek, wizytówki, scyzoryk, paszport na fałszywe nazwisko, kilka prezerwatyw, stare zdjęcia, niewielkie pliki pieniędzy... Spojrzał na wiszący naprzeciw obraz Caravaggia. Znał go wcześniej, lecz dopiero teraz dostrzegł wyraz na twarzy namalowanej Salome. Zniesmaczenie. Smutek. Dlaczego? Przecież sama zażyczyła sobie głowy Jana Chrzciciela. Dostrzegł, że za jej plecami stoi ktoś o wiele szpetniejszy. Z twarzą jakby zgniłą, obojętną — to matka, która namówiła Salome do tego okrucieństwa. Zawsze jest ktoś za zasłoną. Ktoś mniej widoczny. Ktoś ważniejszy...

Berg oderwał wzrok od obrazu i przeniósł go na blat biurka. Leżała na nim (grzbietem do góry) otwarta książka. Przeczytał pozostawione przez poprzedniego czytelnika strony: Lecz oto zbudziłem się raz z jutrznią, myślał długo na swem posłaniu i rzekł wreszcie do swego serca: „Jakiż to sen mnie tak przeraził, żem się aż oto zbudził? Nie zjawiloż mi się dziecię, przystępujące do mnie ze zwierciadłem? »O Zaratustro — rzekło do mnie dziecię — przejrzyj się w zwierciadle!« A gdym w owo lustro spojrział, krzyknąłem z przerażenia i ścisnęło się serce moje: gdyż nie siebie tam ujrzałem, lecz diabła maskarę i śmiech jego szyderczy.

Zaprawdę, aż nadto pojmuję tego snu przestroję i znak: nauka moja jest w niebezpieczeństwie, zielsko za pszenicę się podaje!

Spotężnieli wrogowie moi i spotwornili obraz mej nauki tak, że najdrożsi moi wstydzic się muszą darów moich.

Straciłem przyjaciół; nastala godzina, abym szukał straconych!” — Z temi słowy zerwał się Zaratustra, lecz nie...

— Komisarzu! — wpadł do pokoju oficer. — Znaleźliśmy zwłoki.

Berg poderwał się z fotela i ruszył za oficerem. Czuł, jak krew w nim stygnie i jak jego tętno wzrasta. W myślach powtarzał błaganie, żeby to nie był Młody. Żeby to się tak nie skończyło!

Ciało leżało skąpane we krwi na posłaniu z czarnej folii. Członki ułożyły się jakby nienaturalnie. Komisarz podszedł bliżej i przykucnął na wysokości twarzy zmarłego. Przyjrzał mu się uważnie i powiedział, z nieukrywaną ulgą w głosie:

— To Rudy. Jeden z ludzi Wilka. To się stało chyba nie tak dawno...
Dzwońcie po lekarza ostatniego kontaktu.

— Szefie, technicy przyjechali — poinformował komisarza kolejny oficer.

— Dobra, niech robią swoje i my swoje. Ładujemy towarzystwo na sanki i wracamy.

Pięciu techników wkroczyło do środka w celu wykonania oględzin i zabezpieczenia śladów. Szturmowcy wyprowadzili wszystkich zatrzymanych, a Berg wrócił do Biura. Nie chciał tracić ani minuty dalszych poszukiwań.

Od razu udał się do pokoju Tyszki, żeby przedstawić mu szczegóły realizacji. Inspektor rozmawiał właśnie z chłopakami z Biura Łączności i Informatyki. Relacja z przetrzymywania Młodego była ciągle nadawana i co rusz obserwowana przez Tyszkę.

— Dzwonili — poinformował Berga. — Żądają towaru.

— Jak to sobie wyobrażają?

— Kazali odstawić ciężarówkę tam, gdzie ją stracili, dzisiaj o północy.

— Co powiedziałaś?

— Że ją dostaną, jeśli wypuszczą Sikorskiego.

— I co, nie przystali?

— „Najpierw towar, potem pies...”

— Namierzyliscie rozmowę? — zwrócił się Proca do informatyków.

— Dzwonili z satelitarnego — wyjaśnił jeden z nich. Komisarz oparł się rękoma o blat i spojrzał na Młodego. Ten leżał na ziemi. Jego ręce spoczywały teraz swobodnie po obu stronach ciała. Wyglądał, jakby spał albo wodził wzrokiem po suficie. Nie walczył, nie próbował się wydostać.

— Dostał następną działkę?

— Dwie kolejne.

— W takim tempie nie przetrwa nocy...

Pokręcił głową bezsilnie. Potrzebował odkryć jeszcze jedno miejsce. To ostatnie z trzech, w którym przetrzymywano funkcjonariusza i w którym prawdopodobnie przebywał też Wilk. Jeśli nie znajdzie trzeciej nory do północy, to

będzie koniec dla Młodego, nawet jeśli przeżyje takie tempo szprycowania. Może łatwiej byłoby odnaleźć tę ciężarówkę z towarem i dokonać wymiany...

Tyszka zawiesił wzrok na korytarzu widocznym przez szyby pokoju. Wziął głęboki wdech, a komisarz podążył za jego spojrzeniem. W ich kierunku, szybkim krokiem, szedł wysoki, brodaty, łysy mężczyzna. Nazywał się Olaf Borowiecki. Pewnie wkroczył do pokoju i wykrzyczał od samego progu:

— Inspektorze Tyszka! Co się do cholery stało? — Rozejrzał się i zdawszy sobie sprawę, że nie są w gabinecie sami, nieco przycichł. Tyszka wyprosił z pokoju informatyków, ale nie Berga.

— Może pan mówić otwarcie, agencie Borowiecki. Komisarz Berg wie o wszystkim.

— Jak to wie? Przecież wyraźnie mówiliśmy...

— Nie ja byłem tym, który tę informację przekazał, a młodszy agent Sikorski.

— Sikorski? Niemożliwe... — Borowiecki spojrzał na Berga od stóp do głów, z nieurywanym niesmakiem, po czym kontynuował:

— Kogo mam więc obwiniać za ten incydent? Gdzie jest nasz człowiek?!

— Proszę mi uwierzyć, robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby go znaleźć.

Kiedy Tyszka zaczął się tłumaczyć, Berg wykonał pierwsze kroki w kierunku drzwi.

— A pan, komisarzu, dokąd?! — zapytał Borowiecki.

— Szukać „pańskiego człowieka”. Pan też powinien spróbować, zamiast tracić czas na szukanie winnego. Tak właśnie działa wasze Biuro. Wypatrujecie problemu z całkiem złego kierunku...

— Coś pan insynuuje, komisarzu? — zapytał Borowiecki podniesionym tonem. Tyszka dawał Bergowi znaki, żeby milczał i nie pozwolił się wciągać w dyskusję z przedstawicielem CBA, jednak komisarz zignorował inspektora i próbując zachować spokój w głosie, stanął naprzeciw Borowieckiego.

— Niczego nie insynuuję. Proponuję jedynie, żeby każdy z nas pilnował własnej roboty.

— O to niech się pan nie martwi... Niech mi pan powie, jak to możliwe, że rzekomo najlepszy w wydziale oficer traci część skonfiskowanego towaru i przez rok nie jest w stanie złapać przeciętnego gangstera?

— Proszę się nie wypowiadać o sprawie, o której nie ma pan pojęcia.

— Nie odpowiedział pan na pytanie, komisarzu.

Inspektor Tyszka nie wytrzymał napięcia rosnącego w pokoju i stanął pomiędzy Bergiem a Borowieckim, mówiąc cichym, dyskretnym głosem:

— Panowie, nie pracujemy teraz nad sprawą kradzieży narkotyków ze składu... Skupmy się na porwaniu.

— Niczego innego nie robię, inspektorze — odparł Borowiecki. — Nie możemy wykluczyć, że obie te sprawy są powiązane, że porwanie jest jedynie sposobem na odwrócenie uwagi od kradzieży!

Proca, wiedząc, że jest na celowniku wydziału antykorupcyjnego, brał mocno do siebie wszelkie uwagi Borowieckiego. Poczł, jak podnosi się ciśnienie jego krwi, i nie chcąc zrobić czegoś, czego mógłby później żałować, odwrócił się plecami do rozmówcy. Tyszka również nie pozostał emocjonalnie bierny. Uważał się za mentora Berga, któremu ufał bezgranicznie. Kiedy dotarło do niego, że wydział antykorupcyjny próbuje zważyć winę na jego komisarza, stanął twarzą w twarz z Borowieckim, z palcem groźnie uniesionym do góry.

— Agencie Borowiecki! Chyba się pan zagalopował! Nie życzę sobie, żeby podobne zarzuty padały w moim biurze, pod adresem moich pracowników. Dopóki nie ma pan żadnych dowodów...

— Dobrze już... — Berg położył rękę na ramieniu Tyszki i delikatnie odsuwając go od Borowieckiego, powiedział:

— Jeśli chce mnie pan przesłuchać, jestem do dyspozycji, ale zrobimy to, gdy odbijemy agenta Sikorskiego. Teraz pozwoli pan, że wrócę do pracy.

Borowiecki nie odpowiedział, a Proca, bez dalszych słów, miał już wyjść z pokoju, kiedy do środka wparował Chaber.

— Komisarzu, mieliśmy telefon w sprawie tej ciężarówki z towarem. Podobno stoi nietknięta przy Gwintowej na Siekierkach.

Tyszka obejrzał się gwałtownie na Borowieckiego i szepcząc z naciskiem, zapytał:

— To wasza robota?

— Słucham?! Oczywiście, że nie — skłamał agent. Berg nie był w stanie dłużej znosić jego obecności i razem z Chaberskim wyszli z pokoju. Dochodzące później stamtąd wrzaski dały się słyszeć z pewnością nawet piętro niżej. Nagle wszystko stało się jasne. Niepowodzenie realizacji nie było wyłącznie winą niedopatrzeń komisarza. Zniknięcie ciężarówki, zestrzelenie drona, uziemienie policyjnych wozów... To nie byli gangsterzy, tylko CBA! Młody przeprowadził pod jego nosem parszywy sabotaż!

— Zadzwoń po czarnych, niech jadą po ten towar.

— Szef nie jedzie z nimi?

— Nie będę tam potrzebny. I daj też znać Niemczykowi, że będzie miał robotę.

— Tak jest! — odparł Chaber i zatrzymał odchodzącego komisarza, łapiąc go za ramię. Podał mu teczkę z dokumentami, którą trzymał przy sobie. — Wyciągnąłem wszystko, co się dało na Młodego, jeśli jeszcze jest szef zainteresowany... Choć w sumie chyba wszystko jest już jasne.

— Skąd takie jasne?

— Ten koleś u Tyszki... To Olaf Borowiecki z CBA. A o czym wykrzykiwał, to już chyba całe Biuro słyszało.

— Tyle zostało z ich dyskrecji... Ale na razie zachowaj dla siebie te obserwacje. — Chaber przytaknął i dodał:

— A co do Młodego, to jeśli wolno mi się wypowiedzieć... Myślę, że spełniał po prostu swoje obowiązki. To bierze komisarz te dokumenty?

Berg spojrzał sceptycznie na plik i po chwili wahania, wziął go do ręki.

+

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W SIDŁACH

Powietrze na zewnątrz było parne. Co jakiś czas przebijała się przez nie smuga lekkiego wiatru, lecz zbyt słabego, by nazwać go orzeźwiającym. Komisarz Alan Berg wyszedł z budynku CBŚP, aby choć na chwilę złapać oddech. Rozmowa, której był przed kilkoma minutami uczestnikiem, wybiła go z rytmu i znów poczuł narastającą w nim falę gniewu. Tym razem ukierunkowaną nie na Wilka, nie na świat przestępczy, a na własny dom prawa.

Przy schodach prowadzących do budynku stała grupa funkcjonariuszy. Rozmawiali paląc papierosy. Niektórzy przerzucili się na elektroniczne, co spotykało się z wyśmiewaniem i niosło za sobą falę niesmacznych żartów. Większość z nich wydawała się być w dobrych nastrojach. Komisarz podszedł do najbliższego z policjantów i poprosił o odstąpienie papierosa. Palił rzadko, w ogóle starał się nie palić, lecz był to jeden z tych dni, w których zdawać by się mogło, że pojedynczy papieros może uratować zdrowie. Psychiczne oczywiście. Podziękował za odpalenie ognia i oddalił się kilka kroków od grupy, żeby wypalić w samotności. Faktycznie, poczuł się znacznie lepiej. Wydychany dym wydawał się wyprowadzać z jego krwi część napięcia.

Otworzył tekturową teczkę z danymi Młodego, którą otrzymał od Chabra. Zastanawiał się, ile z tego, co opowiadał mu o sobie podkomisarz, okaże się prawdą. Nie byłby zaskoczony, gdyby potwierdzeń odnalazł niewiele, jednak liczył, że nie był karmiony samymi kłamstwami. *„Urodzony w Katowicach —* czytał Berg *— no jest jakaś prawda. Ojciec: Edward Sikorski, wojskowy w stopniu generała?! No, to raczej nie pracował w spożywczym... Zm.: 29.12.2010 r.*

(w wyniku postrzału z broni palnej. Śmierć samobójcza) Chryste! Znacznie gorzej, niż napaść... Skurwiel, powiedział prawdę w oczy Drzewieckiemu! Choć w sumie wiedział, że słucham po drugiej stronie. Wychodzi więc, że sam zweryfikowałem, co uznać za prawdę, a co za kłamstwo... Ojciec wojskowy. Stąd to jego ciągle »Tak jest!«. *Matka: Elżbieta Sikorska... Zm.: 15.06.2014 r.* Prawie powiedział prawdę, rok różnicy. *Ukończenie szkoły policyjnej: 2001 r... Biuro Ruchu Drogowego?! Chyba nie gonił rowerem... Biuro Kryminalne. Wydział do Walki z Korupcją... Stopień podkomisarza w 2013 r... od 2013 r. CBA, Delegatura w Katowicach... od 2014 r. Warszawa...* Czyli siedzi tu już od roku. I jak ci idzie w tym CBA?" — Przekartkował kilka stron i skrzywił się na to, co przeczytał. Okazało się, że Młody brał udział w kilku śledztwach, jednak bez indywidualnych sukcesów. Był delegowany głównie do papierkowej roboty, czasami do przeprowadzania obserwacji. Koniec! Jedynie ostatni paragraf wskazywał na rozpoczęcie nowej operacji (*krypt. Sidła — dane utajnione*). „To w te sidła miałeś złapać Szakala... Pierwsza poważna robota”.

Z budynku CBS-u wyszła Maria. Jej oczy spuchnięte były od łez, a całe ciało wyglądało jakby mizerniejsze, jeszcze delikatniejsze niż poprzedniego dnia, kiedy ostatnio widział ją Berg. Odłożył niedopalonego peta do popielniczki i podszedł do niej.

— Mary...

— Alan, prosili, żebym jeszcze raz przyszła potwierdzić zeznania.

— Przykro mi, że tak cię teraz męczą — zapewnił komisarz ze smutkiem. Patrzył na nią z empatią i podzielanym poczuciem straty. — Wiesz, jaki jest protokół... Chciałbym zapytać, jak się czujesz, ale to chyba oczywiste.

— Nie wiem, co ja bez niego zrobię. — W jej oczach pojawiły się świeże łzy. Objął ją ramieniem. Nie protestowała. Chociaż w przeszłości różnie układało się między Jankiem i Alanem, ona zawsze czuła, że mogli mu zaufać.

— Boję się, że Wilk nie da mi spokoju.

— Obiecuję ci, że to się skończy. Zrobię wszystko, co mogę, żeby każdy z nich dostał to, na co zasłużył.

Wtedy na parking podjechała laweta, ciągnąca za sobą granatowego volkswagena.

— Chcą go dokładnie przebadać — wyjaśniła Mary. Kiedy zobaczyła ich własny wóz, ponownie uderzyła ją niewiarygodność tego, że Janek nie żyje. Komisarz zbliżył się do lawety i zwrócił do kierowcy, pokazując blachę:

— Dzień dobry! Komisarz Berg. Ten samochód jest dowodem w prowadzonej przeze mnie sprawie o porwanie. Chciałbym go przeszukać.

— No przecież musi pan rozmawiać o takich rzeczach z prokuratorem.

— Kto kazał go tu zaciągnąć?

— Komisarz Feliński. To dowód w sprawie o morderstwo.

— Berg! — zawołał Feliński, zbliżając się do nich. Podali sobie ręce. Kierowca zaczął właśnie opuszczać volkswagena.

— Cześć, Fela...

— Słyszałem, co się stało z waszym chłopakiem. Parszywa sprawa z tym porwaniem... Jak idą poszukiwania?

— Powoli do przodu. Tak się składa, że zgarnął go Żużel.

— Mój Żużel, tak — podkreślił, przypominając Bergowi, że to on zajmuje się sprawą zabójstwa. — Jeszcze raz dziękuję, pani Mario, że przyjechała tu pani z nami.

Mary przytaknęła lekko. Stała tuż obok, przysłuchując się rozmowie policjantów, ale patrzyła głównie na odłączany od lawety samochód.

— Czekam jeszcze na twoje zeznania, Proca...

— Dostaniesz je najszybciej jak to możliwe. Chciałbym rzucić okiem na wóz.

— Masz pięć minut. Stefan, daj kluczyki panu komisarzowi.

Kierowca rzucił je Bergowi i odjechał lawetą. Policjant otworzył wóz i od razu udał się na jego tyły. Rozchylił drzwi bagażnika i poczuł, jakby jego wnętrze było innym światem. Miało swoją aurę, odmienną od całej otaczającej go rzeczywistości. Ciemną, smutną, bolesną. Wszedł do środka i przykucnął na flanelowym kocu, przy haku mocującym, obok którego leżała przecięta opaska uciskowa. Przednie drzwi wozu otworzyły się i Mary usiadła na miejscu pasażera. Fotel kierowcy był jeszcze wilgotny od krwi. Trzymała ręce na kolanach, nie dotykając niczego, tylko rozglądała się wokół. Pod jej stopami leżało niewielkie, tekturowe pudełko po pizzy. Tak, znała protokół. Znała go bardzo dobrze. Berg przeszedł do przodu. Włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił go do połowy. Wyświetlacz pokazał stan paliwa. Opierając się o oparcia foteli, komisarz egzaminował wzrokiem kabinę.

— Gdzie go wywiozłeś, Janku? — rzucił pytanie w przestrzeń.

— Dość daleko — odparła Mary i wyjaśniła: — Mieliśmy sprzedać samochód i kupić coś lepszego. Dzień wcześniej Janek wysłał mnie do elektromechanika, żeby zmniejszyć przebieg... Zmniejszył go do stu tysięcy.

— Teraz jest dodatkowe sto dwanaście kilometrów... Gdzie był ten mechanik?

— Przy Błotnej.

— Używaliście wozu potem?

— Cały czas stał w garażu.

— To da nam promień do poszukiwań, Mary!

Wyszli z samochodu. Berg miał już biec do biura, ale zawrócił i zapytał:

— Masz jak wrócić do domu?

— Wezmę taksówkę, nie martw się. Biegnij szukać kolegi.

— Odezwe się.

Biegł schodami na drugie piętro najszybciej jak mógł. Wparował do pokoju, w którym siedzieli aspiranci Mazur i Impuls, chwycił za długopis oraz kartkę, zapisał na niej „112” i zapytał:

— Jak daleko jest z Mińskiej 52 do elektromechanika przy Błotnej?

Mazur uruchomił mapę i wprowadził dane.

— Siedem kilometrów.

— Teraz z Mińskiej do Gotarda.

— Najkrótszą trasą trzynaście.

Berg wykonał szybką kalkulację, po czym stanął za plecami aspiranta i poprosił:

— Zatocz promień od Mińskiej czterdzieści sześć kilometrów. I prowadź mnie Mazur, co mamy na linii?

— Na południu lasy i pola. Na zachodzie magazyny „Europolis”. Na wschodzie mamy Mińsk Mazowiecki, ale odległość wypada gdzieś w osiedle. Na północy jest na przykład elektrownia wodna, zamknięta fabryka okien, wodociągi...

— To jest nad Narwią?

— Tak, nad samą rzeką.

— Komisarzu, jest naprawdę wiele możliwości — zauważył Impuls. — Prawdopodobieństwo, że...

— Dzięki za pomoc, chłopaki. Zostawiłem telefon w samochodzie... Impuls, zadzwoń po oddział, pojedziemy sprawdzić tę fabrykę.

— Nie będą teraz dostępni. Ostatnia wolna grupa pojechała po naszą ciężarówkę z towarem. Jeszcze nie wrócili.

— To dzwoni do dyżurnego — rozkazał zawiedziony Berg i zanotował dokładne współrzędne fabryki. — Jak tylko oddział się zwolni, niech tam przyjedzie.

— Pojedziemy z panem — zaproponował Mazur.

— Nie, będziecie moimi oczami tutaj. Jeśli nie odwołam akcji, to znaczy, że lokalizacja jest trafiona.

— Powinien pan poczekać na oddział, komisarzu!

Berg był już za drzwiami. Pędem pokonał schody, wprowadził dane do nawigacji i odjechał. Sięgnął po telefon, by zadzwonić do Mazura. Aspirant przeprowadził go przez plany fabryki i wszystkie dane, które był w stanie znaleźć o niej i otaczającym ją terenie.

— Masz jakiś pomysł, gdzie go trzymają?

— Widać dużo rur w tym pokoju, wyglądają na kanalizacyjne. Patrząc na plany... To musi być poniżej gruntu. Są trzy możliwości — w każdym ze skrzydeł budynku. Ale sądząc po umiejscowieniu drzwi, wygląda to na skrzydło północne,

od strony rzeki. Tak czy siak, trzeba by obejść budynek, żeby się tam dostać, albo przejść przez środek. Przypominam, że powinien pan poczekać na oddział.

— Odezwali się już?

— Zabezpieczyli towar i jadą prosto w pana stronę. Nadal są pół godziny w plecy.

— Jest z tobą Impuls?

— Tak. Słyszysz pana.

— Impuls, wchodzisz w cień za Niemczykiem. Tylko uważaj, antykorupcyjny może już mieć go na celowniku. Żebyś się im nie napatoczył.

— Szef zapomina, do kogo mówi... — odparł z pełnym uśmiechem Impuls. Tego typu zadania przynosiły mu najwięcej satysfakcji i sprawiały, że czuł się niezastąpiony w robocie.

— Jeśli zrobi coś lewego z naszym towarem, chcę wiedzieć o tym pierwszy.

— Jasne!

Komisarz zamyślił się przez moment, po czym poprosił o dokładne opisanie planu północnego skrzydła budynku. Aspirant przeprowadził go przez niego, w najbardziej obrazowy sposób, na jaki było go stać.

W międzyczasie, w biurze pojawił się aspirant Chaberski. Gdy dotarło do niego, że koledzy pozwolili, by Proca pojechał sam do zlokalizowanej fabryki, obrzucił ich spojrzeniem przesyconym pretensjami. Wyciągnął od Mazura adres sam ruszył w ślad za przelożonym.

Berg zaparkował wóz po drugiej stronie lasu. Od północnego wejścia dzieliło go pięćset metrów. Z bagażnika wyciągnął kamizelkę szturmową i dwa dodatkowe magazynki. To dawało mu łącznie pięćdziesiąt jeden naboń. Nie chciał wystrzelić żadnego z nich. Spojrzał w kierunku fabryki i zastanowił się, po co naprawdę tutaj przyjechał. Przez lata za swój główny cel uważał odnalezienie Rodiona. Chciał pomścić brata, ukarać człowieka odpowiedzialnego za jego upadek. Rodion zasługiwał na to samo — śmierć. Na miejscu. Czy byłby w stanie to zrobić? Czy kiedy przyszedłby moment, w którym miałby go na celowniku — pociągnąłby za spust? Czy nie stałby się wtedy takim, jakich zwalczał od lat? Czuł, że jest już tak blisko... Między nim a Rodionem było jedynie pięćset metrów. Może się zacząć i spróbować odnaleźć Wilka, jednak jeśli cały gang lub chociaż jego część siedzi teraz w fabryce, może to być niewykonalne. Jeśli zostanie złapany, obezwładnią go, uznają to za podejsście szturmowe i bojąc się, że oddział specjalny jest w pobliżu, Rodion podejmie ucieczkę. Jeśli jednak Berg spróbowałby zbliżyć się do nich otwarcie, bez broni, z dobrowolną intencją spotkania z Wilkiem — zaprowadzą go do niego. To da mu lepszą okazję do zabicia go. Wszystkie te dylematy traciły na znaczeniu, kiedy komisarz pomyślał, że przecież w tej fabryce jest ktoś jeszcze — Młody. Dla jego życia liczyła się teraz każda sekunda. Berg nie

mógł oglądać się na pomoc oddziału w tej kwestii. Mogą nie zdążyć.

Schował magazynki do kieszeni i z kamizelką na ciele, z bronią w dłoniach, ruszył przez las. Przemieszczał się sprawnie, lecz bardzo ostrożnie. W pewnej chwili zauważył mężczyznę, poruszającego się sto metrów obok. Wyminął go i kilka chwil później był już na skraju lasu. Drzewa rosły tu bardzo rzadko i dawały niewiele osłony. Miał już dobry widok na północne skrzydło. Dostrzegął drzwi prowadzące do środka. Nie było widać ochrony, więc uznał, że człowiek za nią odpowiedzialny dokonywał właśnie rekonesansu po lesie. Jeśli Mazur miał rację (a Berg nie wątpił, że miał), za drzwiami powinien znajdować się dziesięciometrowy korytarz prowadzący do jednej z głównych hal. Na prawo od niej powinien znajdować się kolejny, krótszy korytarz, w nim schody do podziemi, a tam pokój z rurami kanalizacyjnymi, w którym prawdopodobnie trzymają Młodego.

Pędem ruszył w kierunku drzwi, modląc się, żeby nie musiał używać wytrychów do ich otwierania. Ku jego ogromnej uldze, ustąpiły pod naciskiem klamki. Ostrożnie wszedł do środka. Korytarz wydawał się pusty. Prowadził prosto do ogromnej hali, w której niegdyś produkowano okna. Na ziemi leżały pozostałości po dawnych już, ostatnich próbach remontowych, których najwyraźniej zaniechano. Drewniane belki, cegły, kopce piasku i cementu, pozostawione przez budowlańców i powoli rozkradane przez złodziei.

Już od progu komisarz usłyszał pokrzykiwania i rozmowy. Głosy dochodziły z góry. Nie mógł dostrzec ludzi, ale zorientował się, że siedzą w czymś na wzór dyżurki lub biura kierowniczego, wiszącego ponad halą robotniczą. Najwyraźniej był to stary budynek, z czasów, gdy szefowie lubili bardzo uważnie obserwować wydajność i użyteczność swoich pracowników. Stał tuż pod nimi, przy schodach i wyteżył słuch. Chaotyczne rozmowy zaczęły się uspokajać, gdy któryś z mężczyzn zapytał: „Bierzemy psa ze sobą?”.

— Nie, durniu! — odpowiedział inny mężczyzna. — Pies zostaje z Baleronem. My jedziemy po towar i jak będziemy bezpieczni, damy znać, że może dokończyć robotę. Później damy psom cynk, gdzie mogą odebrać kolegę... a raczej to, co z niego zostanie.

— I co, myślisz, że Baleron go załatwi?

— Nie ma, kurwa, wyjścia!

Tyle Bergowi wystarczyło. Młody jeszcze żyje. Komisarz rozejrzał się po hangarze w poszukiwaniu drugiego korytarza. Dotarł do niego, a tam zobaczył schody prowadzące do piwnicy. Powolnymi krokami, z pistoletem trzymanym w gotowości, zszedł na dół. Nagle, spośród ciemności wąskiego korytarza, zaczęło wylać się lekkie światło. Z końca schodów dobiegał niski głos. Berg zszedł do piwnicy i zerknął zza rogu w głąb korytarza. Gruby mężczyzna, uzbrojony w pistolet umieszczony za paskiem od spodni, stał plecami do policjanta i rozmawiał przez telefon. Tuż obok niego znajdowały się wielkie, metalowe drzwi,

oblane żółtym światłem słabej żarówki.

— Kochanie, będę w domu na kolacji — mówił mężczyzna do słuchawki. — Tak, mogę kupić. Co? Mleko i bułki? Dobrze. — Proca, po cichu, zakradł się bliżej grubego. Trzymając pistolet na wysokości oczu, mierzył prosto w jego głowę. — Nie denerwuj się. Dzisiaj się nie spóźnię. Tak, tak. Ja ciebie też Koteczku.

Mężczyzna odwrócił się, wyłączając komórkę, i zamarł, dostrzegłszy lufę pistoletu między swoimi oczami.

— Baleron, tak? — zapytał Berg. Gruby przytaknął nerwowo, a policjant odebrał mu pistolet.

— Tu go trzymacie?

— Tak...

— Otwieraj.

Baleron sięgnął po klucze i trzęsącymi się rękoma otworzył zamek. Wszedł do środka pierwszy. Berg, krocząc tuż za nim, dojrzał leżącego pod ścianą Młodego. Nie ruszał się, a jego twarz była blada jak kreta. Komisarz podprowadził gangstera do ściany i nie spuszczaając go z oka nawet na sekundę, rozkazał:

— Zdejmuj buty. Skarpetki też.

Mężczyzna wykonywał polecenia lecz nieco się ociągał. Liczył, że koledzy z gangu wyczują zagrożenie w powietrzu i uratują bezbronnego Balerona. Na nic takiego się nie zanosilo. Komisarz rzucił mu kajdanki pod gołe stopy.

— A teraz się zakuwaj.

Baleron przykuł się do jednej z rur, a Proca chwycił leżące na ziemi skarpetki i wcisnął mu je do ust. Podszedł do Młodego i klepiąc go po poliku, próbował go ocucić. Wyczuł na szyi tętno, co go nieco uspokoiło, ale chłopak pozostawał nieprzytomny. Uniósł go z ziemi i wtedy Młody otworzył oczy. Był całkiem nieobecny. Patrzył na Berga, jak na obcego. Jego źrenice miały wielkość główki od szpilki, a całe ciało ociekało potem.

— Młody, wiem, że teraz ani myślisz o wstawaniu, ale musimy cię stąd wyciągnąć... — powiedział, zarzucając sobie na szyję ramię podkomisarza.

Czuł, jak ciało chłopaka ciągnie go ku ziemi. Nie przejawiał żadnej woli ucieczki, pozostawał bierny i ocieżały. Kolana zadrżały pod Bergiem, wiedział jednak, że musi wyprowadzić ich z budynku jak najszybciej. Chwycił partnera stabilnie i ruszył w stronę drzwi. Miał już łapać za klamkę, kiedy ta otworzyła się z nagłą. Zdążył chwycić za broń i sekundę później widział już lufę wymierzoną w swoją głowę.

W progu stało trzech gangsterów. Każdy z nich miał w dłoni pistolet i wszystkie celowały Bergowi między oczy. On sam zastygł w bezruchu, z bronią wycelowaną w środkowego z nich.

— Spokojnie, niech każdy, kurwa, zachowa spokój — powiedział stojący po prawej. — Cofnij się! — rozkazał i komisarz wykonał kilka ostrożnych kroków do

tyłu. — Kurwa, Baleron! Tylko na moment zostawić się samego... — dodał, podchodząc do skutego.

— Jesteś w mniejszości psie. Składaj broń — warknął środkowy gangster.

Proca odczekał chwilę. Od tej pory musiał za wszelką cenę grać na czas i liczyć na szybki przyjazd oddziału. Opuścił broń, która momentalnie została mu odebrana. Młody również został przejęty przez gangsterów i ponownie położony na ziemi.

Dopiero, gdy sytuacja była opanowana i jednoznacznie niekorzystna dla komisarza, do środka wszedł czwarty mężczyzna. Po wielu latach poszukiwań i roku intensywnej pogoni to spotkanie wydawało się Bergowi niemalże nierzeczywiste. Wilk stał tuż przed nim, ze swoimi dzikimi, szklistymi jak lód oczyma, a on sam był teraz całkiem rozbrojony.

Rodion rozejrzał się powoli po pokoju. Położył na krześle niewielką skórzaną saszetkę, którą trzymał w dłoni, po czym założył ręce na piersi i rozkazał przeszukać komisarza. Największy z gangsterów schował broń za pasek i brutalnie obrócił Berga twarzą do muru. Wilk stał tuż obok i nonszalancko oparł się o tę samą ścianę. Bez słowa patrzył policjantowi prosto w oczy, a ten stał tak przez dłuższą chwilę, z uniesionymi ku górze rękoma, rozebrany z kamizelki, rozbrojony. Przestępca opróżnił mu zawartość kieszeni, rzucił koledze klucz do kajdanek, a kiedy skończył, w poniżającym geście położył swoją wielką łapę na głowie komisarza i powiedział:

— Jest czysty. Co z nim teraz, szefie?

Wilk rozkazał zakuć go w kajdanki na miejsce Balerona. Przejął klucz oraz broń komisarza. Obawiając się, że oddział szturmowy jest w pobliżu, wysłał swych ludzi na rekonesans i zarządził szykowanie się do drogi. Kiedy wyszli, stanął naprzeciw policjanta, pytając:

— Ile mamy czasu, Alan?

Berg mógł skłamać na kilka sposobów. Po pierwsze, mógł powiedzieć, że przyjechał sam, że chciał to załatwić w pojedynkę, bo uznał, że tym sposobem ma większe szanse na uratowanie Młodego. Po drugie, mógł powiedzieć, że oddział już tu jest i cokolwiek Wilk teraz zrobi, to już koniec jego kariery na wolności. W pierwszym przypadku, prawdopodobnie, by mu nie uwierzył, a w drugim mógłby się rzucić do ucieczki. Berg powiedział więc prawdę:

— Będą tu za dwadzieścia minut.

— Znowu wyjechałeś na czele? Jak na lidera przystało. Przez tyle miesięcy deptałeś mi po piętach... i na końcu dałeś się złapać w tak trywialny sposób... Żałosny koniec tej gry.

— To nie jest gra... To polowanie. I nie jest jeszcze skończone.

— Doprawdy?

Wilk odsunął się i podszedł do Młodego. Przykucnął, aby sprawdzić jego

puls.

— Jest silny. Szanuję ludzi, którzy mają wolę i siłę. Twój przyjaciel zdecydowanie ma obie. Dlatego jeszcze żyje.

— Myślałem, że żyje, bo potrzebujecie go na wymianę — powiedział komisarz z udawaną naiwnością.

— Tu nie chodzi wyłącznie o pieniądze, Alan. Oczywiście, dla większości tamtych młotków tylko to się liczy, wszystko, co robią: pobicia, kradzieże, szantaże, wymuszenia... wszystko dla kasy. Z czasem staje się to stylem życia, od którego nie ma już ucieczki.

— Dlatego wykorzystywałeś Żuźla? A potem go zabiłeś?

— Po pierwsze, nie ja go zabiłem — Rodia niemalże krzyknął. — Żuźel zginął, bo był parszywym oszustem! Okłamywał wszystkich, a wiesz, jak nienawidzę braku lojalności! — Wziął kilka głębokich oddechów, po czym zaczął znów spokojnie: — Alan, to jest ważne, żebyś zrozumiał. Straciłeś brata, więc należą ci się wyjaśnienia. Ja chcę dać coś od siebie temu światu. Polepszyć go, uzdrowić ze słabości. Heroina... Heroina jest zbawieniem dla ludzkiego cierpienia. Przynosi ulgę i zapomnienie. Pochłania wolę, unieszkodliwia i oczyszcza świat ze słabych jednostek. Jest prawdziwą bohaterką. Dla mnie jest testem. Testem na człowieczeństwo.

— Jesteś chory, Rodia.

— Akurat po tobie spodziewałem się większej przenikliwości. Myślałem, że się rozumiemy, bo przecież mamy ze sobą tyle wspólnego...

— Mylisz się. Nie jestem taki jak ty.

— Obydwaj mamy swoje misje, Alan, i stać nas na wiele, żeby je osiągnąć. Powiedz mi — ile razy naginałeś protokół, ile razy działałeś poza prawem, poza wiedzą i rozkazami przełożonych, żeby mnie dopaść? Nie jesteś dobry w trzymaniu się cudzych zasad. Ja też nie.

— To co innego. Mamy różne intencje, odmienne motywacje.

— Tak? A dlaczego tu przyjechałeś? Żeby ratować chłopaka? Tym bardzo dobrze zająłby się oddział specjalny.

Rodion położył klucz oraz pistolet na krześle i sięgnął po saszetkę. Rozsunął zamek. Ze środka wyjął jedną dawkę narkotyku, łyżkę, zapalniczkę, strzykawkę, nową igłę i mały flakonik z wodą. Dodał kilka kropel do heroiny na łyżce, po czym zaczął ją podgrzewać. Kilka chwil później, gdy rozpoczął się proces gotowania, powiedział:

— Przyznaj, Alan, przyszedłeś tu sam, żeby mnie zabić. Zemścić się za Maksa. Nie widzę innego wyjaśnienia... I nie potępiam tego, rozumiem cię. Teraz ty musisz zrozumieć, dlaczego ofiara Maksa była konieczna.

Komisarz spał się i wzdrygnął na widok napełnianej przez Rodiona strzykawki. Zauważył, że leżący w rogu pokoju Młody poruszył się lekko

i otworzył oczy, ale nie był jednak pewien, czy był to wzrok przytomny, czy nadal otumaniony.

— Mój brat wcale nie musiał umierać. Zabiłeś go, bo jesteś psychopata.

— Maks sam dokonał wyboru. Powiedziałem mu o swoim doświadczeniu. A nie było ono łatwe! Nie zatajałem przed nim szczegółów. Powiedziałem mu wszystko! Powiedziałem, jak przyjemnie czułem się przez pierwsze minuty, jak wolny stał się mój umysł i silna była moja wola. Powiedziałem, że później przeszedłem przez piekło. Że heroina wołała mnie w każdej następnej minucie, że chciała mnie zniewolić i że musiałem walczyć o siebie, że tę walkę wygrałem. I wyszedłem z niej o wiele silniejszy. Byłem pewny, że Maks da radę. Tak jak ja... Myliłem się. Ale nie żałuję. Widocznie tak musiało być.

Rodion zbliżył się do komisarza ze strzykawką i żyłką w dłoni.

— Opór nie ma sensu, Alan. Albo zrobimy to pokojowo, albo zaproszę chłopaków z powrotem.

Berg stał spokojnie, nie miał zamiaru protestować. Znajdował się na przegranej pozycji i niewiele mógł teraz zrobić, żeby odwrócić sytuację. Rodion zacisnął żyłkę na jego bicepsie, wbił igłę i wciągnął do strzykawki nieco krwi, a gdy miał już nacisnąć tłoczek, nad ich głowami rozległ się głośny huk, padły strzały i pokrzykiwania. W chwili pierwszego odgłosu Berg złapał Wilka za koszulę, przyciągnął go z całej siły do siebie tak, że Rodion uderzył głową w rurę kanalizacyjną i padł nieprzytomny na ziemię.

Młody uniósł się nieco i wolno, na czworakach, zaczął zbliżać się do komisarza.

— Młody! Klucze... Leżą na krześle. Właśnie tak. Powoli...

Mówił do niego cały czas, żeby nie stracić z nim kontaktu, żeby oficer znów nie odpłynął. Młody, z kluczami w dłoni, przyczołgał się do Berga, który czekał, kucając z wyciągniętymi ku niemu rękami. Odebrał od niego klucze i wywijając nadgarstki, otworzył kajdanki.

— Jesteś tu ze mną?

— Jeszcze tak — słabym głosem odpowiedział Młody, podnosząc z ziemi upuszczoną przez Rodiona strzykawkę.

— Trzymaj się, już prawie po wszystkim.

Komisarz włożył sobie kajdanki do kieszeni i dostrzegł, że Rodion odzyskał przytomność. Rzucił się w jego stronę, ale Wilk był szybszy. Dosięgnął broni leżącej na krześle i wymierzył w komisarza, który znalazł się pół metra od glocka.

— Przykro mi, Alan, nie tak to miało się skończyć. — Gdy wycelował, poczuł na sobie spojrzenie Młodego. Ten, korzystając z momentu zawahania przeciwnika, wbił strzykawkę w jego kostkę i wprowadził część zawartości do krwi, za co otrzymał kopniaka w głowę. Komisarz uderzył w lufę pistoletu tak, że Wilk stracił nad nim panowanie, a po kolejnym otrzymanym ciosie wypuścił broń

z dłoni. Odepchnął od siebie komisarza i rzucił się do ucieczki. Zaczynał odczuwać działanie heroiny penetrującą jego żyły. Proca podniósł z ziemi glocka.

— W porządku? — zapytał, upewniając się, że Młody da sobie radę.

Wtedy do pomieszczenia wpadł aspirant Chaberski. Na jego widok, Proca poderwał się, rozkazał mu zająć się podkomisarzem, a sam ruszył za Rodionem na górę.

Hangar wypełniony był policją i gangsterami. Zewsząd padały strzały. Berg, ukryty za jednym z filarów, rozglądał się po wszechobecnym chaosie w poszukiwaniu Wilka. Dojrzał, jak biegł po drugiej stronie hangaru i skręcał w ciemny korytarz. Nie zastanawiając się zbyt długo, wystartował za nim, chowając się co rusz, to za filarem, to za porzuconym złomem. Wbiegł do pogrążonego w mroku korytarza i trzymając pistolet w gotowości, uważnie szedł naprzód.

Rodia zaczął się we wnęce ściany i czekał. Wiedział, że Proca podąża za nim krok za krokiem. Przeczekał cierpliwie moment, kiedy komisarz przeszedł obok niego i zaciśniętą w dłoni metalową rurą uderzył policjanta w tył głowy, ogłuszając go na moment. Berg upuścił glocka, ale otrząsnął się szybko i zdołał uniknąć kolejnego ciosu. Wilk, z całej siły, uderzył rurą o podłogę. Kilka iskier uniosło się w powietrze wraz z brzęknięciem metalu. Drżące z dużym natężeniem cząsteczki przebiegły po rurze od podłogi aż do rąk napastnika. Ledwo zdołał utrzymać rurę w dłoniach, jednak zamachnął się ponownie na wstającego z ziemi policjanta. Ten znów uchylił się od ciosu, padając na ziemię. Nim przeciwnik zamachnął się po raz kolejny, policjant rzucił się na niego, przyciskając go do ściany. Rodia uderzył głową w mur i wypuścił z dłoni rurę. Zgiął się wpół, otrzymawszy nagłe uderzenie pięścią w brzuch. Fala piekącego ciepła oblała jego wnętrzności. Prostując się, mimo bólu, kontynuował walkę, cios za ciosem. Zamachnął się lewą ręką i pięścią trafił z zuchwą policjanta. Berg odskoczył w bólu i zataczając się, uderzył w ścianę. Osunął się po niej na ziemię. W uszach zadźwięczał mu przeciągły, głuchy ton. Jakby przez mgłę zobaczył zbliżającego się Wilka, który ponowie sięgnął po swoją metalową broń. Uchylił się, unikając ciosu zaledwie o centymetry. Rura brzdęknęła głośno. Raz, drugi, trzeci. Każde zetknięcie rury z betonem rodziło kolejne iskry, które niczym fajerwerki wybuchały tuż przy twarzy Berga. Policjant wyczuł chwilowy moment zawahania przeciwnika i całym ciężarem rzucił się na jego nogi. Ten upadł na górkę piaszczystego cementu. Silnym kopnięciem odsunął od siebie Procę o kilka metrów, powalając go na podłogę. Komisarz dostrzegł przed sobą połyskującą lufę pistoletu. Chwycił broń i oddał nagły strzał w górkę cementu, z której próbował podnieść się Wilk. Kula zaświszczała tuż przy jego uchu, całkiem go paraliżując. Odwrócił się powoli i usiadł na górcie. Zacisnął dłonie na piasku. Policjant mierzył do niego i podchodził coraz bliżej.

— Zabijesz mnie?

— Nawet nie wiesz, jak bardzo bym chciał...

— Ale nie możesz. Jesteś przedstawicielem prawa. Wsadzisz mnie do paki, skąd wyjdę po kilku latach, a może nawet i szybciej, bo ten sąd jest tak samo skorumpowany, jak połowa psów! I od nowa zaczniemy gonitwę... — to powiedziawszy, rzucił garść piasku w twarz Berga i resztkami sił podjął ucieczkę w głąb korytarza.

Komisarz syknął z bólu, zaciskając piekące oczy. Szczęśliwie tylko kilka drobnych ziarenek dosięgnęło celu i zostały szybko wypłukane przez łzy. Berg przymrużył oboje oczu i walcząc z odruchem mrugania, wymierzył w uciekiniera. Oddał strzał, którego tak głośne, że niemal trudne do zniesienia echo wypełniło korytarz. Kula dosięgła uda i Wilk, wyjąc z bólu, upadł na podłogę. Próbował doczołgać się do wyjścia. Lekka smuga światła zdradzała obecność drzwi na końcu korytarza. Podał się jednak, gdy zdał sobie sprawę, że komisarz stoi tuż nad nim. Odwrócił się z bólem i położył na plecach.

— Alan... To jeszcze nie koniec... Więzienie nie będzie takie złe — mam tam kilku znajomych, których osobiście aresztowałeś. Połączy nas wspólna nienawiść do ciebie i wspólny cel. Kiedyś wyrównamy rachunki. Jeszcze przejdziesz moją próbę...

Berg przykucnął obok Wilka i patrząc mu prosto w oczy, odpowiedział:

— Nie Rodia, nie wsadzę cię między swoich... Nie tych swoich.

Na twarzy Rodiona pojawiał się przeblysłk zrozumienia. Walczył z bólem i omamiającą siłą heroiny, która próbowała odebrać mu ostrość zmysłów.

— Myślałeś, że jesteś tu anonimowy, że twój rosyjski epizod przejdzie bez echa? Te morderstwa? Ilu ich było, Rodia? Dziesięciu? Dwudziestu? Rosjanie sami nie wiedzą, ale jedno jest pewne — nie trafisz do polskiej paki ani pod polski sąd. Oddam cię w ręce tych, którym osobiście, z zimną krwią, odebrałeś braci, żony, dzieci... Rosjanie się tobą zajmą. I mam, kurwa, nadzieję, że trafisz na Piatak... A teraz... — Berg chwycił leżącego za ramiona i siłą podniósł go z ziemi. Wywinął mu ramiona do tyłu i zakładając kajdanki, kontynuował: — Rodionie Vlacic, jesteś aresztowany pod zarzutem handlu narkotykami, nielegalnego zatrudniania nieletnich, porwania i przetrzymywania funkcjonariusza policji, podżegania do licznych morderstw, prowadzenia szerokiej działalności przestępczej na ziemi polskiej i popełnienia licznych morderstw na ziemi rosyjskiej. Masz prawo zachować milczenie, masz prawo do adwokata, a jeśli cię na niego nie stać... stać cię! Ale wiesz, co? Nieważne, kogo zatrudnisz do tej roboty, ani ile mu zapłacisz. Z tego bagna już nikt cię nie wyciągnie.

Hangar powoli się opróżniał. Po ostatniej, niezbyt udanej akcji i wielu bezowocnych poszukiwaniach gangu, policjanci z ogromną satysfakcją zakładali

kajdanki na ręce zatrzymanych. Pośród nich stał inspektor Tyszka. Bacznie przyglądał się wszystkim wyprowadzanym twarzom. Dla niego żadne aresztowanie nie łączyło się z czystą satysfakcją. W takich momentach Tyszkę opanowywało poczucie porażki. Porażki człowieczeństwa. Wiedział, że wszyscy wyprowadzani w kajdankach mężczyźni to czyiś mężowie, synowie, bracia... Wszyscy oni brali udział w światowej walce dobra ze złem i opowiedzieli się po stronie cienia. Teraz mogli jedynie odpokutować i pracować nad zmianą. Ilu z nich ją osiągnie? To zawsze pozostaje niewiadome. Aż do końca.

Inspektor przyglądał się tym smętnym, przegranym twarzom, aż w końcu, po drugiej stronie hangaru, dostrzegł zbliżającego się Berga, który prowadził zakutego w kajdanki, mocno kulejącego mężczyznę. Zaraz kilku oficerów przejęło od niego aresztowanego i komisarz mógł nareszcie odetchnąć. Usiadł na najbliższej skrzyni i obserwował, jak policjanci wsadzają Wilka do wozu. Tyszka usiadł obok i położył rękę na plecach komisarza.

— To on?

— Tak jest... Rodion Vlacic...

— Zaraz zadzwonię do Rosji...

— Co z Młodym?

— Chaberski pojechał z nim do szpitala. Oddychał płytko, ale był przytomny. Ogarnie się... No, dopiąłeś w końcu swego, komisarzu.

— Czasami chciałbym, żeby to oznaczało już koniec.

— To się nigdy nie skończy, Alan... Nie, dopóki człowiek chodzi po ziemi.

— No, wiem...

Wzniesiony w powietrze kurz osiadał powoli na ziemię. Ucichło echo wystrzałów. Adrenalina opadła i Berg miał wrażenie, jakby w jego żyłach płynęła inna krew. Słodka i czysta.

+

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ODWYK

Ewa siedziała w szpitalnej sali sama. Czytając książkę, próbowała wyciszyć krzyczące w głowie depresyjne myśli. Skupienie przychodziło jej z trudem. Czekwała na powrót męża. Jak zwykle — pełna obaw. Jej serce biło nieco za szybko, a dłonie były lekko chłodne. Te odczucia nie minęły jednak, gdy w drzwiach zobaczyła Alana. Wręcz przeciwnie — nasiliły się. Mąż rozejrzał się po pokoju i gdy ocenił, że są sami, zapytał:

— Dawno poszli?

— Może z pół godziny temu. Wszystko dobrze?

— Tak... — odpowiedział, siadając obok niej. — Już po wszystkim.

— To był długi dzień...

— Inaczej go sobie wyobrażałem, ale najważniejsze, że to już koniec...

Kochanie... — Alan objął czule chłodne dłonie Ewy. Spojrzał na nią z miłością i żalem. — Tak, jak obiecywałem, teraz wezmę urlop. Dłuższy urlop. Zostanę w domu i przejdziemy przez to razem...

— To nie będzie konieczne.

Spojrzał na nią zdziwiony. Mimo wszystkiego złego, które ich spotkało, liczył, że ta wiadomość przyniesie Ewie nieco ulgi. Ona kontynuowała, patrząc na niego szczerymi, poważnymi oczyma:

— Musisz się czymś zająć, szczególnie teraz...

— Zajmę się tobą.

— Nie. Postanowiłam, że zamieszkać przez jakiś czas z Klarą i Marcinem. Potrzebuję teraz odpocząć i...

— Nie rozumiem... Dlaczego? Teraz?

— Alan, ja czuję, że muszę to zrobić. Oni się mną dobrze zajmą, wiesz o tym. Zresztą pewnie szybko wrócę do sił. Chcę odpocząć... od nas...

— Od nas?! Przecież jesteśmy rodziną. Mimo wszystko... Co to znaczy, że chcesz odpocząć „od nas”?

— Nie wiem... Jeszcze nie wiem. Teraz tylko czuję, że muszę to zrobić. Nabrać dystansu.

Spuścił głowę. Szukał odpowiednich słów, choć wiedział, że pewny ton głosu Ewy wskazywał, że podjęła już decyzję.

— Obwiniasz mnie za to, co się stało... Nie zaprzeczaj. Rozumiem. I masz rację. Nie było mnie, kiedy potrzebowałaś pomocy, i w ostatnim czasie wystawiałem nas na próbę wiele razy. Skoro teraz chcesz zamieszkać u siostry, zgoda. Jeśli tylko ci to pomoże, niech tak będzie... ale nie rezygnuj z nas. Kocham cię nad życie, wiesz o tym. Wiesz?

— Wiem...

— Możemy być rodziną, możemy przez to przejść, spróbować jeszcze raz... wierzę w to!

Patrzyła na niego ze łzami w oczach. Milczała dłuższą chwilę, obracając między palcami róg kołdry.

— Jestem dość zmęczona...

— Prześpij się. Będę w pobliżu.

Okrył żonę kołdrą i ucałował ją w czoło. Kiedy wyszedł, wypuściła napierający na jej oczy potok łez.

Berg usiadł na korytarzu. Próbował przetrwać to, co wydarzyło się przed chwilą. Może nie powinien pozwolić Ewie na pobyt u siostry? Może Ewa wcale tego nie chce, tylko tak mówi, oczekując, że on ją powstrzyma. Nie, Ewa była za mądra na takie gry. Zawsze otwarcie mówiła o swoich potrzebach. Dla niej „nie” znaczyło „nie”, a „tak” — „tak”. Nigdy na odwrót.

— Komisarzu! — dotarło do niego wołanie z końca korytarza. Aspirant Chaberski zbliżał się do niego zmęczonym krokiem. Jego ciemnozielona koszulka była w połowie mokra, a czoło pokryte potem.

— Co z Młodym? — zapytał komisarz, wyczekując dobrych wieści.

— Ciężko. Trochę było z nim szarpania. Jakoś niewiele do niego teraz dociera, a na koniec jeszcze puścił na mnie pawia — wyjaśnił, tłumacząc pochodzenie ogromnej mokrej plamy na przepranej koszulce. — Żeby organizm wrócił do siebie po czymś takim... To będzie kawał ciężkiej pracy. I dla lekarzy i dla niego. Zajmują się nim teraz. Moja obecność na niewiele się przydaje,

bardziej go drażnię niż uspakajam, więc raczej wrócę do Biura. Teraz dopiero będziemy mieli roboty!

— Tak — przyznał komisarz lapidarnie.

Wyglądał, jakby miał mu coś więcej do powiedzenia. Przypomniał sobie ich ostatnią rozmowę w areszcie. „Nie chcę pewnego dnia spojrzeć w lustro i nie rozpoznać człowieka, którego w nim zobaczę” — powiedział wtedy Chaber. Jego obawy nie były pozbawione podstaw. Berga również przerażała ta wizja. Nie chciałby kiedyś spostrzec, że stał się tym, co poprzysiągł zwalczać. Nie chciałby odkryć, że Wilk miał rację, mówiąc, że są do siebie podobni. Nie podzielił się z Chaberskim swoimi przemyśleniami, zamiast tego, wyciągnął ku niemu dłoń.

— Dzięki za dzisiaj. Dobrze się spisałeś.

— Nie ma za co szefie.

— Daj już spokój z tym szefem!

— Jasne! Proca... Do zobaczenia w biurze.

Chaber oddalił się z niemałym poczuciem satysfakcji. Nic nie cieszyło go bardziej, niż docenienie przez Berga i poczucie, że spełnia się najlepiej jak może w roli, jaką mu powierzono.

Berg odprowadził go wzrokiem, po czym podszedł do biurka dyżurnej i zapytał, gdzie ulokowano Juliana Sikorskiego. Przeszedł kilkadziesiąt metrów w kierunku pokoju oznaczonego numerem trzydziestym ósmym. Gdy zbliżał się do niego, do jego uszu dotarły krzyki i trzaski. Uświadomił sobie, że pochodzą one właśnie ze wskazanego pomieszczenia. Zajrzał do wnętrza przez niewielką szybkę w drzwiach i zobaczył Młodego, pogrążonego w totalnej panice, otoczonego trzema lekarzami, którzy próbowali go uspokoić.

— Odsuńcie się, kurwy! — krzyczał podkomisarz i złapawszy stojące obok niego krzesło, zagroził: — Odsuńcie się ode mnie, bo zatłukę!

Berg wszedł do środka i zbliżając się do niego powoli, wyciągnął ku niemu rękę.

— Spokojnie, Młody...

Policjant spojrział na niego oczami owładniętymi obłędem. Od kilku godzin nie przyjmował heroiny i jego ciało zaczynało domagać się dawki. Był blady, a po skroniach ściekały mu krople potu.

— Poznajesz mnie? — dodał Proca najspokojniejszym tonem, na jaki było go stać. Lekarze odsunęli się trochę od problematycznego pacjenta, dając komisarzowi szansę wpłynięcia na niego. Młody przyjrzał się mu z uwagą, po czym przytaknął nerwowo. Na jego twarzy wystąpił wyraz błagania o pomoc.

— Oni chcą mnie zabić... — wyszeptał. Berg podchodził do niego jak do dzikiego zwierzęcia, którego reakcji nie sposób przewidzieć.

— To są lekarze. Chcą ci pomóc...

— Nieprawda! — upierał się nieodparcie, biegnąc wzrokiem po całym

pokoju.

— Młody, spójrz na mnie. W oczy... — Nachylił się ku niemu, żeby złapać jego uwagę. — Musisz mi zaufać. Wiem, że to nie jest łatwe, ale chyba możesz to zrobić. Możesz? Podejdę teraz bliżej i bardzo bym nie chciał zarobić tym krzesłem. Odstawisz je?

Pacjent wahał się. Stał przez moment w bezruchu. Kiedy tylko zaczynał uciekać wzrokiem, komisarz nachylał się ku niemu ponownie. Nie chciał stracić z nim kontaktu. Nie dawał mu szansy na oderwanie się od rzeczywistości. Ostrożnym ruchem złapał za oparcie krzesła i gdy Młody uwolnił chwyt, odstawił je na bok.

— Już dobrze, chłopaku. Nikt cię nie skrzywdzi... — zapewnił, łapiąc go za ramiona. Do oczu Młodego napłynęły łzy, a ciało zaczęło drżeć. Był strzępkim nerwów, nie wiedział już, co jest prawdą, a co wytworem jego umysłu. Jedyne, czego był pewien, to to, że może zaufać komisarzowi. Ten przysunął go do siebie i objął czule jak brata. Chłopak osunął się na podłogę. Był wyczerpany. Jeden z lekarzy obszedł ich po cichu i pokazał Bergowi trzymaną w dłoni strzykawkę, lecz ten dał mu znak ręką, żeby jeszcze się do nich nie zbliżał.

— Słyszysz mnie, Młody?

Komisarz zdawał sobie sprawę z objawów syndromu abstynencyjnego. Spodziewał się, że chłopak może mieć nie tylko lęki, paranoje i zwidy, ale również, że dręczy go ból fizyczny, nieznośne łamanie w kościach i ucisk całego ciała.

— Jak się czujesz?

— Wszystko mnie boli...

— Lekarz może ci podać środek przeciwbólowy. Poczujesz się lepiej. Uspokoisz się, prześpisz.

— Nie — znowu odparł nerwowym głosem i resztką sił odsunął od siebie komisarza. Gdyby jednak doszło do ponownej konfrontacji z lekarzami, z pewnością odnalazłby w sobie większe pokłady energii i adrenalina pobudziłaby go na powrót. — Żadnych strzykawek, żadnych lekarzy...

— Młody, patrz mi w oczy. Daj sobie pomoc. Jeśli chcesz, ja mogę to zrobić. Mogę?

Chłopak spojrzał nieufnie na stojącego obok nich mężczyznę w kitlu i potem ponownie na Berga. Przytaknął na zgodę. Komisarz wyciągnął rękę po strzykawkę i podał mu metadon.

— Chodź, połóżysz się. — Pomógł mu się podnieść i ułożyć na łóżku. Ciało Młodego było teraz tak słabe i wątłe, jak ciało starego człowieka u kresu sił. Lekarze wyszli z pokoju, a Berg usiadł na materacu. — Odpoczywaj. Przed tobą długa walka.

— Ty masz dobre kontakty... z Tym na górze? — zapytał podkomisarz słabym głosem. Powoli zapadał w sen.

— Całkiem niezłe, a co?

— Zapytaj go, czy mógłby trochę pomóc...

— Poproszę, żeby dodał ci sił. Wypoczywaj, Młody. Wypoczywaj.

Kiedy zasnął, komisarz został przy nim jeszcze kilka minut, po czym wyszedł z pokoju. Zastanawiał się, do kogo mógłby zadzwonić, kogo poinformować o sytuacji kolegi. Jego rodzice nie żyli, z tego, co opowiadał, wynikało, że miał jeszcze siostrę, która jednak mieszkała za granicą... Podeszedł do niego lekarz, który widząc wcześniej relację między nim a pacjentem (zaufanie, jakim Młody go darzył), uznał, że może porozmawiać z nim o stanie Sikorskiego. Poinformował, że detoksykacja powinna zająć trochę dni, mniej więcej tydzień do dwóch.

— Późniejsze leczenie — wyjaśniał — zależy w dużej mierze od jego usposobienia. Nie jest narkomanem, podawano mu dużo dawek, lecz w krótkim odcinku czasu, jest więc dobra szansa, że nie będzie uzależniony. Ale wciąż czeka go ciężki okres. Sama detoksykacja przebiega...

— Wiem, panie doktorze. Ja już to nieraz widziałem. Postaram się skontaktować z jego siostrą... I będę w pobliżu, a jeśli nie... — Sięgnął do portfela po wizytówkę i wręczył ją lekarzowi — proszę do mnie zadzwonić. O każdej porze.

Lekarz oddalił się, wkładając kartkę do kieszeni. Jarzeniówka, wisząca nad głową Berga, zamruwała irytująco. Usiadł na korytarzu i dopiero teraz poczuł wycieńczenie. Splótł ręce na piersi, zsunął się nieco z krzesła i mimowolnie zasnął.

Wracał do mieszkania z uczelni. Zmęczony, po ośmiu godzinach zajęć. Wiedział, że w domu za wiele nie odpocznie. Czekало go sprzątanie i gotowanie dla mamy, która ciężko pracowała na dwie zmiany, i dla brata, który po detoksie dochodził jeszcze do siebie. Drzwi kamienicy, w której mieszkał, otworzyły się raptownie, pchnięte przez mieszkającego na drugim piętrze komendanta policji. Alan spojrział na umundurowanego, a ten, uśmiechnąwszy się od ucha do ucha, zasalutował dłonią mówiąc: „Dzień dobry, komisarzu!” i prężnym krokiem przeszedł do radiowozu. Berg wszedł do budynku. Na pierwszym piętrze minął się jeszcze z sąsiadem, który właśnie wychodził na spacer ze swoim jamnikiem. Pies pomierdał radośnie ogonem. Kiedy komisarz dotarł na czwarte piętro, gdzie mieszkał, zaniepokojony zauważył, że drzwi były lekko uchylone. Z wnętrza docierały do niego czyjeś głosy. Wyciągnął broń z kabury i trzymając ją w pogotowiu, powoli wszedł do przedpokoju. Maks już na niego czekał. Stał na końcu długiego korytarza, a za jego plecami ukrywał się Rodion.

— Alan, schowaj ten pistolet... — powiedział Maksym, wyciągając ku niemu rękę w uspokajającym geście. Ostrożnie zbliżył się do policjanta i gdy znalazł się już na wyciągnięcie ręki, złapał go za dłonie zaciśnięte na glocku. —

Schowaj broń.

Komisarz opuścił pistolet. Rodion wyminął ich nieufnie i wyszedł z mieszkania.

— Zostań ze mną — poprosił brat. Alan zawahał się przez moment. W pierwszym odruchu chciał zatrzymać Rodiona, wiedział, że powinien go aresztować. Jednak Maksym nie puszczał jego dłoni i patrzył na niego niewinnymi, jak u zbitego psa, oczyma.

— Zostawił ci odpał? — zapytał przezornie policjant.

— Możesz sprawdzić — odparł chłopak, rozkładając ręce na boki. Komisarz schował broń do kabury i przeszukał kieszenie brata. Z jednej z nich wyciągnął wypełnioną płynem strzykawkę. Maks odetchnął z poczuciem ulgi, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy z posiadania narkotyku. Spojrzał na Alana z wdzięcznością i powiedział:

— Dzięki, że zostałeś...

Gdy się przebudził, zobaczył stojącą nad nim Ewę. Była ubrana, a w rękę trzymała niewielką torbę podróżną, którą sam przywiózł jej tutaj zeszłego poranka. Przetarł zaspane oczy, jakby nie do końca zdając sobie sprawę, czy już się obudził, czy może jeszcze śni.

— Wszędzie cię szukałam.

Spojrzał na nią przymrużonymi oczami i wyciągnął z kieszeni telefon.

— Rozładował się. Przepraszam...

Usiadła obok niego.

— Dlaczego tu siedzisz?

— Przywieźli tu Młodego. Rodion szprycował go herą. Przechodzi przez detoks.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Widziała się z Julianem jeszcze wczoraj! Nigdy dotąd nie widziała człowieka zmagającego się z piekłem narkotykowej detoksykacji, ale znając opowieści męża, wiedziała, z czym ten proces się wiąże.

— Będzie potrzebował wsparcia — powiedziała.

— Będzie potrzebował silnej woli i modlitwy... I leków... — odparł jej mąż, zawieszając głos. Po chwili zapytał, w pełni już obudzony: — Zawieźć cię do domu?

— Nie. Za kilka minut przyjedzie po mnie Marcin.

— Nie zmieniłaś zdania?

— Tak będzie teraz najlepiej. Alan, nie myśl, że z nas rezygnuję. To nie tak. Potrzebuję tylko trochę czasu. Potem będziemy rozmawiać i... budować od nowa.

Objęła go na pożegnanie. Nie był pewien dlaczego, ale to przytulenie wydało mu się dziwne. Inne. Obce. Pewnie dlatego, że był tak skrajnie zmęczony. Gdy

Ewa odeszła, podszedł do szybki w drzwiach pokoju trzydziestego ósmego i zobaczył, że Młody ciągle śpi. Miał już założony wenflon, a do niego doczepioną kroplówkę. Spał, lecz jego nogi co chwilę poruszały się raptownie. Komisarz spojrział na rozładowany telefon, który ciągle jeszcze trzymał w dłoni. Schował go do kieszeni i ponownie usiadł na krześle, zasypiając chwilę potem.

Tydzień później...

Drzwi szpitalnego pokoju otworzyły się powoli. Młody usiadł na łóżku i z przejęciem bijącym z twarzy, zapytał:

— I co? Ruscy odpowiedzieli?

— Tak, — odparł Proca, wchodząc do pokoju — biorą go do siebie na naszych warunkach.

— Czyli, jeśli go skażą, czeka go Piatak.

— Najgorsze z rosyjskich więzień... — dodał z nieukrywaną satysfakcją w głosie. — Przewozimy go jutro.

— Genialnie! W końcu go upolowałeś, komisarzu!

— Bez twojego wkładu potoczyłoby się to pewnie inaczej — Zajął miejsce na krześle, obok łóżka. — Jak się czujesz?

— Dużo lepiej! Te kroplówki są lepsze niż hera. Aż szkoda stąd wychodzić!

— Cieszę się, że tak ci dobrze! A skoro jesteś już przy zdrowych zmysłach, możemy szczerze pogadać. Wtedy na parkingu... to była długa noc i powiedziałem wiele rzeczy...

— Miałeś rację.

— Nie. Przepraszam Młody. Naprawdę męczyło mnie to, co ci nagadałem. Zrobiłeś to, co musiałeś. Zachowałem się dość chamsko, oceniając cię w ten sposób.

— Skoro tak, to przyjmuję przeprosiny, ale czuję, że to ja jestem tym, który musi przeproszać. Bo jest jeszcze coś, czego ci nie powiedziałem. Chodzi o tę ciężarówkę...

— Wiem.

— Co?

— Że to byłeś ty. CBA.

— Skąd...?

— Miałem nieprzyjemność poznać twojego przełożonego. Jak mu tam... Borowiecki. Może dobry z niego agent, ale kiepski kłamca. W przeciwieństwie do ciebie...

— Musieliśmy ją przejąć, żeby przeliczyć towar. Mieć dowód, że wasze

raporty ilościowe nie są akuratne, że ktoś wyprowadza towar z Biura. Powiem ci nieoficjalnie... Ja myślę, że to Niemczyk.

— Już się tym zajmujemy. Jak zazwyczaj, zleciłem mu zabezpieczenie i przeliczenie towaru. Teraz Impuls ma na niego oko. Zanim coś się wydarzy, upłynie trochę czasu, ale kiedy będzie próbował coś sprzedać, dowiemy się o tym. A! I bym zapomniał! Zdaje się, że wisisz mi dwadzieścia kafli za drona...

Dwa tygodnie później młodszy aspirant Adam Grabowski szybkim krokiem przemierzał korytarz Centralnego Biura Śledczego. Silnym pchnięciem otworzył drzwi ze swoim nazwiskiem i niedbale zatrzęsął je za sobą. Chciał jak najszybciej dostać się do komputera. Siedzący w pomieszczeniu jego dwaj koledzy — Mazur i Chaber przywitali go, ale nie usłyszawszy odpowiedzi, szybko powrócili do własnych zajęć. Impuls wyciągnął z kieszeni niewielką kartę SD, podłączył ją do komputera i poklikując językiem, przeglądał zawartość karty.

— No, chodźcie zobaczyć — zawołał kolegów, a oni przysunęli się do ekranu. Patrzyli z niedowierzaniem na wyświetlane przez niego zdjęcia, nie szczędząc przy tym obelg i wulgaryzmów.

— Proca już je widział? — zapytał Chaber.

— Jeszcze nie. Same zdjęcia to za mało. Będę potrzebował waszej pomocy. Uprzedzając twoje pytanie, Chaber — nie będzie to do końca legalne, ale nie możemy czekać na zezwolenie...

Impuls wydrukował fotografie i kilka minut później zapukał z nimi do pokoju komisarza.

— Można przeszkodzić?

— Już przeszkodziłeś. Masz coś dla mnie, Impuls?

Młodszy aspirant zamknął za sobą drzwi. Położył przed szefem trzy fotografie, na których podkomisarz Karol Niemczyk spotykał się w miejscu publicznym z członkiem grupy narkotykowej z Żoliborza. Na żadnym ze zdjęć nie rozmawiali ze sobą wprost, jednak było dla komisarza oczywiste, że tych dwoje nie wpadło na siebie przypadkiem. Pokiwał głową i westchnął rozczarowany.

— Do końca miałem nadzieję, że nic z tego nie wypłynie...

— Niestety, komisarzu. Ten koleś to Żaba, średniak na Żoliborzu, zaopatruje kilku dilerów. Myśli pan, żeby ich zgarnąć, czy zobaczymy, gdzie to dalej pójdzie?

— Wiesz, o czym rozmawiali?

— Niestety nie, ale mam coś lepszego. Na koniec spotkania zostawił Żabie telefon. Chaber i Mazur już jeżdżą za Niemczykiem z jaskółką.

— Ja tego nie słyszałem.

— Oczywiście, komisarzu.

— Chaber wie, że nie mamy zezwolenia na podsłuch?

— No, wie...

— Dobrze. Daj znać, jak tylko umówią się na spotkanie. Zgarniemy ich na gorąco.

— Nie chce pan poczekać?

— Za duże ryzyko. Możemy zgubić Żabę i zostaniemy bez prawomocnych dowodów na Niemczyka. Jeśli złapiemy go za rękę, pójdzie siedzieć, a z Żabą może uda się jakoś ułożyć, żeby nam donosił.

Tydzień później, w piątek o dwudziestej, komisarz Berg otrzymał telefon od Impulsa. Aspirantom udało się przechwycić rozmowę podkomisarza Niemczyka z Żabą, w której oficer wyznaczył spotkanie o dziesiątej tego samego dnia, w Parku nad Balatonem. Zmobilizowano grupę kilku funkcjonariuszy pod pretekstem zatrzymania Żaby. Tylko Berg i jego chłopcy znali prawdę o Niemczyku i tylko oni wiedzieli, że podczas akcji uda się również przechwycić narkotyki.

O dwudziestej pierwszej jednostka specjalna była gotowa do wyjazdu. Berg miał już wsiadać do wozu, kiedy do garażu wszedł Młody. Komisarz, choć zaskoczony jego obecnością, uśmiechnął się.

— Co tu robisz, chłopaku? Przecież jesteś na urlopie.

— Impuls zadzwonił, że wybierasz się na imprezę. Pomyślałem, że się przyłączę. I przyniosłem przekąski — to powiedziawszy pokazał Bergowi raport ilościowy, wykonany kilka tygodni wcześniej przez CBA. Komisarz wziął go do ręki i ocenił:

— Niemczyk wyliczył dla mnie kilo mniej.

— Zarobi na tym jakieś pięćdziesiąt tysięcy euro.

— Wsiadaj.

Wozy jechały przez zalane ciemnością miasto. Siedzący na tyłach oficerowie nie widzieli deszczu, który zaczął padać w połowie drogi. Słyszeli jednak, jak krople rozbijały się na metalowym dachu samochodu, przeradzając się powoli w jednostajny szum.

Nim wyjechali z garażu, na miejscu stał już jeden wóz obserwacyjny, który nadawał co rusz meldunki o rozwoju sytuacji. O tym, że teren spokojny, o tym, że ktoś przyjechał i czeka, że ciągle spogląda na telefon i zegarek, tak jakby nie miał go w tym pierwszym. Rozpoznali, że jest to Maciej Rechociński, pseudonim Żaba, i podali wiadomość do dowodzącego akcją komisarza Berga. Ten jednak nakazał cierpliwość i czekanie na sygnał do wejścia. Reszta wozów dojechała na miejsce i dwadzieścia minut później pojawił się kolejny samochód. Taki, którego nie powinno tu być. Przynajmniej nie w książce o dobrych glinach. Wsiadł z niego podkomisarz Karol Niemczyk, jednak nikt z obserwatorów go nie rozpoznał. Nie był zbyt popularny w wydziale, nie widniał też w kartotekach policyjnych jako karany. Był „kimś innym”, anonimowym.

Wsiadł z samochodu, trzymając w dłoni niewielką paczkę. Żaba również

wydobył ze swojego auta inny pakunek, nieco mniejszy, i wymienili między sobą paczki i uśmiechy. Wtedy komisarz dał komendę do wejścia. Dalej wszystko potoczyło się bardzo szybko. Kilka okrzyków, rozkazów, grózb, zaprzeczeń i zapewnień o niewinności — jak to prawie zawsze bywa. Nikt nie stawiał oporu, nikt również nie próbował ucieczki. Żaba mówił dość dużo podczas obezwładniania. Powtarzał, że o niczym nie wie, narzekał, że to nieludzkie tak go kłaść na ziemi, kiedy pada deszcz. Niemczyk z kolei leżał spokojnie, cierpliwie znosił chłód mokrego asfaltu, do którego został przyciśnięty. Milczał jak grób i odezwał się dopiero, kiedy z jego kieszeni wydobyto policyjną odznakę.

— Puśćcie mnie, pracuję pod przykryciem.

— Czy mam to oświadczenie zapisać w raporcie z zatrzymania? — zapytał komisarz, podchodząc bliżej.

— Nie macie prawa... — próbował dalej Niemczyk, kiedy poczuł zakładane na jego rękę kajdanki. Nie zaciskał ich żaden z oficerów Centralnego Biura Śledczego, a podkomisarz Julian Sikorski, który właśnie zamykał swoją pierwszą, prowadzoną z ukrycia sprawę. Strumień wody spływał z daszka jego czapki prosto na dłoń zatrzymanego. Podniósł go z ziemi i odparł:

— Nie mamy prawa? Pan, podkomisarzu, wie doskonale jakie mamy prawa, ale sam zdecydował nie do końca ich przestrzegać... Zostaje pan zatrzymany jako podejrzany o handel narkotykami, kradzież policyjnego mienia, pogwałcenie obowiązków służbowych i moralnych... Nie zasługuje pan na policyjną odznakę.

Niemczyk spojrzał na niego dużymi oczami i od tej pory postanowił zachować milczenie, aż do rozmowy ze swoim adwokatem, którego zamierzał opłacić nielegalnie zarobionymi wcześniej pieniędzmi. Nie był jednak człowiekiem ani konsekwentnym, ani słownym, kiedy więc kilka minut później doprowadzono go do policyjnego samochodu i Berg zapragnął odbyć z nim krótką rozmowę, Niemczyk nie opanował swojej tendencji do gadulstwa i pyskowania.

Proca spojrzał Karolowi głęboko w oczy. Szukał w nich zawstydzenia, chociaż cienia pokory. Znalazł w nich jednak jedynie beczelność i złość. Naprzeciw siebie stanęli całkiem obcy sobie ludzie. Jeden nie rozumiał drugiego. Komisarz zaczął mówić dość głośno, by jego słowa zdołały przebić się przez intensywny szum otaczającej ich ulewy:

— Przez pięć lat pracowaliśmy razem, Karol...

— Przez te pięć lat zarobiłem dziesięć razy więcej ze sprzedaży narkotyków, niż z pracy w policji!

— I tylko o to chodzi? O pieprzone pieniądze? To jest, kurwa, najważniejsze?

— Nie masz pojęcia, Berg! Żyjesz w tym swoim idealnie poukładanym świecie, gdzie są źli przestępcy i dobrzy policjanci... Otwórz oczy! Wszyscy kłamią. Każdy ma coś do ukrycia. Ten kurewski system, w który wierzysz, gnije od

środku, i to już od dawna, tylko idiota będzie walczył przeciw temu. Przez te wszystkie lata patrzyłem na twoją pracę, to cholerne pasmo sukcesów, tylu zatrzymanych, tyle przejętych narkotyków... Wiesz, co ci z tego zostanie? Gówniana emerytura, jeśli dotrwasz, albo medal za śmierć na posterunku.

— Pomóż mi zrozumieć, dlaczego ty w ogóle zostałeś psem? Po co ten cały cyrk?

— Myślisz, że tego chciałem? Nie... Miałem misję, dobre cele; jak większość. Ale poznałem prawdę, zrozumiałem, jak działa system. Tego nie da się zmienić. My i oni, to jedno. Potrzebujemy się wzajemnie, wiesz o tym. Wiesz o tym, Berg, prawda?

— Nie, Karol...

— Więc albo jesteś głupi, albo się okłamujesz. Obstawiam, że to drugie...

— Nie masz racji, że tego nie da się zmienić. Stoisz przede mną w kajdankach i to jest na to dowód. To tyle służbowej rozmowy... — Odchylił się nieco i mocnym, choć nieszerokim ciosem uderzył Niemczyka w podbrzusze, co momentalnie zgięło zatrzymanego w pół. Tak przygarbionego w bólu Berg wsunął do samochodu, mówiąc: — A to było całkiem prywatnie, ode mnie i od kolegów z pracy, za zbezczeszczenie munduru!

Zatrzasnął drzwi samochodu i podszedł do Młodego, który czekał już na niego.

— Przykro mi, Berg, że tak się sprawy potoczyły.

— Nie musi ci być przykro. Jestem ci wdzięczny. Nie rozumiem tylko, jak mogłem to przeoczyć... Tuż pod nosem!

— Obdarzeni największym zaufaniem są najbardziej kuszeni, żeby je wykorzystać. To normalne... Tylko że Niemczyk ma wyjątkowo parszywy charakter.

— Najgorsze jest to, że właśnie otworzyliśmy kolejną puszkę pełną niespodzianek. To początek nowej sprawy i już mi się nie podoba, dokąd ona nas zaprowadzi...

— No cóż, dzień jak co dzień, komisarzu! Nowa sprawa, kolejne zepsute jabłko do wykrycia.

— Może obgadamy to dzisiaj przy butelce whisky? Powiedzmy w „Baileys”, z całą grupą?

— Z chęcią, komisarzu. Z chęcią!

O północy grupa pięciu funkcjonariuszy zamówiła w barze „Baileys” dużą butelkę whisky. Postanowili, że będzie to bardzo długa noc. Dla komisarza Berga była to pierwsza taka noc od bardzo długiego czasu — pierwsza spędzona prywatnie, ze swoją grupą operacyjną. Młody wydawał się niezwykle szczęśliwy, uśmiechał się dużo przez cały wieczór, podobnie jak Impuls, Mazur i Chaber. Komisarz natomiast w trunku zwycięstwa wyczuwał ogromny ładunek goryczy.

Czuł w sercu zawód, a w żyłach strach. Wiedział doskonale już wcześniej, że świat, który go otacza, wypełniają oszuści i hipokryci. Jednak ta znana mu teza zaczynała przejawiać się w rzeczywistości. Zastanawiał się, jaki sens ma walka ze złem, jeśli ci, co zło zwalczają, niczym nie różnią się od tych, z którymi walczą. Gdzie przebiegała granica? Nie wystarczyło obserwować ulicy, nie wystarczyło już wkładać za kratki zapisanych w kartotekach gangsterów. Należy zajrzeć głębiej, do wnętrza systemu, patrzeć wszystkim na ręce, przeszukać też własne serce i własną duszę. Zaczął się bać. Zaczął się bać tego, co znajdzie w tych wszystkich miejscach. I czy za kilka lat, patrząc w lustro, rozpozna w nim jeszcze samego siebie.

+

EPILOG

Berg jadł kolację sam w pustym domu. Ewa mieszkała u siostry od miesiąca i twierdziła, że nie jest jeszcze gotowa na powrót. Okazało się jednak, że jej siostra spodziewa się dziecka. Ironia losu... Ci, którzy planowali nie mieć potomstwa, dostali szansę, a on i Ewa ją stracili, pomimo że tak bardzo tego pragnęli. Jakkolwiek cieszył się ich szczęściem, liczył, że może wprawi to jego żonę w niewygodne samopoczucie i przyspieszy jej powrót do domu. Tymczasem postanowił dać jej tyle dystansu, ile tylko będzie potrzebowała. Pozostawał z nią w ciągłym kontakcie. Dzwonili do siebie przynajmniej raz dziennie. Najczęściej to on dzwonił, choć wydawał się sam tego nie zauważać. Zaglądał do niej co dwa dni — wbrew jej zapewnieniom, że nie musi. Przyjeżdżała do domu po jakieś potrzebne drobiazgi, gdy wiedziała, że Alan jest w pracy. Unikała go. Dość otwarcie. Nie wiedziała, jak z nim rozmawiać o tym, co się stało, nie chciała w ogóle o tym rozmawiać. Było jej dobrze w takim zawieszeniu. Przynajmniej na razie.

Nie lubił, kiedy w domu panowała cisza, kiedy nie było obok Ewy. Włączył więc radio i jedząc, czytał prasę na iPadzie. Ta pozostawała względnie taka sama. Konflikty, wypadki, tu spadek, tam wzrost gospodarczy, znów konflikty, afera, afera, afera... Przeczytał dokładnie krótki artykuł o tym, jak polska policja pomogła w schwytaniu rosyjskiego przestępcy. „Seryjny morderca staje przed sądem” — głosił nagłówek. „Sprawa sądowa, ze względu na liczne przestępstwa, jakich dopuścił się Vlacic, może potrwać nawet kilka miesięcy. Media rosyjskie zgodnie podają: Rosja spodziewa się wyroku skazującego na dożywocie” — pisał dalej reporter. Obok artykułu widniało zdjęcie dumnie wyprężonego inspektora Borowieckiego, który zapewnił autora tekstu o ogromnym poświęceniu i zaangażowaniu całego wydziału w schwytanie Wilka. Mimo że los Rodiona był teraz w rękach sądu, Berg czuł, że dopóki nie zapadnie ostateczny, oficjalny wyrok, nie zazna spokoju. Nastawił się na cierpliwość i dokładne śledzenie postępowania. Kiedy skończył jeść przygotowany przez siebie tajski makaron, poczytał jeszcze przez dwadzieścia minut, po czym pozmywał naczynia i przebrał się w jogery. Wypił pół szklanki wody i podłączył słuchawki do telefonu. Wybiła dwudziesta druga, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi wejściowych. Komisarz otworzył je ostrożnie. Ze zdziwieniem zobaczył w nich Młodego.

— Byliśmy na dzisiaj umówieni?

— Też miło cię widzieć — odpowiedział podkomisarz i wprosił się do

środku. — Idziesz biegać? O tej porze? Życie ci niemiłe?

— To nie Katowice ani Łódź... Rano jestem zbyt leniwy na te sprawy.

— Nie zajmę ci dużo czasu. I tak jestem umówiony za pół godziny.

— Proszę, powiedz, że z kobietą...

— Z Basią.

— Z Basią? Uważaj Młody, to dobra, wrażliwa dziewczyna. Dobra dla ciebie! Może cię nawróci... Więc co tu robisz przed randką? Potrzebujesz błogosławieństwa?

— Tak, ale w innej kwestii. Tyszka zaoferował mi pracę.

— W cebosiu? — Proca patrzył na niego nie za bardzo przychylnie. Badawczo i z udawanym niedowierzaniem, co odebrało Młodemu pewność siebie.

— W grupie „Szakał” konkretnie. Musiałbym się trochę przekwalifikować... ale to nie będzie takie trudne, bo... może nie wiesz, ale robiłem przez jakiś czas w kryminalnym! I mam doświadczenie — pracowałem pod przykrywką...

— I Tyszka ci zaproponował, tak? — zapytał komisarz, uśmiechając się znacząco.

— Zaraz... — zaczął Młody, odszyfrowując zachowanie Berga. — To chyba nie ty kazałeś...

— Może puściłem inspektorowi małą sugestię. Marnujesz się w tym CBA, wiesz? Zresztą, chłopaki cię polubili.

— No, dobra! To skoro tak sprawa stoi...

Uścisnęli sobie dłonie i komisarz przodem wyszedł z domu. Przed budynkiem dostrzegł opartą o drzewo kolarzówkę. Zamknął drzwi i wcisnął sobie słuchawki do uszu.

— Co tam słuchasz?

— Ściśle tajne... — odparł na odczepnego, lecz po chwili dodał — Różne. Klasyczny rock, polski rap...

Młody wsiadł na rower, usatysfakcjonowany otrzymaniem odpowiedzi i zasugerował: — To może chociaż trochę ci potowarzyszę, przypilnuję, żeby cię nie napadli, nie okradli...

— Jeśli nadażysz — odpowiedział komisarz, ruszając szybciej niż się Młody tego spodziewał. Przycisnął więc mocniej pedały i chwilę później poruszali się równym rytmem, we wspólnym kierunku, ku wschodzącemu na niebie księżycowi.

❏

VERA EIKON

Między prawami

PRZEDPIEKLE

Historia, w której POLICJA, MAFIA i POLITYKA
spotykają się na jednej drodze.



VERA EIKON. Żona i matka dwójki wspaniałych dzieci. Polska pisarka urodzona w 1989 roku, w Łodzi. Po studiach na Uniwersytecie Łódzkim mieszkała przez pięć lat w Amsterdamie. Po latach poszukiwań literackiego głosu odnalazła powieść kryminalną jako najlepsze dla siebie środowisko, w którym realizuje motto: „Nawet jeśli człowiek zapomni o Bogu, Ten nigdy nie zapomni o człowieku”.

Dlaczego Vera Eikon została autorką właśnie kryminałów? Ponieważ ten gatunek traktuje o najciemniejszych stronach ludzkiej natury. Zdeprawowanej,

obdarłej z miłości i współczucia. Należy zdemaskować te kłamstwa o człowieku. Dotrzeć do serca, które zawsze poszukuje akceptacji, miłości i Boga. Najtrudniej zachować je w warunkach ekstremalnych. Najtrudniej odnaleźć miłosierdzie w świecie pełnym przemocy. I właśnie tam najwięcej go potrzeba. W przeciwnym razie — człowiek umiera.

